





WACŁAW GAŚSIOROWSKI

(WIESŁAW SCLAVUS)

ACH,—TE „CHAMY” W AMERYCE!

WARSZAWA — 1935

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ, SPÓŁKA AKCYJNA

ACH, — TE „CHAMY“ W AMERYCE!

WACŁAW GAŚSIOROWSKI
(WIESŁAW SCLAVUS)

ACH, — TE „CHAMY” W AMERYCE!

A ty śpisz... starokrajka
Fujaro!



WARSZAWA — 1935
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

Prawa przedruków i przeróbek zastrzeżone
Copyright by Wacław Gąsiorowski. Washing-
ton D. C. 1934

ODBITO 2200 NUMEROWANYCH EGZ.

№ 1977 *



DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA
Hurtownia dla księgarzy i wydawców pod zarządem E. W. Szelażka
Warszawa, Plac Trzech Krzyży 8

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

KOMU TOTU PO ŚWIECIE WĘDROWAĆ

Działo się przed niewielu laty w Nowym-Yorku, na srogiem posiedzeniu komitetu wystawy, mającej zobrazować udział poszczególnych nacyj w dziele tworzenia Stanów Zjednoczonych.

Zaczęło się od Kolumba. Hiszpańczykowie wyciągnęli poń obie ręce, Italjani ruszyli do ataku na obronę swego genuenŹczyka, Holendrzy mruczełi swarliwie, wypominając jakoweś armady, Duńczycy sumitowali się prastarą z brzegami Grenlandji znajomością, aż nad wzmagającym się tumultem zapanał głos polskiego mecenasa, który, przy ujściu Hudsonu, rozpamiętywał bojowe procesy ostatniej zawieruchy przedwojennej.

Mecenas ¹ rąbnął onej skłóconej lidze narodów o tem, kim to był imć pan Jan z Kolna, żeglarz i niezawodny Ameryki odkrywca.

Nacje zaniemowały.

Przewodniczący zebrania umiał atoli skorzystać z incydentu i zaopiniował flegmatycznie.

— Gotów jestem zgodzić się, że i sam Columbus nazywał się właściwie Columbuski, — ale, wobec wyczerpania kwestji, — wróćmy do porządku dziennego.

Miło jest w złożach wapienia przodków wykrywać, legitymować się skorupami łzawnic, z rozbitych czerepów, z głazów kurhanów snuć powieści gminne. Ciężej i trudniej jest

¹ Bronisław Kułakowski, żarliwy obrońca więźniów politycznych.

szarpnąć pękiem dokumentów i szukać więzi historycznej tam, kędy jej nie było, a której domaga się głos krwi i potężny naszej społeczności odłamek.

Spójrzmy w niezbyt odległą przeszłość.

Poszum się zerwał i szedł hen, od morza, i jał cesać polskie niwy, nieznany rozmoworem napęłniać lasy i puszcze, wdzierać się do siół i miasteczek, chwarszczyć natrętnie brodatami strzechami.

Lud łamał się w sobie. Dziwy mu powiadano, nie ufał. Gdzieżbo innej ziemi, gdzieżbo takiego nieba, gdzieżbo takiej wioski rodzonej!

Naraz, w dąbrowach, jakby coś zachrząściło, coś załkało, jęknęło w stuletnich konarach.

Gromada zuchwalców, gromada śmiałków, co najtęższych dębczaków nie strzymała dłużej, runęła i znikła na rubieżach ziemi ojczystej.

Za tą pierwszą gromadą ruszyła niebawem druga, trzecia, wreszcie dźwignęły się pierwsze tysiące.

Uderzono na alarm. Gazeciarskie ozwały się dzwony. Huknęły kazalnice. Obruszyły się dwory. Zabrali głos statysci. A tu zewsząd, od Odry po Dźwinę, od Bałtyku po Karpaty jeden okrzyk:

Chłopy wychodzą, — polskie idą chłopy!

Pola zalegną, rąk na roli zabraknie, — tyle Polski, ile żywych piersi kmiecych, — robocizna podrożeje, — wrogowie mocniej się wcisną. I dokąd, w zaświaty, na zmarnowanie, na wynarodowienie, na poniewierkę.

Frasowano się, ubolewano, rozprawiano, życie płynęło wżłobionem korytem. Emigracja za ocean szła nierównomiernymi falami. Wzbierała raptownie, parła naprzód i znów sączyła się ociężała, aby po dłuższej przerwie sypnąć już nie tysiącami ale krociami.

Niezatarte owych czasów wspomnienia.

Złotopióry zmierzch czerwcowy. Pod opłotkami, od strony

folwarcznego obejścia, zatrzymał się, czapkę zdjął, Marcin Wawrzyniak, najtęższy parobczak, niestrudzony pracownik. Przyszedł się pożegnać. Wyrazy padały głuche, bezdźwięczne.

Na święty Jan sobie ułożył. — Skoro świt trzeba. — Kobieta, troje drobiazgu i dwa tłumoki. — Do Ameryki. — Żal, żal, wolej nie oglądać się za siebie.

Niezdarne chciały mu wtórować wywody.

Stał wyprostowany, śmigły, w błękitnej katance, w błękitnych również płótnianych majteczynach, bosi, w rozchlastanej koszulinie a hardy. Głowa wtył odchylona, nos orli, przyszytych wąsy, pod czupryną biel wysokiego czoła, i dobre, wielkie habrowe oczy.

— Szczęść wam Boże...

Drgnął, poszeptem zachrobotał i głowę pochylił.

— Więc dodnia na kolej?

— A gdzieżby zaś koleją.

— Na piechtę myślicie? — A znacież drogę do Ameryki?

— Z prawa na zachód, — o, jak ten krzyż...

Sposobu nie było na to opętanie amerykańskie. Leźli jak śmy w ognisko. Dobre słowo nie pomagało. Władze zaborcze nie wiedziały, nie słyszały o niczem. Szajki naganiaczy, handlarzy żywym mięsem ludzkim bobrowały wśród kordonów granicznych. Szyfkarta starczyła za paszport, banknot za najlepszy dowód osobisty. Jedyna troska, aby zwierzyna nie uszła z matni, aby ją wyzuć z resztek dobytku, aby żeru starczyło kadłubom okrętowym.

Hamburg i Brema zarabiały miliony na polskich śledziach. Wywoziły je, ciągnęły zyski z transportu, umiały często brać lichwę i na samym towarze. Gdy nieszczęsny wychodźca, w ciemni oślizgłej starego pudła, po trzech, czterech tygodniach udręki, zreflektowany, schorzały trapił się myślą, czyli jaką znajdzie pracę, — tam, w Hamburgu, w Bremie, zgóry niekiedy wiadano, które go porwą śmigi, gdzie nań czekają filofy. Zresztą zabiegliwe przedstawicielki dawnej Hanzy

miały całkowitą zgodę i Berlina i Petersburga i „Widnia“. Gdyby się udało rzucić tego „ścierwa“ za ocean co najwięcej, — kto wie, — czyliby w ten sposób nie znikła raz na zawsze przekłeta z mora, doskwierająca trzem cesarstwom, trzem naraz niemieckim dynastjom.

Wrota do Stanów Zjednoczonych były wówczas naścieżaj otwarte. Do arki brano każdego, — czysty, nieczysty, utylany, cherlawy, zawszony, napiętnowany zbrodnią, ciemiega, przebieglec, — wszyscy równi. Nie dręczono zapytaniem dla sprawdzenia bystrości umysłowej. Na ładunki mrowia ludzkiego spoglądano jak na beczki juchy, mającej użyźnić, spulchnić, korzeniom borów wydarte uprzednio, skiby.

Porastająca dopiero w pierze tłuszczą nowoyorska, tłuszczą obrośnięta cudacznie, brodata, wypomadowana, pstra, nielada miała uciechę, kiedy do portu zawijały partje emigrantów, osobliwie tych dzikusów-polendrów. Zbieranina, udająca autochtonów, skowyczała ze wzruszenia, bo co pewien czas inna niespodzianka. Raz kacabaje szare i bure, czapki niemieckie, chusty ciemne, kaftaniki bramowane, — to znów sukmany granatowe, pasy czerwone, fartuchy za peleryny, kiecki buchaste i kraśne, — przewaliło się tego granatu z czerwienią, jadą znów białe albo siwe kapoty, czapy rogate lub baranie, żółte i zielone spódnice, jaskrawe chusty, — tu kamizele osobliwe, świtki, tu gorsety a tu zgrzebne łachmany, tu wąsiska wykręcane a tu ledwie szczoteczki nad wargami a nawet gęby wygolone, wzamian włosy długie w krąg cięte. Cała barbarzyńska maskarada. Juści naród zaropiał, w średniowieczu dalej pograżony, bo i spogląda z pod oka i boczy się i kupi lękliwie i na figlarne karesy dobrodusznego policjanta warczy.

Ciekawe widowisko przerywało zazwyczaj ostatnie na drogę amerykańską namaszczenie w postaci kilku drabów, świecących blaszkami urzędowymi.

Ceremonjał był krótki. Żwawy spacer wzdłuż tobołów emi-

granekich, lekki chwyt za czerstwiejszy policzek, klaps swy-
wolny, pomicanie muskułów, odwrócenie wargi i lśnięcie
cudzezi zębami i uroczysta konkluzja:

— *Good stuff*.¹

Transport odprowadzano do baraków. Tam czekali na-
bywcy. Przebierali ów „stuff“, segregowali i zagarniali. Od-
padki, nieużytki, nieusłuchańce „własnego dobra“ przepę-
dzano na cztery wiatry, niechże sobie gniją na bruku.

A w Polsce?

W Polsce ubolewano, rozprawiano o Ameryce, wzorując
się na powieściach Coopera i Mayne Reide'a, radowano się
szczerze na „Emigracji Chłopskiej“, którą Anczyc po obywa-
telsku wyczuł a gwiazdy sceniczne po mistrzowsku odtwo-
rzyły. Nie było na ziemi sarmackiej tęższej miary człeka,
coby przynajmniej ze dwa razy na tej „Emigracji“ nie śmiał
się przez łzy i nie płakał ze śmiechu.

Sama nazwa „Emigracja Chłopska“ już skrzyła się bogac-
twem sarkazmu, była ironją wysokiego pojęcia ideowego pro-
testu.

Od barskich konfederatów się zaczęło. Oni pierwsi ruszyli
w świat. Za nimi w tropy poszli żołnierze kościuszkowscy,
zbiegowie pod legjońskie znaki Dąbrowskiego, wreszcie za-
stępy bonapartowej doli i niedoli. A dalej nastąpił pamiętny
wymarsz tysięcy roku 1831-go i za nim już od jednego etapu
myśli wyzwolenczej do drugiego, od skurczu do skurczu, od
hekatomby do hekatomby, pochód olbrzymi, nieprzerwany
aż po dzień zmartwychwstania.

Wyraz „emigracja“ był otoczony nimbem, znaczył karma-
zynów miłości ojczyzny, walki czynnej, męczenników sprawy,
budzicieli. Był najszacowniejszym klejnotem dziejów poroz-
biorowych, symbolem Polski twórczej, żywej, apostołskiej,
bohaterskiej, attenskiej.

¹ Dobry materiał.

I tym oto wyrazem, tym płaszczem senatorskim spowijał się tłum siermiężny, prostak złudzony nadzieją lepszego bytu, dobrowolny wychodźca, nieświadomy własnego zawołania, z mroków nie wyłuskany biedak. Z pod Prusaka, z pod Ruska, z pod Austriaka wędrował, bez ideałów, bez uniesień, kiśkaty, worek na plecach, smutek rodzinnej wioski, poszmer folwarcznych koszar, guzami oblepione garście i skaplerzyk potem nasączony — to wszystko, z czem szedł, to wszystko, z czego miał wykrzesać nowe, lepsze czy tylko inne życie.

Ale, — powiadają łatwi kronikarze, — ten właśnie emigrant był już epigonem, był następcą szeregu polskich pionierów, może szczęśliwym dziedzicem ich imienia, ich zasług, ich doświadczeń.

I tu właśnie zaczyna się nieporozumienie dwu odmiennych historyj, więc historii Polaków w Ameryce i historii wychodźstwa polskiego w tejże Ameryce. Ten sam pień, konary jednak w odmienne skierowane strony, pierwsze dawno murzem starości okryte, — drugie grające sokami. Poza tem żadnego sprzęgła innego, żadnej ciągłości.

Był więc w Ameryce Jan z Kolna z Duńczykami na czternaście lat przed Kolumbem, zanim Ameryka Ameryką została. W szesnastym stuleciu byli już w Virginji sprowadzeni tam polscy smolarze. W wieku siedemnastym była już nielada osada polska w Nowym-Yorku, kiedy ten nazywał się jeszcze Nowym-Amsterdamem i nie był wydarty przez Anglików Holendrom. Byli... rozmaici, chmara ich była liczna, ale nazbyt skwapliwie topniejąca. Pułaski i Kościuszko mieli więc nietylko poprzedników ale i towarzyszków broni nawet wśród żołnierzy angielskich, nawet wśród kanadyjskich traperów i wśród watah powstańczych i wśród regimentów francuskiej odsieczy. Tuż za nimi zjechał był Kajetan Węgierski, kąśliwy poeta, szambelan czwartkowy króla Stasia, mecenasa sztuk a ziemi własnej kuglarza. W roku 1797-ym Kościuszko przywiózł Niemcewicza, który został niebawem pierwszym uroczystym

obywatelem młodej republiki, dokładniej pierwszym Polakiem solennie do rodziny amerykańskiej przyjętym. Kościuszko wrócił do Europy, Niemcewicz został, z Washingtonem, z Jeffersonem węzły przyjaźni zadzierzgnął i doczekał momentu, kiedy na Florydzie ukazali się rozbitkowie tragicznej wyprawy generała Jabłonowskiego (murzynka) na San Domingo. Niemcewicz przebywał pod Filadelfją do roku 1807-go.

Wspaniały poczet, niełada rodowód. Byli, byli Polacy, byli przed okrętem, wiozącym do Ameryki słynnych „pielgrzymów“, byli u kołyski gwiazdzystego sztandaru i przed „deklaracją niepodległości“ i na jej chrzczinach i w latach zamętu i klęsk i w godzinie triumfu.

Ostatnim szewronem historycznym tych dziejów była żałobna wyprawa kilkuset emigrantów roku 1831-go. Opiekuńcza Austria, według świadectwa Gadona, chcąc się pozbyć niemiłej załogi, wysłała jej szczątki do Tryjestu, tam załadowała je razem z bandą „szubrawców“, nie mającą nic wspólnego z rewolucją listopadową, i wysłała do Ameryki. W Ameryce uczyniło się zrazu pewne poruszenie, utworzono komitetów, wyznaczono rzekomo obszar w stanie Illinois na kolonję, sypnieto nieco grosiwa i rzecz się skończyła na pamiętnem oświadczeniu prezydenta miasta Nowy-York, że „środki do życia leżą w warsztatach i rękodzielniach, które dla wszystkich stoją otworem“. Jak stwierdza tenże Gadon, „hałastrą“ wszystko popsuka, „stan wygnańców za Atlantykiem był opłakany i nieraz rozpaczliwy“ to też nie przestawali wołać do towarzyszy w Europie: „Niech was Bóg strzeże od wybierania się do Ameryki“.

Było to jedno więcej wołanie na puszczy.

Skończyła się na tem emigracja polityczna, ta historyczne znacząca etapy, a zaczęła wzmacniać bezimienna.

Polacy w rozproszeniu, nie wiedząc jedni o drugich, rwali ciągle za ocean. Słynny, kalifornijski „gold-rush“ czyli „pęd złota“, który, rozpętany w roku 1849-ym, rzucił Ameryce kilka

miljonów awanturnictwa europejskiego, musiał zagarnąć sporo żywiołu sarmackiego. Dość wypomnieć, że szperactwo wychodźcze metrykami stwierdza, jako w wojnie cywilnej amerykańskiej (1861—65), przed powstaniem styczniowym naszym, zginęło w szeregach amerykańskiej armii rządowej, około 1.700 polskich ochotników. Musiało więc ich być co najmniej pięć razy więcej, nie mogło ich braknąć również w wojsku zrewoltowanych stanów południowych, których racje miały również swój sens niebylejaki...

Powstanie styczniowe niewątpliwie znów pomnożyłoby liczby polskie na Ziemi Washingtona, — gdyby nie wtóry i straszny już okrzyk: „Niech was Bóg strzeże od wybierania się do Ameryki“... Ten okrzyk był tym razem zaklęty w ponurych knowaniach amerykańskiej dyplomacji.

Godzi się czasami dla pożytku społeczeńskiego zapomnieć tego tknąć wrzodu.

Lincoln, — wielki Lincoln, — Jowisz, mający nad Potomakiem olimpijską świątynię, nie żywił względów dla polskiego niewolnictwa.

Podczas gdy, w roku 1863-ym, Francja zdołała skłonić Anglję i Austriję do interwencji dyplomatycznej w sprawie męczeńskiej Polski, rząd Lincolna odmówił. — Rząd Lincolna poszedł dalej, — przez usta swego posła w Petersburgu oświadczył: „Chociaż naród Stanów Zjednoczonych nie może być obojętny na bieg wypadków w innych państwach, rozumie on, że ostrożne wstrzymanie się od nieproszonej interwencji w sprawach wewnętrznych innych narodów jest konieczne dla pokoju świata“.

Bezpośrednim rezultatem była wyprawa floty rosyjskiej do Stanów Zjednoczonych, dni „niezapomniane“ radosnych uroczystości rosyjsko-amerykańskich (wrzesień roku 1863-go), rada miasta Nowego-Yorku na jeden bal sypnęła milion dolarów, przyjaźń ślubowano sobie po wieczne czasy.

Lincoln, wielki Lincoln uległ małej, bardzo małej trwodze.

Drżał sam przed interwencją francusko-angielską w sprawie krwawionych bez miłosierdzia południowych stanów, bał się nawoływać konfederatów amerykańskich, bał się cudacznych wieści, że Francja ma zamiar przerzucić z Polski do Ameryki trzydzieści tysięcy szaleńców, że chce oderwać południową konfederację od unji.

Wielki Lincoln nie zaprzętał sobie sumienia ojczyzną Pułaskiego i Kościuszki.

Wyrośli niespodziewanie, między jeziorami Erie i Ontario, polski mól archiwalny w osobie Mieczysława Haimana. Był na światło dzienne całą plikę dowodów w tym przedmiocie, koronując je kwiatkiem owoczesnej amerykańskiej myśli politycznej.

„Rosja i Stany Zjednoczone znajdują się w niezwykle podobnem położeniu. Część poddanych cesarstwa rosyjskiego, zamieszkałych w Polsce, próbowała oderwać się od państwa i stworzyć niepodległy, narodowy byt, tak właśnie, jak nasi południowi władcy niewolników próbowali oderwać się od Unji i założyli niewolniczą Konfederację. Car, podobnie jak rząd Unji, przedsięwziął zduszenie powstania siłą broni. W ten sposób zresztą musiałby postąpić każdy rząd pod karą państwowego samobójstwa. Jednakowoż Rosji, jak i Stanom Zjednoczonym zaczęły przeszkadzać i dokuczać Francja i Anglja swem wtrącaniem się do ich spraw wewnętrznych. Car, podobnie jak Lincoln, pomimo tego, trwa w swem przedsięwzięciu. A będąc stanowczym w swym zamiarze i zdecydowanym na wszystko, wysłał flotę na nasze wody, aby w razie wojny, handel Anglji i Francji nie wywinął mu się tak łatwo, jak podczas wojny krymskiej. Przymierze między Rosją i Stanami Zjednoczonymi, w obecnym czasie, prawdopodobnie uwolniłoby oba kraje od wszelkich obaw przed obcą interwencją“.

Ten piękny i jasny wykład nosi datę 17-go października

1863-go roku. Nie dziw przeto, że cesarz rosyjski w liście do Lincolna pisał się jako „*your good friend Alexander*.”¹

Znakomity krzewiciel myśli wyłączenia niewolnictwa miał oczywiście różne na to wyłączenie poglądy.

Dzisiaj spoczywa rozparty na marmurowym tronie, z marmuru wykuty, pod stropem, wspartym przez trzydzieści sześć kolumn, i dziwi się niezawodnie, że, podczas gdy owa „część poddanych cesarstwa rosyjskiego, zamieszkałych w Polsce“, zdołała oderwać się i „stworzyć niepodległy, narodowy byt“, — podczas gdy „południowi władcy niewolników“ prawnikom opowiadają dzieje strasznego najścia „dziczy północnej“, — murzyn amerykański jest ciągle znienawidzonym parjasem, człowiekiem bez praw i zawsze niewolnikiem.

Emigracji po styczniowym powstaniu do Ameryki nie było. Żaden z tułaczów polskich nie śmiał się naprzykrzać. Dopiero po dłuższym przeciągu czasu zjawiły się drobne okrucuchy i już raczej w roli obciążyświatów, włóczęgów, desperatów, szukających przystani, zacisza.

W tych krótkich wspomnieniach streszcza się historia Polaków w Stanach Zjednoczonych po kres siódmego dziesięciolecia ubiegłego wieku, — a zaczyna ta nowa, ta nieznana, ta nadymająca się wczoraj jeszcze mianem „czwartej dzielnicy“.

I od czego się właściwie zaczyna, od kogo?

Może od tego pierwszego listu z „Hameryki“ na dziwowsko zanieśionego do dworu przez jakiegoś Zołzikiewicza, który dziedzica w dobry chciał wprowadzić humor.

Błażek Mrugała pisał do swojej Mrugałki. Pękać z uciechy. Dostał się do „saloonu“² i dobrze mu się powodzi. Błażek w amerykańskim salonie. Zwarjował chyba. Dwa papierki nadesłał. Głupie papierki. Całe miasteczko obleciała, nikt za

¹ Pański dobry przyjaciel, Aleksander.

² Szynk, karczma.

to paczki zapalek dać nie chciał. Takie to i pieniądze, jak to salonowe państwo. Baba się naprzykrza odpisu, ale właśnie adres, chyba niepodobna, chłop głupi niewiedomo co mu kto naciukał.

Dziedziec aż szkła powiększającego sięgnął. Kręć, nie kręć, nacaj sześćojęzycznego dykejonarza, głupstwa nie zgadniesz... Stoi wyraźnie: „*Natrona Allegheny Bo 7 Pa US Mr Mroogala*“.¹ Wiadomo, *Allegheny* są góry, *natron* znaczy sól ale nie *natrona*, więc może być *Matrona*. A najgorsze ze wszystkiego te „Bo“ i „Pa“ i że ani jednej kropki... Cały dwór się trząsł z tylej ciemnoty. Wyprawiono ekonoma na pocztę. Naczelnik zdecydował. „kto jego wie amerykanckawo in-liejca“.

Bo gdzie to chłopu polskiemu po świecie wędrować!

¹ Adres dokładny i autentyczny.

JAK TO BYŁO NA POCZĄTKU

Chaos jest tworem wyobraźni. Na tym świecie wszystko podlega prawom ładu i harmonji.

Emigracja chłopska, ta bezplanowa, ta zarobkowa, ta dokładniej wędrowna za chlebem miała swe głębokie przyczyny, miała podłoże nietylko materialnej natury, miała instynkt mrówczy, szukający w ogłodzeniu nie samego żeru ale i nowych gniazd.

Lud polski, jak dźbła wichrem poderwane, kłębił się i rozpraszał, ginął a przecież zwierzał i wzajem odnajdywał. Istny odlot ptactwa na wyraju. Nikt się w tym zamęcie wyznać nie umiał, nikt nie baczył, iż cała ziemia polska stawała w ordynku.

Na czele Pomorzanie. Tym już przed siedemdziesiątym rokiem dokuczyło. Ani przestworu, ani godziwego wyrobku, ani tchu wolniejszego, bodaj u stóp ołtarza. Prusactwo napierało, zaprzeczało ludzkiej mowie, nękało haraczami. Więc ci od Elbląga, od Oliwy, od Kozłina, od Olsztynka pierwsi wyciągnęli, aby za morzami takich samych piachów upatrywać, takich samych garbów lasami brodatych, takich samych dolin tonią jezior łniących. Lud to był mocny, skrzętny, mądrali pełen a nawet tęgich „gburów“, co pieniądze wieźli za piachy wzięte i na piachy przeznaczone.

Jeszcze się tego pomorstwa zadość do Ameryki nie zważyło, kiedy rząd pruski umyślił za wojowanie z Francuzami (1871—2) nagrodzić sowiec „Bartków Zwycięzców“. Rozpętał „kulturkampf“, uderzył nim najzajadlej w cały swój pol-

ki zabór. Poznańskie nie wytrzymało. Emigracja buchnęła płomieniem. Ciąg wychodźczy pasmami ruszył i trwał i włókł się przez lat blisko dziesięć a że, pomimo kordony graniczne, Wielkopolska zawsze Wielkopolską była, tedy jął ocykać bratnie kaliskie obszary. Takż pruskie Mazury powlekły Mazurów płockich, ci znów przez Ostrołkę za Niemen rzucili hasła i na Warszawę, na Kraków, na Śląsk zawołali.

Fala emigracji rosła, wzbierała i wreszcie, około roku 1890, zapadła się nagle pod wpływem „brazylijskich utopij“. Od wpływ ważył się, zdawało się, że na południową stoczy się półkulę. Zniknął w istocie drobiazg stu pięćdziesięciotysięcznej przeszy, zwyciężyła w ostatku północno-amerykańska gorączka.

Stany Zjednoczone zaczęły tymczasem budować tamy. Na wysepce „Ellis“, na miejscu dawnej prochowni, zbudowano (1892) sortownię żywego mięsa ludzkiego, zaczęto się troszczyć o dobór należyty różnojęzycznej i różnorasowej mieszanki, lękać zbyt mocnej domieszki żywiołu romańsko-słowiańskiego.

Utrudnienia teraz rosną, wylądowanie w Ameryce zamienia się w męki czyścowe.

Wychodźstwo z Polski rwie, chwyta Podhale, wymiata za stępy Rusinów, Litwinów, idzie za San, do Dniestru, Dźwiny, Inflant dociera. I jest zawsze następstwem i biedy i mroku „kulturkampf“ i braku kultury i braku pieczy i braku organizacji pracy i braku ziemi i prześladowania unitów i krwawych porachunków w Krozach i płaczu dziatwy polskiej, katorżowanej we Wrześni, i konwulsyjnych odruchów roku 1905-go, i tak bez przerwy po dni wielkiej wojny.

Tuż po wojnie ruch wzmaga się, potężnieje, — ale zostaje osadzony gwałtownie, brutalnie.

Stany Zjednoczone zamykają bramy, nie chcą swem bogactwem dzielić się z byle kim. Ograniczają liczby emigrantów, każdej narodowości wyznaczają „kontyngensy“, rzekomo proporcjonalne do składowych części amerykańskiego „na-

rodu“, faworyzując jedynie Anglo-sasów z Germanami włącznie. Biurokratyzm zakasuje rękawy. Na każdego emigranta trzeba teraz stosu papierków, dziesięciu świadectw, ośmiu indagacyj. Kleszcze zwierają się, — emigracja za ocean ustaje. Bilans amerykański stwierdza z zadowoleniem, że import ludzki jest mniejszy od exportu. Przypływ europejskich głodomorów ustał, — dziw, bo produkcja własnych, już czysto amerykańskich, równocześnie się zaczęła.

Owóz i kres emigracji z Polski, — a gdzie właściwie jej początek, kędy ci pierwsi naprawdę, ci straceńcy, ci przodownicy?

Wszak to minęło już dobrych lat siedemdziesiąt od tych pierwszych?

Pouczenie dziejowe ma niezawodną odpowiedź.

Kędyż bo są dzisiaj potomkowie owych luminarzy, bohaterów, patryotów, nieugiętych obywateli, którzy w r. 1831-ym pod wodzą generałów, trybunów, konsulów razem z Rządem Narodowym powędrowali w świat? Kędyż się zapodziała harda, dumna, górna Emigracja Polska we Francji? A kędyż są synowie czy wnukowie emigrantów Powstania Styczniowego? Co się stało z dziedzicami imion wślawionych, z tymi, których ojcowie i dziadowie całemu narodowi ryli drogowskazy?

Byli. — Byli jeszcze wczoraj, — jeszcze wczoraj tułał się szczątkowiec świetnych paryskich czasów, w roli „zawodowego“ Polaka a więc człeka, który resztki pochodzenia zmieniał na chleb powszedni, — jeszcze wczoraj bytował lepszego automatu „franko-polak“.

Wspaniały gabinet znakomitego lekarza paryskiego, jeszcze pomnego na rodowód. Jegomość z nad Warty czeka na orzeczenie djagnozy. Zapytania lakoniczne łomoczą. Jegomości ciężko z francuzczyzną, zdobywa się na odwagę.

— Wszak pan profesor mówi po polsku?

— *Mufi — mufi, — otwórz pana gembe.*

Zawodowy Polak miewał bardziej wartkie wysłowienie. Wchodzącego kompatrjętę witał potokiem uprzejmości:

— *Dzień dobry. — Jak idzie? — Idzie dobrze? — A pani? — Tem lepiej.* — i, po wyrzuceniu tej aryngi, skręcał do paryskiego żargonu.

Ale to było wczoraj...

Jeżeli pokolenie orłów takiemu uległo losowi, — cóż więc wątle skowronki, masakrowane tysiącami w przelocie na włoskie pasztety, cóż jaskółki własnym pędem miażdżące się o świetlne oczodoły latarni morskich?

Stał hartowna, dziewir rycerski stopniał tuż, wpobliżu, w słonecznej Francji. Dopieroż воск w rozpalonym do białości tyglu amerykańskim.

Znakomite walory duchowe nie wytrzymały, potężna świadomość narodowa uległa, — znakomite drzewa genealogiczne trzaśły, — a jakże słabe latorośle chłopskiej emigracji. Szukaj wiatru na kontynencie, kędy się podzieli owi najpierwsi, co mówili o sobie, że są narodowości katolickiej a religji polskiej.

Dobrych siedemdziesiąt lat minęło.

W sercu wisconsinśkich piachów rozległy plac wśród szerokich alei zawiesistego, murowanego miasteczka. Na placu ciżba samochodów, troków, dokoła tłum dostatni, czapy futrzane, płaszcze także futrem podbite lub włosiem na wierzch błyszczące, rękawice z karwaszami po same łokcie, niewiasty w mieszczańskiej oprawie, suto, wdzięcznie, nie brak ani pluszu, ani hudsonskiej wydry, ani bobra, ani jedwabnych falbanek.

Jarmark nie jarmark, targ nie targ, zjazd jakowys niebywały amerykański, — nie, to powszedni cotygodniowy czwartek, polski czwartek. Tak się niegdyś zmówili, aby co czwartek zjeżdżać się i tego się trzymają. Miasteczko z upragnieniem każdego czwartku wygląda, bo i sprzedać i nakupić można. Farmerzy patrzą większych sprawunków, poważniejszych szukają nabywców, mają owsa całe śpichrze i hreczki

i żytką, mają ziemniaki, kukurydzę i pszeniczki nieco chociaż lżejszej, jabłka radzi mierzyć ćwiartkami, a żórawinowe powidła na klonowym syropie rachują na beczki. Farmerki dorywczego cheiwe zysku, byle coś z przychówku, z domowych zapasów zbyć i dolarki na różności zaraz wymienić.

Krótkie rozmawianie.

— Kaszubi?

— Jo.

— Sami Kaszubi?

— No, — i Kabatki od strugi Leby i Słowińcy.

— Co za Słowińcy?

— Od Wraclawka i Styrgartu.

— A kto najdawniejszy?

— Cheba Brzonkała.

— No-no, Dzian Pyrcha, musi.

— Rychtyk, cheba Pyrcha. — Z ojcami od Pucka jachoł, kiedy Danmarki w Szlezwigu królami beły.

— To i sam prawnuków doczekał?

— Abo dość może nie rośnie, — już mu jeden pleszokiem ostał.

— Pleszokiem?

— Ksiondzem.

— I ten, jeszcze polskiej są wiary?

— Słuchajta ino, weśta cheba Mniemiec, — bo nie?

Szary dzień grudniowy. Ołowiane chmury ważą się nad Texasem. Powietrze duszne, żarem zatoki Meksykańskiej nasączone. Mały zardzewiały Fordzina zaterkotał hałaśliwie w budzących się ze snu ulicach San Antonio, dobył się z podmiejskich osiedli i pomknął na południe, hen, w stronę Częstochowy i Panny Marji. Bezkres płaszczyzny, zmartwiałych łąnów i wreszcie smutne, słońcem wypalone prerje. Prerje, — więc płatanina niskopiennych krzewów, wystrojona gdzie niedzie gdzie pękami mięsistej agawy, piramidami głazów, znaczących i tu jeszcze ponure wędrówki lodowców. Pustka i smę-

tek. Życie jakby zamarłe, stężale. Droga wije się, zwęża, omija sterczące ramiona kaktusów, przechodzi w wąską wstęgę kolejami zrytego pyłu. Cisza przepastna, jeno, gdy rozbrzęczone koła mijają kamienne piramidy, wtóruje im niekiedy płochliwy terkot kłębiących się ku rozpadlinom grzechotników. I któżby tam na nie baczył. Jest ich zadość na całym kontynencie. Mijają długie chwile wśród szczęku, dychawicznego sapania motoru i nużącego rozglądania się wśród pustki. Aż wdali jakoweś równe pasma, garb spulchnionej ziemi, w ostatku pęczek drzew ponad zrębami kilku przytulonych do się murowanych domków.

Dojeżdżamy. Śród preryj wielka, czwórdzielna gwiazda rozległych plantacyj bawełny. W środku tej gwiazdy cztery, graniczące ze sobą tuż, obejścia farmerskie, więc cztery dworki nieamerykańskiego kształtu, murowane, bielone, żółto-szarą dachówką kryte i cztery podwórca gospodarskich, licho skleconych zabudowań i komór. Tu siedzą, tu bytują cztery rodziny, od długich lat się podziewają, tu się wyprażyli, kośbą śmierci okupili ciężkie zapasy z gorącym, wyczerpującym klimatem, z niedolą, z walką w nowych, nieznanych owdzie warunkach.

Żyją, bytują. Czwarte pokolenie dorasta, ciężko z nauką i trudno. Najemnicy meksykańscy, murzyni raczej, gwarę hiszpańską przynoszą, aleć o kilka mil założono szkołkę, więc drobiazg już dość sprawnie po angielsku się umie rozmówić. Do kościoła droga daleka, ten prawdziwy dopiero w Falls City, a do Częstochowy to już chyba raz do roku na Wniebowzięcie. Cóż, przy niedzieli samemu trzeba wszystko, tak jako jeszcze za życia dziada.

Do izby gościnnej proszą, stół zastawiają.

Wzrok ciekawy ślizga się po wnętrzu bielonym i naraz stygnie.

Na uroczystej ścianie wizerunek Matki Boskiej, obok niego,

w takuteńkich ramkach, wizerunek Kościuszki, a pośrodku lampka gorejąca obu tym wizerunkom mruga.

Nieśmiała dobywa się uwaga, zdławiona odrazu krótkiem oświadczeniem.

— Tako im świecili dziadowie, tako muszą społem ostawać.

Północ i południe, puszcze Wisconsinu i Texaskie prerje, teć są bodaj krańce pierwszych osiedli polskiej emigracji w Stanach Zjednoczonych, dokładniej może tej drobnej części zasobniejszej, zabiegliszej, która z gruntu wyszła i na gruncie własnym zdołała się rozpostrzeć.

Ci, na północy, od karczunku zaczynali, patrzyli jezior, patrzyli, kędyby do jakiejś żwawszej „Wiselki“ przylgnąć. Tamci, na południu, wdzięczniejsze napotykali płaszczyzny. Pierwszych lute smagało zimnisko, boreaszów zawziętych podmuchy, drugich napadały rozszalałe orkany, trapił żar smażącego się wpobliżu Golfsztremu. Różne doskwierały im turbacje, jeno tęsknota chodziła wśród nich ta sama. Nawet ludzkie pobliza i tym i tamtym były dalekie, były obce, były wrogie. Pionierzy polscy zjawiali się na szarym końcu wędrówki za ocean. Skandynawi, Niemcy, Irlandczycy, Włosi nawet mieli już tu swe potężne punkty oparcia, posiadali i wpływy i życziwą pomoc tu zadomowionych rodaków i opiekę konsularną i zwarte solidarne organizacje. Polscy emigranci zjeżdżali na nieznane, byli niemowami, skazanymi na zdobywanie własnem życiem, własnym krwawym potem, własnem zdrowiem każdego najprymitywniejszego doświadczenia.

Stąd bodaj narodził się był wśród nich gwałtowny pęd ku łączeniu się, ku zwieraniu sił, ku szukaniu bratniej dłoni.

Świadomość narodowa, podziewająca się w nieuchwytnych wyobrażeniach, w prostaczych wypominkach, jęła się rozpalać. Chcieli być jako inni i nie zdołali. Smagała ich pogarda, odstręczał wyzysk i szyderstwo. Każdy odruch w pojedynkę, każde wysforowanie się przynosiło zagładę. W byle świstku papieru czyhało oszustwo, byle pacholek urzędu był wyra-

zem cynicznej przemocy. Najlżejsze otarcie się o prawo zamieniało w bezprawie. Jedyne gromada mogła się ostać. I tworzone własne skupiska, dźwigano wysepki, jakoweś gniazda cudaczne, niezrozumiałe, obce wśród obcych.

W puszczach, na prerjach jęły wyrastać osady niezwykłego zawołania. Jednym śniła się Warszawa, Lublin, król Sobieski, Polonja, Poznań, drudzy między agawami i kaktusami zakładali sobie Częstochowę, Pannę Marję, Radom, Toruń a nawet całego Kościuszkę. Zanim się spostrzeżono w stolicach stanowych już od Manitoby i Michiganu aż po Galweston narosło tyle cudacznych nazw, że anglo-saska czujność już ich znieść całkowicie nie zdołała.

Lecz to byli wybrańcy, bogacze, których stać było odrazu na zagospodarowanie, szczęśnicy, którzy zdołali przemycić nieco grosiwa, uchronić go przed chciwością hien emigracyjnych.

I niewielu ich stosunkowo było. Fale polskiego wychodźstwa parły naoslep, rozbijały się na bezwładne odpryski, w wilgotny zamieniały pył.

Żadnych planów, uroszczeń żadnych. Byłe kęsa chleba dopaść, byłe pracy się dorwać i tak dychać. Zresztą była to ciżba parjasów, kornych, wylękłych rabów, wydanych na łaskę i niełaskę najbliższego pachołka. Rzucano ją między kominy fabryczne, między rozsypiska kopalniane, do taczek, do kamieniołomów, na błota i śmietniska, pędzono tysiącami. Dziesiątkowały ją choroby, żarła nędza, rozpląszczały obrywy niewprawną ręką targanej opoki, miażdżyły niesforne maszyny, — nigdy jej nie ubywało. Najbliższy parowiec wyrównywał ubytek.

Straszne to były przeżycia, rozpaczliwe dni.

O dwadzieścia sześć kilometrów od „Wilczych Barów“ (Wilkes-Barre) pensylwańskich, kędy sobie Polacy dzisiaj jak u siebie wędrują ulicami stolicy czarnych djamentów amerykańskich, leży schludne, zasobne miasteczko Nanticoke,

gdzie na dwadzieścia sześć tysięcy mieszkańców może i ty-
siąca nie naliczyłby Niemców, Ajrysów,¹ Walińczyków, włą-
czając do nich i szkockich terjerów i koty angorskie i holen-
derskie krowy. Bo co zresztą w Nanticoke'u lud katolicki, pol-
skiej wiary, ze starokrajskich „poznaniaków“ się wywodzący.
Z dumą się tu człek rozgląda a raduje rzetelnemu gospodar-
stwu. Boć tu w Nanticoke'u bardziej wszystko polskie aniżeli
w naszym Radzyminie, Nowogródku a chociażby Mazowiec-
kiej Rawie. Trzy parafje zawiesiste, szczerej mowy, trzy ban-
ki, lekarze, aptekarze, adwokaci, sklepikarze, wielcy kupcy,
mali pośrednicy, chłop w chłopa ze swoim burmistrzem imci
Sakowskim, czyli już innym, w dostojęństwie należytem by-
tują i polskiem miastem w Ameryce są.

A owo Nanticoke to już stara, bardzo stara osada, ma chyba
całe lat pięćdziesiąt albo i lepiej. Tak, tak, pół wieku temu,
jak te szyby kopalniane, jeden targon i niedola jedna.

Niemcy tu precz rzadzili. Gorze było Polakowi w poje-
dynkę na robotę lub z roboty wędrować, kamieniami, pał-
kami krwawiono śmiałków. Ani do czyściejszej gospody się
przysunąć, ani do tłumu „amerykanów“ się zbliżyć. Nędza
żała a gorzej od niej żała nielitościwa poniewierka. Nikomu
się użalić, znikąd sprawiedliwości się spodziewać. A jeżeli
odruch miłosierdzia odważył się na Polaków wspomnieć to
aby im barbarzyńskie wytknąć praktyki i na heretyckie po-
jękiwania psalmów namówić. Siła biedactwa zmarniała. Kto
nie wracał z roboty o tem i słych ginął. Ani się dopytać o ta-
kiego. Okrutne wypomnienia, wolej poza siebie się nie oglą-
dać, wolej naszemu Nanticokowi się radować.

Ład był wszędzie jednaki. W odlewniach żelaza czy w ko-
palniach rudy, w pittsburskich kotłowniach czy w rozgrzeby-
wanych otleńlaniach ziemnych, pod Duluth-Superior, w zgni-
łym powietrzu chicagoskich rzezalni czy w równie smrodli-

¹ *Irish* (ajrisz) — irlandzki, w gwarze polskiej Irlandczyk (*Irishman*).

wych zakładach w Kansas-City, kędy najcięższa praca muskułów, kędy machina nie wyręczała jeszcze ludzkiego zwierzęcia pociągowego, kędy brud i odraza, kędy na błotach pod Newarkiem najwstrętniejsze przetwarzano odpadki, — tam, wszędy, była ona ziemia obiecana polskich wychodźców. W błocie czy kale po pas, śród żaru płynących korytami metalu, w zawilgłych, robaczywych ostępach leśnych, w rynsztokach żywej posoki bydłowej, tam była praca u podstaw, stamtąd się wywodzi cała ponoć nasza czwarta dzielnica za oceanem.

Prowodyrów brakło. Śród Pomorzan, śród Wielkopolan jeszcze tęższe było rozumienie. Ten i ów umiał „szprechować“ i na książce lubił czytać i na potrzeby szkoły się znał. Zdarzali się i majsterkowie i ekonomczuki i różnych rzemiosł niezgorsi czeladnicy. Tym zwawiej się układało zarobkowanie i do onych luminarzy garnęły się szare tłumy. Potrzeby jednak wzrastały. Ono łączenie się wytwarzało mnóstwo bardziej skomplikowanych zagadnień. Należało szukać światlejszego przewodu.

I ponoć się znalazł osobliwy, niezwykły. Do Ameryki nie tylko przybywali emigranci ale i uciekali nazbyt liczni „europejscy grzesznicy“. Było więc i w Stanach Zjednoczonych zadość i polskich grzeszników.

Ten chronił się przed pościgiem kryminału, ów spalił za sobą mosty życia towarzyskiego, trzeciego wykoleił cudzy podpis na wekslu, czwarty, ograbiwszy kasę pryncypała, zjeżdżał na nowe życie, piąty, uprzykrzywszy sobie własne domowe ognisko, do kawalerskiej zatęsknił wolności, szósty zemknął przed służbą wojskową, siódmy do awanturnictwa zatęsknił, ósmy wreszcie za morzami patrzył szczęścia.

Zadość było tej różnorakiej, ciekawej mieszaniny inteligentnej. Zadość desperatów, wykolejeńców, rozbitków a ponoć nawet ex-panków, ex-arystokratów, ex-mecenasów. Od młodzińca rozplómiennionego fantastycznymi opisami podróży

aż do wyszczerbionego na kodeksie figlarza, aż do ubogiego księżyny, co za ludem wioskowym nadązał, cała tęcza społecznego fermentu.

Wszyscy ci przybysze w pojedynkę, krom księżyny, co odrazu do swoich się przygarniał, własnym próbowali żyć prze-mysłem. Rzadko się to jednak udawało. Najczęściej skotłowa- ni, zmaltretowani, wysupłani z zasobów, skazani na ponie- wierkę jęli zmierzać tam, kędy prostak nietylko „na wieki wieków“ odpowiadał ale i kęsem chleba rad był się ze swo- jakiem podzielić.

Chropowato układała się ta osobliwa komitywa. Lekkie su- mienie zastawiało sidła. Czujność zwyciężała. Aż nad podziw zaczęło się dobrze układać. Krętacz pospolity, dawny prze- chera dźwigał się, szlachetniał, przeistaczał w działacza. Nie- śmiałek, pustak, gapa życiowy nabierał rozmachu, sobie i in- nym dobra sporzył. Dziesiątki kryptonimów, nazwisk przy- branych dobywało się na widownię w aureoli rzetelnej za- sługi. Lekkoduchy starokrajskie, do jałowego bytowania zro- dzone, w niestrudzone zamieniały się mrówki.

Żywe słowo targnęło masami.

Dirty-Polander hardział.

Roila mu się ziemia piastowa, ziemia chrobra, przesław- na, — wierzył, pragnął i chciał.

POLSKIE MILJONY ZA OCEANEM

Kiedy w roku 1914 usiłowano zrachować zastępy Polaków, przebywających w Ameryce Północnej, otrzymano w rezultacie odpowiedź raczej przypuszczalną: „około czterech milionów“.

W roku 1917, w przededniu zabiegów, czynionych o uformowanie Armji Polskiej we Francji, znów te cztery miliony Polaków wychynęły i to potwierdzone prowadzonymi przez jednego z działaczy polsko-amerykańskich dochodzeniami.

W roku 1920, kiedy, po raz pierwszy, spisy urzędowe Stanów Zjednoczonych raczyły zaprowadzić oddzielne rubryki dla przynależności państwowej polskiej, i wówczas jeszcze, dzięki powierzchownym wykazom, zapadł wyrok, że Polaków w Północnej Ameryce jest ogółem cztery miliony.

W kilka lat później, w ogłoszonych drukiem pracach i dośledzeniach, ta sama figuruje liczba. I dzisiaj wreszcie w dwadzieścia lat po roku 1914 słyszymy powtarzane uporczywie dowodzenie, że w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie jest cztery miliony Polaków.

Krótko mówiąc, od roku 1914 wychodźstwo północno-amerykańskie skamieniało, ugrzęzło na wertepach tych samych liczb, może lekkomyślnie zrazu wyolbrzymionych, może w ostatku kurczonych nazbyt skwapliwie i wogóle na domysłach raczej opartych.

Więc ostatecznie tylko cztery miliony Polaków?

Bez zająknięcia odpowiadamy:

— Co najmniej pięć milionów i to pięć milionów Polaków bezspornych, wolnych całkowicie od wszelkich domieszek. Istnieją dwa źródła wiadomości.

Pierwszem z tych źródeł jest statystyka Stanów Zjednoczonych.

Statystyka, czyli innemi słowy jejmość kuta na cztery nogi, przewrotna, kłamliwa, obłudna, wypluwająca całe kolumny cyfr. Łgarz wierutny, przechera, góra arytmetyki, cztery działania figlów mądrości. Broń niebezpieczna, zdradliwa, bo ogłupiająca doszczętu pół mędrków, bo ciągle prastare drewno, z którego i kołyska i trumna i toporzysko.

Amerykańska statystyka ludności, jak wyłuszczone, do roku 1920 mało zajmowała się Polakami, a po roku 1920 również nie nabrała dla nich względów.

Polacy w Stanach Zjednoczonych, w urzędowych wykazach, zapisywani byli bez ładu i składu jako Rusy, Niemce i Austrjacy. Gdy przeto w roku 1920 zdobyto się na uprzejmość w stosunku do zmartwychwstałej Rzeczypospolitej, trzymano się podobnoć konceptu lorda Cursona, który, jak wiadomo, na wschodzie Polski ciął granice na linii Brześć — San, a gotów był ją cofnąć choćby po Wisłę. Kogo tedy statystyka w Stanach Zjednoczonych, w roku 1920, zaliczyła do wychodźstwa polskiego doprawdy trudno zgadnąć. Na to pytanie i dzisiaj jeszcze nie możnaby uzyskać dokładnej odpowiedzi z Washingtonu. Jeżeli obszar teraźniejszego posiadania polskiego został nawet łaskawie rozszerzony do rzeczywistych słupów granicznych, to wzamian niema żadnych sentymentów dla Polaków, wywodzących się z ziemi, poza temi słupami. Lecz i samo nastawienie, dokonywanych w Stanach Zjednoczonych, spisów jednodniowych zasługuje na bardzo wielką uwagę. Amerykańskie spisy jednodniowe są z reguły nieprzychylne narodowości polskiej. Jedynie świadomi i mocni w języku angielskim emigranci umieją dawać sobie radę z odpowiednio nastrojonymi delegatami, wśród których wręcz

nieprzyjazne żywioły zawsze wybitną odgrywały i odgrywają rolę. Wychodźców polskich zapisuje się według widzimisie delegata a nie według zeznań zapisywanego. Ile obliczeń jednodniowych amerykańskich tyle alarmów, nawołujących naszą emigrację do czujności, do walki z mizerną a wrogą agitacją.

Warto jednakże zajrzeć do onej statystyki. Wpatrzmy się więc w te kolumny wykazów, ozdobione stemplem roku 1934.

Polaków, urodzonych na obczyźnie, (t. zn. w Polsce a nie w Ameryce) jest bardzo mało, zaledwie 1,268.583 głowy, — z czego 92% liczy sobie powyżej lat dwadzieścia cztery. Rubryka, obliczająca przedstawicieli białej rasy w Stanach Zjednoczonych, podaje znów jakoby wszystkich Polaków, rezydujących na obszarach Wuja Sama, było: 3,342.198, przyczem liczba mężczyzn Polaków przewyższa o całe 106.000 liczbę Polek.

I możeby wypadło poprzestać na tych urzędowych obrachunkach, gdyby ta sama statystyka uważała za właściwe wytłumaczyć, jaka zachodzi różnica pomiędzy przynależnością obywatelską tych dwu wyszczególnionych liczb. Ilu mianowicie jest Polaków nienaturalizowanych, ilu naturalizowanych emigrantów a ilu Polaków urodzonych w Ameryce.

Takich atoli subtelności od statystyki amerykańskiej spodziewać się nie można. Polak, urodzony w Ameryce, o ile nie zdobywa się w czasie spisu jednodniowego na odpowiednio energiczny protest, jest zaliczany do narodowości amerykańskiej. A ponieważ tego rodzaju protesty bywają czasami niebezpieczne, bo mogą odbić się szkodliwie nawet na warunkach pracy, nawet pozbawić zapalczywego „forajnera“ środków utrzymania, przeto musimy uznać, że 3,342.198 Polaków w Ameryce są tymi właśnie, którzy narodowości swej na żadne nie wodzą kompromisy, lub którzy są dostatecznie silni i niezależni, lub tylko tak szczęśliwi, że bytują poza granicami wpływów antypolskich.

A ilu jest tych słabych, wątłych, nie mogących się bronić, osamotnionych w obcym otoczeniu, przymuszanych delikatnie do zmiany nazwisk, zaciąganych do wykazów rdzennej ludności?

A jakże znów myśleć o dobywaniu się na widownię życia amerykańskiego, jakże sięgać po urzędy, po wpływy, jeżeli się niedość mocno swe czysto „amerykańskie“ urodzenie podkreśla?

Zresztą nie należy tych nieporozumień rachunkowych brać tragicznie. Każdy Amerykanin i ten, wywodzący się odrazu z czasów wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych, ma z reguły dwie ojczyzny, każdy z nich przy bliższem poznaniu, legitymuje się swoim „starym krajem“. Różniczkuje przytem tak zawzięcie, tak zaciekle, tak szowinistycznie, że Walińczyk uważa sobie za ublżenie, gdy go ktoś weźmie za Anglika, Anglik znów wzdryga się jeżeli go nazwą Szkotem. Udręki wynikają jedynie dla tych, których uprzedzenia rasowe, dokładniej anglo-saska, a nawet anglo-germańska zachłanność nie uważa za sobie równych i świadomie dąży nie do zamerykanizowania tych „niższych“ żywiołów lecz do ich unicestwienia.

Niemcy amerykańscy trzymają się innej zasady, przypisują się chętnie do obywatelstwa amerykańskiego, nie tracąc nigdy praw do swej ojczystej przynależności. Uśmiechają się pogodnie ku tej samej statystyce, która powiada, że w Stanach Zjednoczonych bytuje 6,873.103 Niemców. Co im bo taka żartobliwa liczba może przeszkadzać, gdy jedno tylko zrzeszenie niemieckie „Steuben Society of America“, w roku 1931, liczyło zaledwie 3,675.000 członków! I my Polacy winniśmy optymistycznie spoglądać na amerykańskie rachunki. Łącznie z Kanadą mamy oficjalnie polskiej ludności trzy i pół miliona, braknie więc nam do całych pięciu półtora, ale na szczęście tylko w statystyce amerykańskiej, a nie w rzeczywistości.

Drugiem źródłem rachunków polskich w Stanach Zjednoczonych są parafje polskie, są polskie osiedla, są skupiska czysto polskie, zupełnie niesłusznie przez „mędrców“ z lotu ptaka zwane polskimi Ghattami.

Tu wyniki są zawrotne.

Pierwszem miastem po Warszawie, liczącem największą gromadę rdzennych Polaków, jest Chicago. Chicago bowiem do wczoraj jeszcze miało więcej czysto polskich parafij katolickich aniżeli Warszawa, Chicago bowiem ma ludności czysto polskiej zgórą czterykroć sto tysięcy.

A przecież nawet statystyka Stanów Zjednoczonych, ta powierzchowna, ta właśnie, zajmująca się urodzonymi w „starym kraju“ a więc wychodźcami, powiada, że w jednym tylko Nowym Yorku przebywa 238.399 emigrantów Polaków (nie włączając naturalnie ich potomstwa w Ameryce zrodzonego), — a przecież w jednym stanie Pennsylvanji przebywa 1.200.000 Polaków, — a przecież w stanie Michigan jest pięć razy tyle parafij czysto polskich aniżeli w Nowym Yorku, — a przecież w jednym Buffalo miejscowa Polonja nawet na 125.000 nie zgodziłaby się poprzestać, — a przecież i Cleveland i Milwaukee to centra potężne, usiłujące walczyć o lepsze z Polonją w Detroit.

Zasiąg parafjalnych obliczeń jest bardzo daleki, od Atlantyku przez północne i środkowe stany idzie hen, w głąb kontynentu, za Mississippi, po Góry niemal Skaliste, ale i zasiąg ten nie ogarnia całkowicie rozproszenia. Tam bowiem, gdzie Polacy nie tworzą jakiegoś przemysłowego ośrodka, tam parafij polskich niema i tam życie polskie nie uzewnętrznia się tak wyraźnie, tak uchwytnie jak np. w takim mieście Hamtramck kędy na 56.268 mieszkańców jest niezawodnie co najmniej sześćdziesięciu ośmiu Irlandczyków!

Owóż, przed kilku laty, w pomienionym Hamtramck'u, do miejscowego golibrody, wszedł gentleman angielski, rozsiadł się spokojnie i czekał swojej kolei. Kiedy właściciel zakładu

fryzjerskiego, wyprawiawszy „zoperowanego“ gościa, obwieścił swoje sakramentalne „next“, gentleman, rozumiejąc, że on jest tym następnym, pośpieszył zająć miejsce w fotelu przed lustrem i jął wyłuszczać swoje dezyderaty toaletowe.

Właściciel osłupiał. W Hamtramck'u po angielsku a to co znów za obyczaj! — Nachmurzył się i do gentlemana:

— Mówisz pan po ludzku, czy nie?

Gentleman żwawiej się ozwał, nie rozumiejąc zapytania. Właściciel zakładu nie omieszkiał go objaśnić. Chwycił go za kark i otworzył gentlemanem drzwi.

— Niech mi się takie nie pętają!

Gentleman był zawzięty, więc chryja, skarga w urzędzie policyjnym, apelacja do municypalności, żale do samego gubernatora stanu Michigan.

Wynikła kwestja zasadnicza. Czyli polski golibroda, w polskim mieście Hamtramck'u, ma prawo odmawiać skrobania, niemówiących po polsku, twarzy.

Nazgrzytano, namruczano i sprawa umilkła. Gdzie tu dojść do ładu z hamtramck'im ludem, toć nawet murzyny w Hamtramck'u od maleństwa po polsku gaworzą.

Te wszystkie parafjalne i skupiskowe obliczenia ludności polskiej trzymają się uporczywie jednych i tych samych cyfr. Przyrost bowiem ludności wyrównywuje ciągły jej odpływ, coraz większe promieniowanie wychodźstwa polskiego. Parafja, nawet dzielnica polska czy polska osada, wielu naszym emigrantom już nie wystarcza. Idą między „obconarodowców“, ciekawi są i Kalifornji i Oregonu i Alaski i rubieży Brytyjskiej Columbji i Florydy, i wytwarzają już dzisiaj wielki odłam tego niekontrolowanego przez polskie organizacje wychodźstwa. Czyli giną, zapadają się, roztapiają w anglo-saskim tyglu? — Rzadko całkowicie, rzadko doszczętnie. Jeżeli nawet w szóstym i siódmym pokoleniu, po czterech skrzyżowaniach ocaleje szczątek przekręconego nazwiska polskiego, to jeszcze

dziewa się spontanicznie głos krwi, jeszcze swej polskiej szuka paranteli.

W Filadelfji zażywa wielkiego miru znany i szanowany bardzo dygnitarz amerykański w osobie sędziego federalnego pana Mostiskiera, którego nazwisko jako pisownia i jako słówko dla wielu autochtonów bywa nieodgadniętym rebusem. Już dziad pana sędziego rodził się ponoć ze stuprocentowej Amerykanki. Sędzia przecież z całym impetem akcentuje swe polskie pochodzenie, garnie się do Polaków, swemi alokucjami oświetnia polskie obchody, gorąco i szlachetnie współdziała z zamierzeniom rodaków swego praszczura, po którym odziedziczył pierwiastek „most“ i odległą ale mocną tradycję.

Zastanawiając się nad liczbami Polaków, trzeba ciągle uporczywie wypominać, że mowa jest tutaj jedynie o Polakach rdzennych i to bez intencji zaprzeczenia komukolwiek z pośród nierdzennych Słowian-Polaków jakichś praw, uczuć lub przekonań.

Emigracja z ziem polskich ogarnęła również i Litwinów, Białorusinów, i Rusinów i Żydów, — odrywając ich atoli z chwilą wylądowania w Stanach Zjednoczonych od łączności z Polakami, od wszelkiej łączności z Polską jako ich macierzą.

Kmieć polski antysemitą nigdy nie był, do Białorusina, Rusina do Litwina rad był zawsze wyciągać rękę. I w Ameryce się nie boczył, nie odstręczał ani żadnym inwidjom powodować się nie dał. Kiedy go odpychano, tworzone własne środowiska, nie żywił stąd urazy, jeszcze gotów był paktować, wspólnych patrzeć zamierzeń.

Były to jednak mrzonki. Litwini, Rusini od chwili swego przybycia do Północnej Ameryki rozpalali antypolską propagandę. Czasów niewoli żadnych nie mieli względów dla swych własnych, najbliższych pobratymców twardego losu. Krzewili niechęć, gromadzili fundusze na podniecanie antagonizmów, na szerzenie nieprzyjaźni nie tylko w Ameryce ale i tam,

w Polsce. Nie chcieli zbliżenia, nie chcieli pojednania. A tam gdzie np. jak w Kanadzie silniejszą od polskiej tworzyli gro madę, tam umieli zażywać wszystkich swoich wpływów, ab zradziecką politykę dzielenia, która jest fundamentem amerykańskiej supremacji, zwracać przeciwko słabszym liczebnie Polakom.

Wychodźstwo polskie po wielokroć razy zawiedzion w swych usiłowaniach, odprawione, zlekceważone, usunęło się zaniechało relacyj. Ale i wówczas jeszcze nie mogło uniknąć starć i zatargów rozpętywanych przebiegle na forum opinii amerykańskiej. Litwini, Ukraińcy próbowali odbierać Polakom Mickiewicza, ogłaszać Kościuszkę za Litwina, nawet Kazimierza Pułaskiego, urodzonego w Warce pod Warszawą, podawać za Rusina, wykazując rzekomą nicość i zaborczość polskich szewronów, nawet polskiej myśli twórczej. Wychodźstwo było słabo uzbrojone na tego rodzaju ataki. Ciągnęły się one długo, jątrzyły, były wodą na młyny niechęci, przedmiotem długotrwałych waśni, sięgających progu waszyngtońskiego Capitolu.

Dużo złej i bolesnej propagandy stąd wynikło. Marki niemieckie i ruble rosyjskie i tam, za oceanem, czuwały.

Statystyka amerykańska stanęła na punkcie wytwornej bezstronności. Umiała odrazu wyeliminować Litwinów, nauczyła się baczyć na żywioły rusińskie, wydzielać je, w narodowe je zwierać kolumny. Według tych kolumn w roku 1930 w Stanach Zjednoczonych przebywało 439.195 Litwinów, która to ścisłość pozwala odrazu powiększyć ich liczbę właściwą o jedną trzecią i uznać bez pomyłki za okragłe 700.000 głów mniej lub więcej zwartych w czysto litewskich parafjach, w stowarzyszeniach i korporacjach o zabarwieniu wybitnie narodowym. Odstępstwa od tego separatyzmu zdarzają się, wynikają z wysoce taktownego i spokojnego zachowania się Polaków.

Rusini a może ściślej Ukraińcy, i to głównie i nadewszystko

wywodzący się z dawnej Galicji, z dzierżaw węgierskich, a więc z pod Austriaka, należą do emigracji najpóźniejszej, niewielu z nich może się wylegitymować przybyciem przed laty pięćdziesięciu. Obliczają się sami na jeden milion i zdaje się są dokładni. Zgorą 300.000 Ukraińców osiedliło się w Kanadzie. Tworzą tam, w zachodnich prowincjach, najliczniejszą grupę cudzoziemską, wynoszącą od 17% do 18% całej ludności. W Stanach Zjednoczonych można z łatwością dorachować się 600.000 i to zbrojnych również we własne czasopisma, własne instytucje społeczne a co najważniejsze posiadających dwie własne narodowe greko-katolickie djecezje.

Zupełnie swoiście ułożyło się życie wychodźstwa żydowskiego z ziem polskich.

Jewish Statistical Bureau w ostatnim swym obrachunku, latowanym w roku 1927, wykazuje, że w Stanach Zjednoczonych ludność żydowska wynosi 4,228.029 głów i stanowi 3,58% ogółu mieszkańców. Co znaczy, że dzisiaj, po siedmiu latach, przekroczyła niezawodnie liczbę czterech i pół miliona.

Ile wśród tej masy jest wychodźców z ziem polskich?

Można odpowiedzieć, że co najmniej połowa. Zabór rosyjski i zabór austriacki były wszak głównem i naturalnem źródłem emigracji żydowskiej. Rosja cesarska wypierała Żydów ku zachodowi, nie znosiła ich w rdzennie rosyjskich guberniach, skazywała na tłokowisko w swych „północno-zachodnich“, „południowo-zachodnich“ i „nadwiślańskich“ prowincjach. Stamtąd wyciągały ogłodzone, pozbawione przybyleńców obywatelskich rzesze. Do tych tłumów przygarniali się ustosunkowo nieliczni Żydzi galicyjscy. Żydów niemieckich, węgierskich, syryjskich, algierskich, serbo-kroackich były wręcz znikome. W roku 1917 a więc przed zakończeniem wielkiej wojny to samo biuro statystyczne żydowskie stwierdza, że w Stanach Zjednoczonych było już 3,388.951 Izraelitów.

Jakże więc te potężne masy ustosunkowały się do wychodźstwa polskiego?

Zawsze i tylko, jako kupcy i hurtownicy do swej klienteli, niekiedy do ubogich przekupniów.

Zresztą żadnych punktów stycznych, żadnej łączności, żadnej komitywy. Na drugi dzień po przyjeździe do Ameryki emigrant Izraelita otrząsał proch swej macierzy słowiańskiej i pogrążał się skwapliwie w wodach nowego życia, szukając oparcia wśród wcześniej odeń przybyłych współwyznawców. Na polskie obchody, polskie protesty, polskie zmagania spoglądał obojętny, zgaszony dla wszelkich wypomnień o ziemi, z której się wywodził.

Niełaskawą być może bywała mu ta ziemia, uprzytomniała Gehennę poniewierki, nędzy, tyranji. Wolej o takich koszmarach zapomnieć najprędzej.

Aleć i to polskie wychodźstwo i ten lud siermiężny, odarty z nielepszej wywodził się doli. I on był nacierpiał się przez śladowań i on z tych samych mroków szedł, zarówno i chleba i słowa dobrego i obywatelskiego przywileju był pozbawiony.

I owóz zachodziła różnica.

Jeden tułacz, niepomny krzywd, miłował ojczyznę i tę która mu była macochą, — drugi znać jej nie chciał, wyciągał ręce do obcości, wszystko co obce za własne uznawał.

Dzieje wychodźstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych mocne w tej mierze przynoszą dokumenty.

Ilekróć razy Żyd polski Polakiem być chciał, tylekróć razy te polskie chłopcy, te rozbitki nasze naścieżają mu bramy otwierały.

Niestety, niewielu takich było desperatów. Ci przecież którzy sprawę polską i w Stanach Zjednoczonych za swoją ojczyznę mieć chcieli, tym nie poskąpiono miejsca. Cały zastęp publicystów Żydów pracował i pracuje w polskich czasopismach amerykańskich, aczkolwiek niemal żadne z tych czasopism nie jest własnością Izrealeity. W latach kiedy Polska niepodległa ledwie się śniła wychodźtwu, na wpływom i społecznie silnem stanowisku w Zarządzie Związku Naro-

lowego Polskiego w Ameryce zasiadał polski Żyd. Nikt mu szacunku i poparcia nie skąpił, ani jego pochodzeniu nie chybił.

W najgorętszych czasach wielkiej wojny Polacy w Nowym Yorku mieli Żyda lekarza, bez którego żaden mocniejszy oddech, żadna tęższa rada nie mogła się obejść. Czyli się może napraszał, — nie, — chciano go mieć, bo ufano i rozumowi szczeremu sercu polskiemu doktora Łapowskiego.

Ukazywali się i na prawicy i na lewicy wychodźstwa polscy Żydzi, — były to przecież wyjątkowe jednostki. Ogół polskozydowskiej emigracji trwał obojętny, jeżeli się przysuwał do polskich osiedli to szedł w tem o lepsze z kupcem Niemcem lub Anglikiem. Tyle dochowywał polskości, ile tego wymagały międzynarodowego handlu zasady. I dziś jeszcze w najwspółczesnym składzie, w najpiękniejszym magazynie amerykańskim starczy wśród sprzedawców Izraelitę wypatrzeć, aby się z nim rozmówić. Ale to tylko *business*. Żydzi w Stanach Zjednoczonych zdobyli olbrzymie wpływy, umieli dotrzeć do najwyższych urzędów, ludzie zdolni, obdarzeni cnotą solidarności umieli się wybić, przetrwać wielokrotnie liczniejszą i starszą od siebie emigrację polską, umieli z Anglo-sasami stanąć w szrankach.

Mamy przed sobą hardy wykaz nowojorskiego czasopisma „*Jewish Tribune*“, które z poczuciem słusznej dumy mierzy polityczne Żydów amerykańskich.

Z dziewięciu członków Najwyższego Sądu Stanów Zjednoczonych jest („tylko“ — jak podkreśla „*Jewish Tribune*“) dwóch Żydów. — Siedmiu Żydów zajmuje nie mniej wysokie stanowiska sędziów Najwyższych Sądów Stanowych. — Pięciu gubernatorami Stanów Floryda, New Mexico i Oregon nadto dwu tak olbrzymich stanów jak Stan Nowojorski i Stan Illinois. W Kongresie zasiada dziesięciu posłów Żydów siedemdziesięciu ośmiu Żydów zasiada w legislaturach stanowych. Na czołowych miejscach dyplomacji amerykańskiej

Żydzi są posłami w Szwecji i w Costa Rica, mają tylko jednego ambasadora ale w Paryżu. Członkiem gabinetu prezydenta Roosevelta jest Henry Morgenthau, natomiast wśród najbliższych doradców tegoż prezydenta znajdują się tak wpływowi Izraelici, jak Bernard Baruch, Feliks Frankfurter, Jerome Franc, Mordecai Ezechjel, Charles Wyżański, Isidor Lubin.

Za tymi dygnitarzami już całe kohorty mniejszych figur, nie tak imponujących, ale w działaniu i dążeniu równie zwartych.

Żydzi ponadto są w Ameryce panami giełdy, kontrolerami rynku pieniężnego, królami niezawodnymi prasy amerykańskiej, mają w ręku cały Hollywood, teatry, są głównymi producentami i właścicielami konfekcji damskiej i męskiej, mają najlepiej zorganizowanych potentatów handlu i najsilniej związane ze sobą stragany przekupniów. Rej wodzą w adwokaturze, medycynie, sztuce, tysiącami oblegają uniwersytety, są elementem zdobywającym, wybijającym się na czoło amerykańskiej wiedzy, amerykańskiej myśli.

Żydzi w Ameryce występują jako rasa silna, rasa w zawrotnych rzutach asymilująca nowoczesną cywilizację.

Ścisłość nakazuje przypomnieć, że solidarność Żydów amerykańskich, w stosunku do Rzeczypospolitej, miewa swe czujne nastawienia. Bywa hojna na rzecz potrzeb materialnych swoich współwyznawców w Polsce i niezmiernie wrażliwa na byle pozór antysemitycznych ruchów. Na pierwsze wezwanie spieszą chętne datki, na pierwszy alarm zrywają się protesty. Trzy czwarte prasy amerykańskiej rzuca gromy na polskie społeczeństwo, polskie konsulaty szukać muszą osłony przed wrogimi manifestacjami. Na wychodźstwo polskie spadają najbliższe konsekwencje. Coś się raptem psuje w relacjach z Amerykanami, wynikają jakoweś niespodziewane utrudnienia, ustają pewne nawet zarobki.

Jeżeli błoga cisza zalega na polskim horyzoncie, relacje wracają do całkowitej obojętności.

Z tem się trzeba pogodzić.

Słusznie czy niesłusznie Żydzi amerykańscy są usposobieni negatywnie. Ciążą po staremu, po dawnemu. Wczoraj byli dobrowolnymi sprzymierzeńcami Niemców, dziś się chylą ku sowieckiej Rosji, jutro zwrócą się może znów ku Niemcom. W najlepszym razie przeszkadzać nam nie będą.

Wychodźtwo pogląda na tę sprawę zbliska i milczy.

Chicagoski publicysta wzdycha smętnie:

„Liczebnie nas, Polaków, jest daleko więcej w Stanach Zjednoczonych niż Żydów. Czemu jednak istnieje taka ogromna różnica na naszą niekorzyść we wpływach i znaczeniu? Kto jest winien naszemu upośledzeniu, naszej niemocy?“

Tysiąca lat historii nie starczyłoby podobno na sformułowanie odpowiedzi.

Z tych wszystkich litewsko-ukraińsko-żydowskich separatyzmów w Ameryce rodzi się jaskrawy separatyzm wychodźstwa, który nawet jego liberalne odłamy skłania do trzymania się zdaleka od „mniejszości“.

I wydaje się często powierzchownemu sądowi, że wychodźstwo niechęci są następstwem jakiegoś zacofania, jakiegoś zaściankowania się, jakiegoś zachowawczego obskurantyzmu.

Tymczasem, na wiele lat przed zaostrzeniem pewnych przytyków, to właśnie prostacze, niewymyślne wychodźtwo było mimowolnym świadkiem rozpalania złości, kucia nożów hajdamackich, tam, w Ameryce. Ono po wielekroć razy szukało pojednania, szukało zgody i jedności z Litwinami, ono pragnęło zbliżenia z Ukraińcami. Dziesięćkroć odepchnięte, lekceważone, jeszcze pukało do prowodyrów.

Sprawa była jedna, ból jeden, — ale jeno w rozumieniu polskiego emigranta.

Zabójca Andrzeja Potockiego snuł się po Rochester, błakał od Polonji, kęsa chleba był chciwy, — nienawidzić nie

przestał, za wielką wyrządził był krzywdę, aby zaznanych krzywd nie pamiętać.

Gdybyż bo emigranci z Polski, wszyscy bez wyjątku, dochowywali starokrajskiej wiary, gdybyż łączyli się w moralnem bodaj dążeniu do sprzyjania tej Zmartwychwstałej, Zjednoczonej, gdybyż nie pięć ale całe dziewięć milionów stawało w szeregu!

Mrzonki, frazesy, puste wyrazy.

To, co się stało, nie wróci, już się nie odmieni.

Miał się uwodzić fantazjami, — zdrowiej spojrzeć prawdzie w oczy i tem śmielej, że ta prawda jest niesłychana, ciągle nieogarnięta i niedoceniona.

Za oceanem trwa po dziś dzień czwarta dzielnica Polski, trwa silna, licznie mocna, duchem potężniejąca, trwa i czuwa.

KRZYŻOWE BOJE I AJRYSZSKIE PSIAWIARY

Ciężko z Polakami a najciężej chyba było z polską emigracją w Ameryce.

Ledwie się kilkuset ludu zbije w gromadę, już pomruki, wydziwiania, kwasy.

Wpobliżu stoi kościół wystrzelisty, przestronny, nawet czasów solennych uroczystości pusty. Kościół katolicki więc angielskiego języka a irlandzkiego duszpasterstwa. Przygarnąć się więc i pocziwie wiary dochowywać. Juści do nierozumiejących trzebaby w ich cudacznym języku. Owóz się czyni, patrzy się takich wikarych, coby barbarzyństwa zeskrobali i do jednej irlandzkiej owczarni nikczemniejszej wełny owce zapędzili.

Lecz ani sposobu. Proboszcz się frasuje, nadzieja zwiększenia parafji ucieka, a tu ani dobrocią, ani złością, ani przez tłumacza, ani przez policjanta fabrycznego. Ten i ów do kościoła zajrzy, nawet rozpląszczy się na ziemi, niby gad nieczysty, i więcej się nie pokaże. Religja takuteńka, rzymskiego ordynku, apostołskiego składu i nie widzi im się. Wolą na rozstaju się zbierać i pojękiwać litanje, pieśni chropawe zawodzić. Z tym klechą przybłądą również trudno dojść do ładu, toby chciał inaczej i tamto inaczej, prastarego zwyczaju irlandzkiego, co bodaj od samego świętego Patryka się wywodzi, nie uszanuje, a gębę rad wykrzywia do mowy, której dopuścić nie mogą nawy kościelne.

Z tego apelacje do biskupa.

Sprawiedliwość zgóry wiadoma. Ale co sprawiedliwością z taką dziecą. Chyba im folgować. Gdy im pojaśnienie w gło-

wach a język się rozwiąże, klauzule się znajdują, tymczasem niechże sobie po swojemu.

Dawać tutaj tego filistyńskiego klechę.

Biskup mu dopiero po łacinie.

— Chcesz się rządzić w kościele, to sobie kościół wybuduj. Naści konotatkę. Za co? — Za wasze własne pieniądze.

I klecha brał za kij i szedł i budował polski kościół. Homeryczne, trudne do uwierzenia dzieje.

Tłum biedaków i znikąd pomocy, samemu trzeba wszystko, plac kupić, majsterka znaleźć, budulec ciuć, samemu do łopaty, do taczek, do cegły w dni świąteczne się przykładać.

Świątynie polskie zda się rosły w Ameryce z całym wychodźstwem.

Najpierw buda ledwie sklecona, drewniak, niekiedy dawna szopa, szczątek warsztatu, niekiedy wprost bożnica żydowska, porzucony przez baptystów lub metodystów prymityw zboru, niekiedy resztką dawnego teatrzyku, — a dopiero z tego prowizorycznego schroniska rojenia zawrotne o zrębach kamiennych, o marmurach, o witrażach, o chwały bożej najwspanialszej sprawie.

Ba i często droga daleka bo w cudaczne wygięta skręty.

Było to nie przed siedemdziesięciu ale przed dwudziestu zaledwie laty. Nie w czasach odległych kiedy to, w roku 1870, w Polonji (Stanu Wisconsin) ksiądz Dąbrowski jeszcze na probostwie siedział, ale kiedy to już w Milwaukee jedenastą dźwigano świątynię polską. Budował ją proboszcz zamaszysty, działacz zawzięty, budował nie pierwszy raz w swem pionierskim życiu.

I chlubił się swem dziełem i oprowadzał.

Dwa gmachy rozłożyste galerją splecione, dziesiątkami okien rażno poglądające. Obok nich kamienica czworogranna a dalej, wśród zielonych kwadratów trawnikowych, szerokie, płaskie, ledwie ponad ziemią wystające, belkowaniem pokryte rozsypiska.

— Więc kościół?

— Ano właśnie. Czwarty rok idzie budowa. Jesteśmy ciągle w katakumbach.

— Niesporo się układa.

— Gdzie zaś, idzie jak z płatka. Musieliśmy od początku. Tedy najpierw gmachy szkolne, dom dla siostr nauczycielek. — Jakże dwa tysiące pięćset drobiazgu bez polskiego słowa bożego zostawiać. — Najpilniejsze się uczyniło, reszta sama się dokona. Duchem śmigniemy w górę, skorośmy się ze szkołą uporali.

Tak było przed laty dwudziestu na parafji Milwaukee księdza Wacława Kruszki, nieinaczej się działo przed laty kilkudziesięciu, nieinaczej dziś jeszcze.

Kościół i szkoła, to były dwa hasła, skuwające ze sobą wychodźców, dwa nierozzerwalne węzły, dwie ostoje, dwie krynice, dwa źródła ożywcze.

Dzieje osiedla polskiego, dzieje każdego skupiska były najpierw i tylko dziejami pierwszego polskiego kościoła, pierwszej polskiej szkoły. Latami się porano, latami mordowano. Każdy ołtarz był jakby etapem, każda nowa izba szkolna rezultatem gromadnego wysiłku. Wszystko powstawało z dobrowolnych ofiar, z dobrowolnych podatków. Znikąd pomocy, znikąd współdziałania, wzamian coraz więcej przeszkód, coraz więcej niechęci, coraz więcej przekory. A najwięcej ponoć utrapień, wynikających z nieznamomości, z nieświadomości praw i przywilejów. Polski ksiądz, polski wychodźca rozumiał był, że to, co własną pracą, własnym groszem buduje, wznosi, jest jego niepodzielnem dobrem, jego bogactwem. Władzę diecezji, władzę biskupów mierzył według starokrajskiego ustroju.

Podczas nie ogarniał dobrze znaczenia faktu, że kościół katolicki w Stanach Zjednoczonych był i pozostał na warunkach misyjnych, że, nie posiadając zawartego konkordatu z władzami amerykańskimi, trwał i trwa w stadjum pracy

egzotycznej pośród nienawróconej czy obcoreligijnej społeczności.

Stąd nie zdawano sobie sprawy dobrze, że biskup, sam przez się, jest władzą bezapelacyjną, że kapituły są w Ameryce bezsilne, że wszystkie majątki i gmachy parafij rzymsko-katolickich muszą być przepisane hipotecznie na własność odnośnych biskupów.

Nawet, kiedy djecezja występowała do parafji polskiej z żądaniem przepisania tej własności na rzecz biskupa, poczytywano to zrazu za formalność, sposób pieczy nad wyznaniową placówką.

Złudzenie było krótkie.

Wznoszone skrupulatnie przepisowe opłaty na rzecz djecezji, przepisowe kolekty na jej cele zaczęły nie wystarczać. Biskupstwo miało swe własne ambicje, dążące do wzmożenia swych instytucyj, swych wpływów. Potrzebowało pieniędzy. A owóz właśnie szereg parafij polskich, dobywszy się z ciężkich kłopotów, zdołał nakoniec spłacić długi, wybielić zamazane hipoteki, o dostatniejszym bytowaniu zamarzyć, gdy oto, niespodziewanie spada grom. Biskup zaciągnął pożyczkę na gmachy i własności polskich parafij. Dług nowy i jego ciężary spadły na parafjan.

Stąd poruszenie, wyrzekania, nieskończone delegacje i nękanie bezsilnego proboszcza.

Niemniej dotkliwe utrapienia z każdym nowym projektem, z każdą myślą o rozbudowie, o poczynaniach jakichś nakładów. Biskup jest właścicielem parafji a tu większej szkoły parafjalnej się zachciewa, — zadość już tych szkół, tego szkodnictwa opóźniającego zanglizowanie.

Nie łudźmy się.

Hierarchja rzymsko-katolicka w Stanach Zjednoczonych jest w ręku Irlandczyków i Niemców, z nich pierwsi trzymają prym i idą o lepsze z drugimi.

Parafje czysto polskie, które, po deszczu polskiej emi-

gracji, wyrastały jako grzyby, poczytywane były za okres przejściowy. Hierarchie rozumiały, że po kilku, wreszcie kilkunastu latach ulegną one automatycznemu wynarodowieniu. Stało się inaczej. Lud wychodźczy rozrósł się, zubożać i okrzepł.

Rozpoczęła się walka zrazu cicha, minowa, wywierająca nacisk na podwładne polskie duchowieństwo. Duchowieństwo to przecież bywało do uprzykrzenia krnąbrne, do uprzykrzenia strzegące polskiego obyczaju w powierzonych mu owczarniach.

Zatargi się mnożyły, lud murem stawał.

A największymi ponoć bróddzicielami było i jest duchowieństwo polskie zakonne.

Na ich czele szli zawsze ojcowie franciszkanie, wywodzący się z pierwszych działań pomienionego kardynała Ledóchowskiego, niegdyś prefekta propagandy wiary, słynnego „czerwonego“ papieża, który był wyprawił księdza Leopolda Moczygębę dla założenia w Ameryce pierwszego seminarjum polskiego.

Franciszkanie ruszyli naprzebój. Musieli zrazu stoczyć walkę w swem własnem zgromadzeniu. Zakon ich był w rękę niemieckiem. Dokonali przecież. Utworzyli swą własną polską prowincję w Ameryce i jako niepodlegający władzy biskupów djecezalnych, rozwinęli szlachetną działalność. Obok franciszkanów stanęli polscy misjonarze, a więc bracia francuskiego znów ordynku, w najwyższej swej władzy bezwzględnie Polakom życzliwego, dalej jeszcze zjawili się zmartwychwstańcy polscy, w ostatku „Duchacze“ zakonu Św. Ducha, patriotyczne a niewyczerpane w swej nauczycielskiej pracy siostry felicjanki, nazaretanki, franciszkanki, całe zastępy gorliwych pracowniczek.

Duchowieństwo zakonne stało się odrazu podporą duchowieństwa świeckiego ale i to ostatnie przez długie lata było silne i solidarne.

Niemal wszyscy starsi proboszcze odznaczeni się wielkiem poczuciem obywatelskiem, byli gorliwymi strażnikami i krzewicielami tradycji narodowych.

Niełatwa była z nimi sprawa. Rozbudowane mocno, zasobne, oparte o dziesiątki nieraz organizacyj społecznych, parafje polskie były trudnemi do zdobycia twierdzami.

Kto tych fortec zbliża nie oglądał, nie objeżdżał ten nie uwierzy.

Oto jedna z nich, może bardziej nowoczesna.

Miasto New Britain, w stanie Connecticut, 68.000 mieszkańców, miasto ładnie zabudowane, czyste, mocno angielskie.

W centrum miasta New Britain wielki plac, półtora raza większy od dawnego Saskiego w Warszawie, — okolony zwartemi pasmami zamożnych dworców rezydencyjnych.

Na placu gospodarstwo księdza Bójnowskiego. Na pierwszym planie kościół potężny, jakiegoby się Krakowskie Przedmieście nie powstydziło. Hen, wdali, parafjalna szkoła początkowa, czteropiętrowe, olbrzymie skrzynie, 2.000 dziatwy ładują wygodnie. Obok szkoły początkowej gmach szkoły średniej. Dokoła miejsca na gry i zabawy, tuż sala parafjalna na zebrania, resursa cała z urządzeniami scenicznymi, garderobami i t. p. Niedaleko znów dom sióstr nauczycielek i dalej zieleńce i wolne przestrzenie. Lecz to zaledwie część gospodarstwa proboszczowego. O kilka ulic dalej, wśród ogrodu, zabudowania Sierocińca, — za Sierocińcem — Dom Starców, jeszcze dalej własna drukarnia, kilkanaście hektarów parku, szpital. I to wszystko plon zabiegliwości i pracy wytrwałej jednego księdza polskiego w Ameryce, dzieło jednej polskiej parafji, dwudziestu kilku lat zabiegów.

Ostry to człek ów ksiądz Bójnowski. W ryzach trzymających swych parafjan. Wtrąca się, miesza do każdego zakupu własności, do kłopotów każdego sklepika, do każdej zaciąganej pożyczki, pilnuje zawzięcie, aby mu kto przez nieopatrność

na dziady nie wyszedł. Na wszystko co polskie grosza nie skąpi; sam wyprawia bale dla młodzieży, sam do tańca zachęca ale zważa, aby mu akuratnie dziewczyna z dziewczyną, a chłopiec z chłopcem się wykręcali, nie inaczej. Plebanję ma w starym drewnianym kościele, na dwa pięterka przepołowionym. Na dole, środkiem, korytarz i w tym korytarzu sala jadalna, bokami wąskie celki dla wikarych i pokoiki gościnne. Zboku kancelarja i biblioteka i lamus w jednej spiętrzonej izbie. A ponad tem wszystkim łomot i bieganina, bo tyle drobiazgu przybywa, że trzeba było połowę plebanji na dodatkowe przerobić klasy. A główna rezydencja księdza proboszcza, — to ciemna komórka pod schodami, tam sypia, tam się modli, tam się frasuje, aby na całe to olbrzymie gospodarstwo starczyło. Trudno sobie przypomnieć gdzieby to na ziemi polskiej jedna kilkotysięczna parafja umiała tyle dobra przysporzyć, tyle szkół utrzymać, tyle dziatwy nauczać, tyle niedołęstwa ludzkiego wspomagać. Lecz i w Ameryce jest to nielada dziwowiskiem. Brytyjczycy w New Britain zdumiewają się i bardzo nisko kłonią głowy przed tym starokrajским klechą, co gdzieś aż z grodzieńszczyzny przywędrował, i biskup miejscowy politykuje, nie poradzi z takim ascetą. Trzeba czekać, patrzeć chwili, rychło śmierć wyłom uczyni.

Ale i nie wszyscy biskupi amerykańscy są Polakom niechętni. Zdarzały się i zdarzają jeszcze wyjątki. W jednej diecezji błoga cisza. Ojcowskie z hierarchją węzły, tuż obok zadzierki, przepierania, chęć postawienia na swoim, na irlandzkim.

Zrozumieć tego niesposób, wytłumaczyć niepodobna.

Irlandja, Irlandczycy toć przecież kraj, dla cierpień którego żywiono w Polsce najgłębsze współczucie. Naród gnębiony, anglizowany przemocą, przez całe wieki ze swobód wyzuty. Naród, któremu zdołano już wydrzeć mowę ojczystą, który język zaborcy uznał w ostatku za własny. I ci pobratymcy niedoli polskiej, takż emigranci, takż wydzedziczeni

przeistoczyli się na Ziemi Washingtona w wynarodowiaczy, w tych niecierpianych przez polskich wychodźców „ajryszów“.

Zrywał się niekiedy głos uczciwy, jako na przykład kiedy to na sejmie polskim w Filadelfji, w roku 1924, kardynał Daugherty, w uniesieniu krasomówczem, złożył hołd wielkim zdobyczom polskiej imigracji, która, w przeciągu niespełna pięćdziesięciu lat, zdołała utworzyć 800 parafij polskich, zgromadzić 1.200 polskich kapłanów, zorganizować 600 polskich szkół parafjalnych, zebrać w nich i uczyć 350.000 polskich dzieci.

Bywały to głosy wyjątkowe, oderwane, niezdolne umniejszyć ponurej prawdy.

Wychodźca polski i tu, na wolnej ziemi, musiał walczyć już nietylko o byt ale i o pacierz polski. Formy tej walki bywały mniej brutalne, jednak równie nieubłagane.

Jak było wyłuszczone, zaczęło się od zagarnięcia tytułu własności do kościołów, szkół i instytucyj parafjalnych, od obciążania tych własności długami, zaciąganiem przez djecezje na rzecz irlandzkiej i niemieckiej djecezji. Opór był tłumiony przy pomocy policji. Djecezje miały za sobą sądy amerykańskie. Z tych bolesnych zgrzytów wynikło systematyczne odmawianie mianowania na osierocone probostwa polskie proboszczów dożywotnich. Wyznaczano tymczasem administratorów, więc każdej chwili usuwalnych.¹ Szukano między młodzieżą wikarjacką ludzi powolniejszych na angлизację, wykształconych w angielskich seminarjach, łatwej kariery chciwych. Wreszcie zaczęto odmawiać zezwolenia na zakładanie nowych polskich parafij.

Z tego wynikły skargi, apelacje do Rzymu, protesty a w ostatku odszczepieństwo. Bezpośrednim sprawcą tego od-

¹ Koncyljum biskupów w Baltimore (1884 r.) postanowiło, aby tylko co dziesiąty proboszcz był nieusuwalny. Był to obuch przeciwko klerowi cudzoziemskiemu. Dość wypomnieć, iż w roku 1905 było wśród proboszczów nieusuwalnych tylko trzech Polaków.

szczępieństwa był osławiony biskup irlandzki djecezji Scranton w Pensylwanji, biskup O'Hara, człowiek z natury nie-taktowny i zawzięty. W roku 1896, parafjanie kościoła pod wezwaniem Serca Jezusowego w mieście Scranton zapragnęli współpracy z proboszczem w zarządzie majątkiem kościelnym, który powstał z ofiar dobrowolnych. Biskup odmówił zezwolenia i zagroził policją. Stąd wynikły awantury przed kościołem, uwięzienie i skazanie kilkudziesięciu osób na mniejsze i większe kary. W sąsiednim mieście, Nanticoke, proboszczował wówczas ksiądz Hodur, zażywający znacznej popularności. Parafjanie scrantońscy udali się do niego po radę. Ten zalecił im opuścić parafję, wybudować nowy kościół i dopiero szukać rozstrzygnięcia. Gdy fundamenty nowego kościoła w Scranton były gotowe, delegaci nowej parafji udali się do biskupa O'Hara z prośbą o poświęcenie i wyznaczenie proboszcza. Biskup oświadczył kategorycznie: „Wówczas poświęcę fundamenty i dam księdza, jeżeli na mnie przepiszećie własność“.

Ksiądz Hodur był snąć zdeklarowany na zapoczątkowanie odszczepieństwa. Na pierwsze słowo, objął zarząd nowopowstałej parafji Świętego Stanisława i za polsko-narodową, niezależną ją ogłosił, stało się to dnia 14 marca 1897 roku.

Iskry padły na mocno nasiarkowany materiał. Bunt przeciwko biskupowi targnął djecezję scrantońską, rozlał się po Pensylwanji, sięgnął stanu New Jersey. Wydawał się przecież przelotnem zjawiskiem, ufano, że opamiętanie weźmie górę i powrót zbłąkanych niebawem nastąpi. Parafje narodowe dźwigały się i rozpraszały. Ludzie byli niezdecydowani. Nowej organizacji kościelnej brakło duszpasterzy. Na proboszczów zgłaszali się rozbitkowie życiowi, z pośród duchowieństwa katolickiego zaś często księża nie dla sporu o polskość będący w zatargach z hierarchją. Zresztą nie szło o żadne różnice dogmatyczne, więc jednym pociągnięciem pióra można było krnąbrnych skłonić do posłuchu.

Zawziętość nie chciała pójść na ustępstwa. Przedłożenia czynione przez zrównoważony kler polski, nie doczekały się odpowiedzi. Irlandczycy, wspierani przez Niemców, za wszelką cenę postanowili zagarnąć własności polskich parafij, księży polskich ująć w kleszcze, zanglizować polskie świątynie. Była to woda na młyn księdza Hodura.

Jedynym ratunkiem był Rzym. Kołatano doń przez episkopat polski, przez wpływy zakonne, wyprawiono wreszcie delegację. Coś w roku 1903 pierwsza się odprawiła. Delegacja błagała o ustanowienie djecezyj polskich, o mianowanie polskich biskupów, bodaj o procentową liczbę infułatów polskich w stosunku do ogółu katolików w Stanach Zjednoczonych. Rok 1903 był atoli rokiem zgonu Leona XIII i początkiem pontyfikatu Piusa X. Chwila była niefortunna, bo i pamiętny służący protest kardynała Puzyny, który na konklawe, jako jedyny kardynał polski, dał się zamienić na instrument austriacko-niemieckiej dyplomacji, również sympatji imieniowi polskiemu nie sporzył. Lecz, pomimo wszelkie przeszkody, po dziesięciomiesięcznych zabiegach, Pius X zawyrokował: „Stanie się podług waszych życzeń“.

Radość była wielka ale krótka. Episkopat amerykański podjął rękawicę. Na polski kler padły straszne oskarżenia jako na element niesforny, uchybiający kanonicznym prawom, niedość rzymski, powołaniu kapłańskiemu raczej ujmę przynoszący. Kogóż tu konsekrować, kogóż tu wybierać, gdy ani wykształcenia, ani obyczajowości, ani należytego umiłowania Stolicy Piotrowej. Delegata do Rzymu, ks. Wacława Kruszkę, upierającego się przy obietnicy papieskiej, ogłoszono za buntownika i podżegacza. Wreszcie jęto pracować na urobienie sobie faworytów, na wytworzenie rozłamu wśród kleru polskiego.

Tymczasem, jako niezawodny rezultat zabiegów ks. Kruszkę w Rzymie, nastąpił, w roku 1905, przyjazd do Stanów Zjednoczonych ks. arcybiskupa Symona, w charakterze delegata

apostolskiego a to w celu zbadania stanu parafij polskich, wysłuchania zażaleń i przedłożenia odpowiedniego raportu Piusowi X.

Objazd parafij trwał szereg miesięcy, zamienił się był na pochód triumfalny. Arcybiskup Symon, jak to wypominano, był pierwszym biskupem polskim, który stanął na Ziemi Washingtona i dokładnie dopiero w pięćdziesiąt lat po założeniu pierwszej polskiej parafji (Panna Marja, Texas, 1855 rok)! Lecz ten objazd zawiódł spodziewania Polaków amerykańskich. Arcybiskup Symon się łudził. Przebiegłość Irlandzka zwyciężyła. Rzym umilkł a przecież nawet prezydent Teodor Roosevelt, na posłuchaniu, udzielonem arcybiskupowi Symonowi, wręcz mu oświadczył: „Gdyby urzędowe stosunki państwa z Kościołem temu się nie sprzeciwiały, tobym powiedział Papieżowi, że byłoby bardzo dobrze dla ludu polskiego, ażeby jego kler miał swoją reprezentację w hierarchji Kościelnej w Ameryce“.

Te słowa miały wyrzucić wielkie wrażenie w sferach amerykańskich, nie dały jednak rady „ajryszom“.

Na ujęcie tych dziejów nie starczyłoby księgi, wszak to zagórą pół wieku tego szamotania się w Ameryce, tego brania się za bary z irlandzko-niemiecką hierarchją, skarg, wyrzeknięć, odszczepieńskich hasel i polipich ssawek, na pacierz polski nieubłaganych.

Aby przecież wzrastającą walkę o polskich biskupów ułagodzić, zażyto nielada fortelu. Oto, wiszącego przy katedrze lwowskiej, ks. arcybiskupa Webera zaproszono do odbycia nowicjatu u ojców zmartwychwstańców w Rzymie, no i tak przekształconego wyprawiono do zakładu ojców zmartwychwstańców w Chicago. Arcybiskup Weber był niby nieoficjalnym opiekunem Polaków, zresztą, strudzony wiekiem, chorzał i wkrótce życia dokonał.

W międzyczasie przecież (rok 1908) konsekrowano na biskupa ks. Pawła Rhode, ale dokładnie dopiero w rok po wy-

promowaniu się ks. Hodura na pierwszego biskupa kościoła polsko-narodowego w Ameryce, dopiero w rok po konsekrowaniu bazylianina, ks. Ortyńskiego, na grecko-katolickiego biskupa dla Ameryki. A kiedy żarliwa agitacja nie przestawała domagać się polskich biskupów, już raczej dla uciszenia burzy, w roku 1914, konsekrowano na biskupa ks. Kozłowskiego, mianując go sufraganiem Milwaukee. Rychły zgon i tego infułata zniweczył chwilowe zwycięstwo, przyszła wojna, zmiany na Stolicy Piotrowej, aż w roku 1924, znów po całych walkach, nowy pozór względności, gdyż mianowanie sufraganiem djecezji detroickiej ks. Plagensa, w ostatku sacra, w roku 1923, ks. Bony na biskupa djecezji Grand Island w Nebrasce.

A więc może wrota otwarte, może droga wymoszczona ku zgodnemu pożyciu, ku zaniechaniu gnębienia katolików w łonie kościoła rzymsko-katolickiego w Ameryce. Niestety, żadnych złudzeń.

Ksiądz biskup Rhode w djecezji swej ma zaledwie dwadzieścia pięć parafij polskich, ksiądz Bona ma pięć polskich parafij i ma mniej w swej djecezji katolików aniżeli jeden mocniejszy proboszcz w Chicago, ksiądz sufragan Plagens jest bezwładnym adlatusem swego irlandzkiego zwierzchnika.

Natomiast kościół narodowy liczy w tej chwili cztery „djecezje“, ma 140 parafij, sięga 220.000 wyznawców! Greko-katolicy posiadają dwie niezależne od „Ajrysów“ djecezje narodowe, jedną czysto ukraińską i drugą kroacko-rusińską.

Polacy zaś, którzy stanowią jedną czwartą wszystkich katolików, zamieszkałych w Ameryce, mają tylko trzech biskupów, z których żaden nie może zajmować się wyłącznie katolikami Polakami i z których żaden nie razi uszu „ajryskich“ dygnitarzy czysto polskiem brzmieniem swego nazwiska.

Jakże to wygląda wobec listy dygnitarzy katolickich w Ameryce?

Jedna czwarta katolików ma tych trzech wątłych biskupów. A pozostałe trzy czwarte mają: czterech kardynałów,

16 arcybiskupów, 93 biskupów i trzech sufraganów. Prosty rachunek dowodzi, że Polakom w Ameryce należy się jeden kardynał, czterech arcybiskupów i 24 biskupów.

Jeszcze jaskrawsze światło rzuca statystyka kościołów katolickich w Stanach Zjednoczonych. Polskich parafjalnych kościołów jest 802, kościołów katolickich wogóle 18.260! Jeżeli by nawet odliczyć kościoły nieparafjalne, to jeszcze uderzyć musi niepojęta wprost liczba świątyń irlandzko-niemieckich. I w niej ponoć tkwi tajemnica tej walki z Polakami. Na te trzy czwarte katolików amerykańskich wypada dwadzieścia razy więcej kościołów, to znaczy budowli, dźwiganych dla propagandy, wznoszonych nieraz dla kilkunastu rodzin, dla garsteczek w myśli zachowania ich, ocalenia przed wpływem protestantyzmu. Stąd koszty, stąd olbrzymie wydatki. Parafje polskie zaś są zwarte i są bogate. Według obliczeń księdza Bubacza, jeszcze z roku 1922, jedna archidiecezja chicagoska posiada więcej szkół parafjalnych polskich aniżeli ich jest w 55 diecezjach amerykańskich! W Detroit, według księdza Bubacza, liczba Polaków przewyższa liczbę wyznawców katolicyzmu w czterech archidiecezjach i 76 diecezjach amerykańskich! Polacy w diecezji buffaloskiej, w porównaniu do ludności katolickiej innych diecezji, przewyższają dwie archidiecezje, 59 diecezji amerykańskich łącznie!

Są to wszystko wyniki chwalebnej niezawodnie propagandy, — ale czemuż ta propaganda nie baczy na spustoszenia krzewione wśród Polaków-katolików, na dziesiątki parafii już nie katolicko-narodowych ale już wprost niezależnych, powstających jako rezultat walki o język polski w kościele.

Majątek Kościoła Katolickiego w Stanach Zjednoczonych wynosi, według ostatnich wykazów 374,206.890 dolarów. — Majątek czysto polsko-katolicki, przy bardzo lekkiej ocenie, tworzy sumę 90 milionów dolarów, dziewięćdziesięciu milionów naciulanych, nagromadzonych staraniem kleru i ludu polskiego! Te cyfry są może najgłówniejszą przyczyną nieu-

blaganej walki z Polakami. Jeżeli jutro Polacy-katolicy się wyodrębnią, umkną te miliony, co główniejsze umkną krociowe dochody djecezyj irlandzko-niemieckich.

Sąż doprawdy jakieś środki na okiełznanie, na ułagodzenie, na wysmarowanie jakąś omastą tak zaciekłego człowieka jakim jest bodaj jeden kardynał Mundelejn, arcybiskup chicagowski, który ruguje proboszczów Polaków, forytuje pokurczów zanglizowanych, odmawia zezwoleń na nowe polskie parafje, przymusza do języka angielskiego?

Przed niewiele laty był moment radosnego spodziewania. Do Stanów Zjednoczonych, na objazd polskich parafij, zjechał był arcybiskup Cieplak. Świetlana postać męczennika, jego olbrzymi autorytet niezachwiane wróżył zwycięstwo. Arcybiskup nie żałował trudu, ostatek sił nadwątlonych poświęcił. Dotarł do rdzenia, zgromadził olbrzymi materiał, natchnął otuchą wychodźtwa, umiał poruszyć lepsze struny episkopatu amerykańskiego. Jeden kardynał Mundelejn nie zdobył się nawet na powinne wyrazy uszanowania dla tak wysokiego bojownika Kościoła. Mundelejn arcybiskupowi Cieplakowi nie pozwolił na odprawienie mszy pontyfikalnej w Chicago! Purpura kardynalska nie zdolna jest złagodzić prusackiej duszy.

Na wyjeździe do Rzymu arcybiskup Cieplak zachorzał nagle z wycieńczenia i dokonał w Nowym Yorku żywota.

Materiały zebrane, dokumenty szczeszły, przepadły!

I sprawa biskupów polskich, pięćdziesięcioletnie zapasy wychodźtwa polskiego w Ameryce nie znalazły sprawiedliwości.

Raczej chmyzy, raczej karłów, nędznych karjerowiczów plebańskiego chleba wychowywać, byle klerowi polskiemu cios śmiertelny zadać. Miłość i pozdrowienie ludowi polskiemu, tam w Polsce, wiernej swej Królowej czcicielce, — lecz te „chamy“, te pięć milionów „chamów“ amerykańskich niech zmarnieje, niech skiśnie bodaj w buntowniczym kacerstwie.

Tysiąc niegodziwości ciśnie się ku wypomnieniu, — ani miejsca po temu, ani dość mocnych nerwów.

Najkarniejsi synowie Kościoła rzymsko-katolickiego nie mogli znieść tych nieprawości irlandzko-niemieckich.

Nieposzlakowany w swych zasadach religijnych, Ignacy Paderewski w mowie swej, wygłoszonej na uczczenie pamięci Jana Smulskiego (12 maja 1928 r. w Chicago), powiedział dosłownie:

„Muszę oświadczyć wszystkim i oświadczam śmiało, że jestem wiernym synem Kościoła rzymsko-katolickiego. Ale jestem przeciwnikiem nakłaniania do modlitwy niepolskiej i słuchania spowiedzi w języku niepolskim. Sprzeciwiam się temu nie tylko jako Polak, ale jako katolik. Potępiam ten gwałt przymusu i zniewalanie do porzucenia mowy polskiej. Przynosi to bowiem stratę nie tylko nam ale i Kościołowi, szereg gorszące odszczepieństwa“.

Za roztoczami doliny Wyoming, niedaleko Susquehanny, kędy spękana, zlasowana ziemia znaczy podziemne kretowiska węglowych kopalni, — góra żarzącego się miazgi węglowego. Za nią, tuż, piramida machin w łamańcach dziwacznych budowli, a u podnóża, zręby ubogich domków, z wątłym kościołkiem pośrodku.

Obchód uroczysty. Narodowa rocznica. Pan „z mową“ przyjechał. Gromada ciemna, wyszarzana, ciężkim trudem nakrzyżowana. Tu, w tych poszarpanych ospiskach, czterdzieści lat bytowania, czterdzieści lat amerykańskiego chleba.

U sędziwego proboszcza w ciasnej izdebce pogawędka.

Do szafki sięgnął, dwie szklanki od herbaty ustawił, z butli żółtym płynem zabulgotał, całe pół kwarty żytniówki kanadyjskiej nalał.

Gość uląkł się tak okrutnej miary. Proboszcz jednym tchem trucicielkę wysączył, sinemi wargami poruszył.

— Czterdzieści lat, — na tem pustkowiu zacząłem, tu z tym ludem się podziewam i tak dogorywam. — Książeczyny

moje i ta siwucha pocieszycielka! — Grzech powiedzieć, byle prędzej się dokonało. — Naści skrypt od kanclerza djecezji! — W przepisowych godzinach szkolnych nauka religji musi się odbywać w języku angielskim, język polski do godzin szkolnych zaliczony być nie może. — Uważ, po czterdziestu latach. — Tum życie sterał, tum z drewna iskier dobywał. — No, pij jegomość, — ale póki dycham, nie ugryzą „ajryskie“ psiawiary.

Tak było w gościnie u proboszcza, niedaleko Susquehanny, za roztoczami doliny Wyoming.

Czy i kiedy nareszcie ktoś się dość potężny zatroszczy, wejrzy na te udręki naszych rodaków za oceanem, rozmaicie powiadają dzisiaj. Słaba atoli byłaby dla przyszłości otucha z tych opowiadań, nikłe wróżby z dorywczych, niedość celowych zainteresowań rodaków w starym kraju, gdyby nie ta odporność, gdyby nie duch mocny naszego wychodźstwa.

Posłuchajcie głosu ojca Justyna Figasa, przełożonego polskiej prowincji franciszkańskiej w Buffalo.

Oto na poświęceniu nowego gmachu klasztornego dla sióstr franciszkanek i szkoły wyższej dla dziewcząt, w dniu 12 czerwca 1927 roku, w mieście Hamburgu, pod Buffalo (stan Nowy York), ojciec Justyn następujące wygłosił pouczenie:

„Przemawiam do was, wielobne siostry, nie jako wasz prowincjał, lecz jako franciszkanin, — zakonnik jak i wy, — w pracy waszej doznacie błogosławieństwa bożego tak długo, jak zostanieie siostrami Polkami.

„Macie uczyć dzieci polskie po polsku i nie słuchać złych podszeptów: *give up polish language, teach children in english, because it is american.*¹

„Americans są tylko Indjanie, więc chyba nauczycie się ich języka, a język polski w Ameryce ma takie same prawa

¹ Zarzućcie język polski, uczcie dzieci po angielsku bo to język amerykański.

jak i angielski, bośmy tak samo, jak i Anglicy, budowali ten kraj w pocie czoła, bośmy zachowali tak samo religję przodków.

„Zaprawdę mówię wam, gdybyście przestały być siostrami — Polkami, — błogosławieństwo boże was ominie“.

Zaiste póki takich ojców Justynów w Ameryce, — „ajryskie“ psiawiary nie ugryzą.

KLĄTWA I BŁOGOSŁAWIEŃSTWO GHETTA

Skupiska polskie w Ameryce narodziły się podobno nie z wiary w gromadę, nie z intencji i woli wychodźstwa, lecz z niechęci wcześniej osiadłych i zadomowionych obco-narodowych emigrantów. Wychodźca polski rad byłby może przygarnąć się, osiąść wśród zagospodarowanych już kolonistów czy mieszkańców ale go nie dopuszczano, nie chciano mieć w sąsiedztwie, spychano na krańce. Nawet kiedy ten wychodźca do komina fabrycznego przylegał, kiedy z tym kominem na lata całe się bratał i tam jeszcze skwapliwa selekcja wydzielala mu odludne zagrody. Nawet wśród morusów kopalnianych był tylko plebsem, był tym pogardzanym, cierpianym ledwie *honky*, nielepszym a może gorszym niekiedy od „Hungarów“, od Italjanów neapolitańskich, od tej hołoty emigracyjnej co darła się z Europy ku amerykańskim żerowiskom.

Na pustkowiach, na podmiejskich wertepach, między glińkami butwiejących cegielni, na śmietniskach metropolij musiał osiadać i tam zakładać fundamenty własnego bytu i dobrobytu. Spajała go wspólna niedola, ludzka niechęć zaprawiała do solidarności.

Polskie mrowie wyrobnicze rośło szybko. Byli między niemtacy, których jedyną modlitwą była myśl o wiosce rodzinnej. Ci odmawiali sobie wszystkiego, byle ciuć zarobki, byle słać za ocean, byle łąnu ziemi tam, w Polsce, się dokupić, byle wrócić. Lecz byli w znacznej większości, emigranci, co rozumieli, że daremnieby się uwodzić nadziejami na powolność zaborcy, że tu trzeba zostawać i trwać.

Ale ci ostatni jeszcze różnili się między sobą. Z pozoru jednakowo wydziedziczeni małorolni czy bezrolni, pasierbowie miast czy miasteczek, lecz niejednakowo czujący zaznane krzywdy. A już najwrażliwszymi, najbardziej świadomymi byli Wielkopolanie, owi słynni już dzisiaj amerykańscy „poznaniacy”. Oni wysunęli się ponad gromady, oni chwycili wodze, oni pokryli osiedla dachami parafij, oni zapragnęli mieć w Ameryce wszystko własne, wszystko polskie, oni wśród chłopskiej emigracji byli niejako „politycznymi” wychodźcami.

Zrazu parafia polska była i celem i ośrodkiem jedynym tych drobnych społeczności. Pod znakiem Męki Pańskiej zawiązywały się pierwsze bractwa, pierwsze stowarzyszenia, zarządki samopomocy, pierwowzory szkółek, nikłe sklepiki, nędzne ale własne handelki. Rojono niekiedy przez całe lata, aby się doczekać między sobą polskiego lekarza, aby zdobyć polskiego prawnika, aby namówić sobie jakiegoś „profesora” lub choćby tęższego organistę.

Podczas znikąd pomocy, znikąd światlejszej opieki, tęższego współdziałania. Wszystko trzeba było za własne, za składkowe centy, za wszystko kosztownem doświadczeniem, krwawym wysiłkiem trzeba było płacić.

Władze amerykańskie regulowały swój stosunek do wychodźstwa polskiego za pomocą pałki policjanta. Najbliższy *squire* był nieodwołalną instancją amerykańskiej sprawiedliwości. A ponieważ dochodem rzetelnym tego prymitywu angielskiej justycji była i jest zawsze połowa wymierzanych kar pieniężnych, stąd gorliwa troska aby tych kar było jak najwięcej. I osławieni „skwajerzy” byli ponoć najboleśniejszym cierpieniem dźwigających się polskich osiedli. Kiedy im brakło materiału sądowego, uciekali się do pomocy wynajętych drabów, którzy wciskali się na zebrania polskie, wciskali między gości na weselach, wywoływali chryje, aresztowanie „catego” wesela, stawienie go przed majestatem „skwajera” i wypłókanie staranne możliwie największej liczby dolarków.

O Polakach wogóle się w Ameryce nie mówiło, bo wogóle nie zajmowano się ludźmi nie posiadającymi praw obywatelskich, a o zwykłe prawa cywilne nie umiających się upomnieć.

Stosunek z władzami autonomicznymi był równie uproszczony. Każde większe i mniejsze miasto amerykańskie posiadało niegdyś, jak i dzisiaj, swoje reprezentacyjne ambicje dla kilkunastu głównych arteryj i wzruszenie ramion na nieuleczalne dzielnice proletariatu. Dopieroż kiedy szło o polskie skupiska, o te, jakby wyrzucone poza mury męty europejskie! Szkoda było każdego wydatku, każdego nakładu, każdej fury kamieni, każdej miotły. Najpierw granity i marmury na szlakach anglo-germańskich, najpierw potoki reprezentacyjnego światła a to co z ciemności się poczęło niech w ciemnościach zapada.

Tymczasem praca na parafjach wzmagala się. Dobytku nie brakło, wraz z nim rodziła się ambicja dorównania tym „prawdziwym“ Amerykanom. Przymus liczenia tylko na własne siły podniecał zawziętość. — Sami dokonamy i jeszcze innym pokazemy!

Dopływ rozbitków inteligencji polskiej, dopływ starokrajskiego kleru rozpłomieniał umysły. Żywe słowo polskie padało na spragniony grunt. Ludziska spijali historie o Piastach, o rycerzach, zdumiewali się chwale porzuconej Ojczyzny, zasłuchiwali się w opowiadania o dawnych bojach, o królach, o cudach w gronostaje polskie spowitych.

Serca prostacze z całą miłością przyłgnęły do tych wspomnień. Zapragnęły je mieć ciągle żywe, rozkochały się w obchodach narodowych, w rocznicach. Polskę nową, nieznaną dotąd w siebie wchłaniały.

Lecz i zapragnęły tę Polskę co prędzej budować, co prędzej z gruzów dźwigać.

Kiedy padło zawołanie, aby tworzyć przy parafjach oddziały wojska polskiego, szal istny ogarnął tłumy emigranckie.

Formowano co tchu jakoweś pułki osobliwe, hufce, baterje bez armat, szwadrony bez koni, ale wzamian wszędy jednako żarliwe, jednako pałające. Zdawało się chwilami na urządzanych rewjach, że stu pięćdziesięcioletniej walki o niepodległość odprawia się reduta. Tyle barw naraz, tyle zmartwychwstałych uniformów, taki poczet bohaterów umiłowanych na sztandarach i proporcach. Kosynierzy Głowackiego Bartosza, żołnierz generała Dwernickiego, artylerja Bema, husarze Sobieskiego, barscy konfederaci, piechota księcia Józefa, legion Dąbrowskiego, rycerze Kościuszki!

Tam, w Polsce, jałowa z gnębiicielami polityka, pełna rezygnacji stateczność, niekiedy tlejąca żagiew społecznej rewolucji, — a tam, w Ameryce, na tych parafjach, w tych zapominanych, pogardzanych kątach uciecha pijana zapamiętaniem.

Polskie chłopcy wojsko sobie wymyśliły. Niedziela w niedzielę, rychtują się przed kościołem szeregi, strojno, zbrojno, w ałabożeństwie ozdoby, pogłowiu ludzkiemu ducha przyczyniają. Na podniesienie łyskają szablance z pochew. Tako czynili przodkowie, tako i chłopcy polskie choć w Ameryce a muszą.

Amerykanie mało zwracali uwagi na te maskarady, które wresztą odbywały się w zaciszach, w nieuczęszczanych przez szanujące się sfery uliczkach.

Aliści te uliczki pęczniały w oczach. Ich mieszkańcy nabiegali i rozmachu i pewności siebie.

Kiedy w roku 1883 zjawiała się w gabinecie burmistrza miasta Chicago polska delegacja i jęła mu wykladać, że jest obowiązkiem zwierzchności municypalnej wziąć udział w polskim obchodzie na cześć króla Sobieskiego, — dostojnik osłupiał. Pięćdziesiąt tysięcy polskiego tłumu! — Gdzie, — kiedy, — jak?! — A mocne to w ozorze, niby po swoje przychodzące. Króla sobie wynaleźli, gdzież, do licha, radca prawny, niech szuka w bibliotece, bo i całej ulicy dla jakiegoś Sobieskiego się upominają.

Kiedy w dniu oznaczonym huknęły dzwony i tarabany jęły dudnić na rozwinięcie polskiego pochodu, który dał się bezczelnie z milwauckiej drogi aż do brzegów miczygańskiego jeziora, całe Chicago wyległo na ulice. Takiej bo parady jeszcze nie bywało. Sztandary, feretrony, jakby procesje kościelne, to wojska dziwaczne całe zastępy, to korowód dziewic w białym to znów konne kawalkady, raz pstro i narodowo, a raz znów historycznie a średniowiecznie. Giermkowie, sznury paziów królowa wśród dworskiego pocztu, muzyki grają, łyskają blaszane zbroje, furkoczą chorągiewki, niekiedy pół kilometra dziatwy, a niekiedy cały kilometr jednej pieśni.

Patrzcie ich tych „Polendrów“!

Aż nareszcie sedno całej uroczystości. Kilkunastu panów w czarnych tużurkach i czarnych cylindrach. Odrazu widać musi ich najważniejsi. Grubo skrobane dostojeństwo. Portasy za szerokie, poły tużurów za długie, palice w białych rękawicach rozczepierzone, ale miny gęste, zadufane.

I nie bez kozery, boć tuż za nimi rydwan szkarłatny, dwa naście koni w kapach wzorzystych, laufry, pajuki, halabardy, książęta austriackie, lenniki, raby. A na rydwanie pod baldachimem pozłocistym on, sam król Jan III, Sobieski, duma parafij chicagoskich, majstersztyk połączonych komitetów.

Gdzieby takiego drugiego Sobieskiego znalazł!

Chłop naschwał, łeb czarny także zlekka kędzierzawy, oblicze trzema podbródkami podparte, nos orli, oko duże, wąs sumiasty a pokrętny, dwa łokcie w barach a cyrkumferencji cztery. I także Jan, nie Sobieski, — ale może Klempka.

Juści jak to w Polsce. Czasu najpogodniejszego dnia bodaj bez srebrzystej chmurki a się nie ostanie.

Tak i z królem Sobieskim. Czapa sobolowa z karmazynem, tuzin strusich piór na kitę, delja zielona aksamitna, na kołnierzu futra cała poducha, spodem kontusz opięty, pas brzuchaty do podółka, a tu skwar dziewięćdziesiąt Farenheita pod baldachimem. Król Jan, według ceremonjału, łaskawie po-

łada, wása mota, ciżbę majestatem olśniewa i ledwie dycha. Pot kroplisty zalewa mu królewskie oblicze, gorącość piecze. Ale nie wytrzymał majestat i kiedy rydwan zwalniał na zakręcie, huknął groźnie.

— Dawajta „halbę“ piwa, bo złażę!

Nie było rady. Trzeba było ugasić królewskie pragnienie. Dystrakcja i uciecha. Nie żał tylemu zdobywcy i całego analityka.

Z tych uroczystości słuchy długie i rumory. Zwiedziały się one osiedla. Cóżbo niby Chicago się naprzęcza. I my gorsi nie będziemy. I my pokażemy Amerykanom, jako nasi skórę wygarbowali pohańcom!

Dzielnice polskie tymczasem mnożyły się, rozpychały łokciami. Szopy drewniane, walące się w gruzy lepianki i budy zaczęły się przeistaczać w dostatnie kamieniczki, w schludne worki, bramowane zielenią rezydencje. Polacy rwali na wygięgi do własnych „hauzów“. Szczędzili byle stać się posiadaczami skrawka ziemi, byle dojść co prędzej do „property“. Honor zewnętrzny, zdobycze materialne zdawały się przodować a raczej może silniej od duchowych się uzewnętrzniać. wychodźca polski z błyskawiczną szybkością nabierał pojęć przechowności, nawet manier przeciętnego mieszcza, swoją odrębność krył zawistnie w tych czysto-polskich zakamarkach. Żył po amerykańsku, ale własnem życiem. W miastach, w największych zbiorowiskach ludzkich miał jakby swoje własne miasta, swoje własne zbiorowiska. Chadzał wśród tych własnymi polskimi drogami.

Po kilkudziesięciu latach, jeszcze i dzisiaj jako i na początku, mieszkał na jakimś „Każmierzowie“, przeprowadzał z „Każmierzowa“ na „Stanisławowo“, brał żonę z „Młotankowa“, kumał się z „Jadwigowem“, od tej umówionej nomenklatury nie ustąpił. Gdy prysnął w pojedynek na krak, gdy osiadł między Amerykanami to jeszcze śpieszył śpieszy jeszcze „na Polskę“, jeszcze ciekaw, co się „na Pol-

see“ dzieje. Ówdzie znów innego nabrał był obyczaju. W Cle-
velandzie przebywał, na jezioro Erie poglądał a trzymał się
uporczywie „Warszawy“, a „na Poznaniu“ rzadko bywał. Ter-
aznów z „Poznania“ clevelandzkiego, clevelandzką „Warszawę“
już nie za tak blisko rodzoną poczytywał.

Ghetta polskie, słynne amerykańskie polskie Ghetta, przed-
miot lekkomyślnych ubolewań, przedmiot westchnień dla
uporczywego separatyzmu rodaków amerykańskich!

W istocie fortalicje niezdobyte, twierdze polskości, twier-
dze języka polskiego, wyspy obronne, pierwsze schroniska wa-
tłych, nieuodpornionych płonek.

Ghetta zbudowały wychodźstwo, Ghetta dźwignęły je na
wyższy szczebel społeczny, Ghetta wykształciły działaczy
Ghetta były żywicielami polskich zawodów wyzwolonych
Ghetta były ośrodkami poczucia narodowego, Ghetta wydały
i polskich milionerów i polskich naukowców i polsko-ame-
rykańskich dygnitarzy.

Polskie Ghetto!

Linja drapaczy nieba, potwornie wielkich, szarych blo-
ków kamiennych zapada się nagle, przechodzi w szeregi ni-
skich, najczęściej jednorodzinnych domków. Na rogach za-
wziętsze budynki. Mniej wspaniałych samochodów, skromniej-
sze okna sklepowe, szary nalot jednostajności, więcej wozów
ciężarowych, mniej cementu i, śród kłębów dymu fabryczne-
go, wystrzelające w górę wieżycy kościołów. A śród zgiełku,
kotłowniska, szczęku, łomotania wozów tramwajowych, huk
rwących niekiedy ulicami pociągów, chmary dziatwy, stad
dziatwy, rojowiska dziatwy, rojowiska drobiazgu ludzkiego.
Tego drobiazgu, którego ani ustrzec przed zmiążdżeniem, ani
upilnować, ani w izbie utrzymać. Aleć, jak powiadają w Ame-
ryce, ulicami Ghetta polskiego Matka Boska zwykła wędro-
wać, Ona dziatwy polskiej chronicielka. I uląkł się tego orę-
downictwa nawet rozgłośny ksiądz Coughlin, amerykański pa-
trjota a bezdietności amerykańskiej gromiciel.

I oto wołał wielkim głosem roku ubiegłego, już za czasów prezydentury drugiego Roosevelta, wołał i upominał.

— Iżaliż dopuścicie, o prawi Amerykanie, aby stolicą Stanów Zjednoczonych zawładnął jakiś „Washingtonski“!?

Lecz i ci, którzy na rolę się dostali, na własnych gospodarowali farmach i ci ku jednemu z miejskiem wyrobnictwem polskiem dążyli. Tam bodaj mniej nawet zapożyczonego od Amerykanów nowatorstwa, jeszcze zawziętszy pęd do tworzenia polskich gniazd. Więc i zakładanie parafij, więc i troska o szkółki, więc zwieranie się w sioła, w rolne osady. Przytem większe poczucie wolności, bo ciekawość władzy leniwa i obojętna. Samemu trzeba było myśleć o wszystkim, samemu borykać się, samemu rządzić.

Bogacze, wybrańcy losu dostawali się odrazu na siakie tańce półka, mieli i dach nad głową i kłopotarstwa farmerskiego początek i jakoweś wskazania na najbliższe miesiące. Biedak, co się roli imał, musiał z puszcza brać się za bary, chaty własnej szukać w leśnem drewnie, ziemię żywicielkę wydzierać z porzeczom, do trudnego znajomstwa dochodzić z boreaszami, z kłopotami, ze zdrażliwych roślin trucicielstwem, z napadami robactwa, z nieznanej przyrody właściwością. Jeżeli przecież wytrwał, jeżeli zwyciężał, wychodził z zapasów okrzepły, wzdorniały, zahartowany.

Nie opuszczał kawałka ziemi, najuboższego nie miał za niewdzięczny, nie eksploatował jej chciwie, nie miał jej sobie za szczebel lecz brał ją sobie za kres. Tam, w nowej Anglii, kędy na skalistych podłożach gruntu zimne, kwaśne, łąki nieczyste, kędy na zboczu wzgórza ulewy wypłókują nawierzchnię, kędy Niemiec, Anglik, Holender, Szkot żywot sobie uprzywilejował, za łatwiejszym chlebem wywędrował, tam polski chłop słynął i pracą i ukochaniem ciężkiego trudu.

Choć w mniejszych bytujący gromadach, choć zdala od miast wychodził, szedł o lepsze, kiedy chodziło o utrwalenie wśród obcych polskiego imienia. Gotów był przykładac

się, supłać grosze, kiedy doń w imię starego kraju zakłałano.

Polscy farmerzy pilnie sekundowali polskim Ghettom. Z oddalonego o tysiące kilometrów Teksasu czuli razem, pragnęli wspólnie, z pod granic Meksyku stali do miast nietylko ofiary ale i co najjętsze siły.

Zasłużone emigranckie rody Kwasigrochów, Przybyszów, Śmietanków, Moczygębów toć kwiaty tego kojarzenia i obcowania farmerstwa polskiego z miejskiem robociarstwem, toć arystokracja chłopska, która dobyła się ponad równię i stała obok najświatlejszych na wychodźtwie, która wraz z nim umiała potrzaskać zawory siedzib amerykańskich.

Dobytek wychodźstwa szybko się powiększał, zwłaszcza tam, gdzie na jego straży stawała rodzina, jej patryjarchalny zaśniedziały ale i zbawienny ustrój. Jeny pierwsze lata małżeńskie przyczyniały frasunku z drobiazgiem. Gdy drobiaz wyrastał, gdy męźniał, rodzina żeń obfite ciągnęła procenty. Na robotę szli wszyscy, w domu zostawała matka na gospodarstwie. Wszyscy pracowali, wszyscy donosili, wszyscy przyczyniali się do powiększania oszczędności, do mnożenia dobytku. Im większy respekt dla głowy domu, im większa czujność matczyna, tem szybszy wzrost wspólnej zamożności. Bywały rodziny tak zawzięte, że nawet w średnio pomyślnych czasach, w pięciory, w sześciory umiały dochodzić do czterysty i pięciuset dolarów miesięcznie! Z tego wszczął się pęd między pojedynkami, którzy, pozostawiwszy w kraju żony i dzieci, sami się wysforowali na emigrację. Nietylko najbliższych, ale i dalszych krewnych zaczęto ściągać do Stanów Zjednoczonych.

Ghetta tymczasem przeistaczały się, zamieniały w dzielnice, jedne rodziły się zaledwie, inne znów na dostojne wyrastały okręgi. Do Ghetta przysuwał się handel amerykański. do Ghetta śpieszyły amerykańskie banki, amerykańskie kasy

oszczędności. Ghetta wreszcie zaczęły głos zabierać w radach miejskich, zaczęły się upominać, zaczęły żądać.

Statystyka amerykańska roku 1920, ta, jak było wykazane, nieprzychylnie dla liczb polskich nastawiona, z racji posilkowania się przy określaniu pochodzenia ludności mapą Rzeczypospolitej skarłowaciała, o cudacznych na wschodzie granicach, — nawet ta statystyka zwiastuje zawrotny materiał.

A mianowicie, w roku 1920, Polacy w Stanach Zjednoczonych (za wyłączeniem Polaków urodzonych w Ameryce) posiadali już 175.855 domów, domów w miastach amerykańskich! Domy te w szacunku opłacanego podatku, przedstawiały wartość 474.693.000 złotych dolarów! Ponieważ do tej statystyki nie wszystkie domy polskie zostały zaciągnięte, ponieważ ta statystyka ma już lat czternaście, nie uwzględnia okresu od roku 1920—1930, okresu niezmiernie pomyślnego, ponieważ szacunek podatkowy w Ameryce nigdy nie doiera pełnej wartości domu, — przeto te liczby urzędowe mogłyby śmiało podwoić.

Ale nawet godząc się na ten okrojony, przestarzały obrazunek, warto poszukać odpowiedzi na zapytanie czyli Polacy w miastach Rzeczypospolitej mają choćby łącznie 175.855 domów, czyli wartość wszystkich nieruchomości miejskich, należących w kraju do Polaków, (tych równie jak w Ameryce, wyodrębnionych z mniejszości), wynosi zawrotną sumę 474.693.000 złotych dolarów?

Poprzestańmy na okrucieństwie braku odpowiedzi.

Najwięcej polskich właścicieli domów ma stan Illinois, bo 172, za nim Nowy Jork 31.126, Pensylwanja 25.971, Massachusetts 20.342, Michigan 20.013, Wisconsin 12.796, Ohio 584, — najmniej domów polskich w Aryzonie, bo tylko siedem, — w piętnastu stanach środkowo-zachodnich miasta, według tejże statystyki, nieruchomości polskich nie wykazują.

Jako odpowiednik, ciągle ta sama statystyka amerykańska roku 1920, — w późniejszych obliczeniach takimi docieka-

niami się nie zajmowała lub też nie chciała ich ogłaszać, — obejmuje wykazy, dotyczące farm, należących do Polaków urodzonych w Polsce. Jeszcze raz sobie uprzątnijmy, urodzonych w Polsce bez Śląska, bez Wołynia, bez Podola, bez Wileńszczyzny, bez Inflant no i Polaków bez Litwinów, bez Ukraińców, bez Białorusinów no i jeszcze bez tych, których już zapisywano jako urodzonych w Niemczech, Rosji lub Austrii, no i jeszcze bez takich, którzy przyszli na świat w Ameryce, choćby się sami za Polaków uważali.

Miało więc być ogółem 17.568 polskich farm, rozrzuconych we wszystkich czterdziestu ośmiu stanach. Rozległość tych gospodarstw wahała się od dwudziestu (akier — 2,47 hektarów) do stu, dwustu, czterystu akrów. Zakres uprawy obejmował wszystkie ziemiopłody amerykańskie, od zbóż do okopowizny, od bawełny do winogrodu, od sadownictwa do plantacji tytoniu i dalej sięgał drewna, leśnej jagody, klonowego syropu, mleczarstwa, hodowli trzody, drobiu, zwierząt futerkowych, rybactwa. Najwięcej farm polskich naliczono wówczas w Wisconsinie bo 3.885, — w Michiganie 2.479, — w stanie New York 1.655, — w Minnesocie 1.385, — w Pensylwanji 986, — w Texasie 740, a zresztą znaleziono je nawet nad Pacyfikiem, nawet w ponurych rozpadlinach Newady i Wyomingu, nawet wśród mokradeł ujścia Mississippi.

Gdybyż osiąść liczby ostatnie, liczby prawdziwe, — gdybyż do nich dodać te kanadyjskie, te z Ontario, Alberty, Manitoby, Saskatchewanu, — dałyby one zawrotne rezultaty, gotoweby całe pokolenia księży Coughlin'ów zarazić polonofobią, lecz i ponoć w nas samych obudzić niewiarę do naszej własnej krwi, do mocy i prężności naszego własnego ludu, do tych zawrotnych cyfr.

KIEDY POTĘGA GROMADY NIE JEST FRAZESEM

Protoplastą zarówno osiedli jak i życia wychodźstwa polskiego w Ameryce była zrazu parafja. Ona była zaczątkiem uspołecznienia, budzicielem, strażnikiem i wodzem pierwszych zrzeszeń, pierwszych skupisk. Proboszcz sprawował obowiązki kierowcy. Nic bez jego zgody, bez jego aprobaty działać się nie mogło. Stowarzyszenia miały charakter wyznaniowy. Okres ten był wszakże względnie krótki. Przekornych duchów, krnąbrnych czy niezależnych narastało. Niechże woła jegomości stanowi w kościele i w parafjalnej szkółce, ale niechże gromada gromadą zostaje. Honory dla kapłaństwa, ale powszechność sama się musi rządzić. Inteligenci rwali się do przewodnictwa. Wykły pierwsze starcia. Z nich narodziły się nowe ugrupowania, jeły powstawać rozliczne stowarzyszenia, które odmawiały duchowieństwu dotychczasowych przywilejów. Jeżeli się ksiądz głaszał, zaciągali go do szeregu z pospolitakami narówni. Wymywano się nadto z obowiązku składania corocznych zawiadczeń o odbytej spowiedzi i przystąpieniu do Sakramentów. Księża powstali przeciwko takiemu nieobyczajowi. Rozprzała walka. Ci na tych, ci na tamtych. „Heretyki“ dalejże „kropidlarzy“, — „kropidlarze“ na „heretyków“. — Łupu po kożuchu szamotano się bodaj przez lat trzydzieści, uczciwie powiedziawszy, bez żadnego dla religji, dla ary uszczerbku a wzamian z wielkim dla społeczeńskiej rotyskiem.

Emigrant, gdy się uporał ze swoją parafjalną ostoją, rozdał się dokoła i garściami dobra sobie sporzył.

Wzorów nie brakło.

Kiedy na ziemiach polskich zaledwie ukazywały się filje cudzoziemskich zakładów ubezpieczeniowych, kiedy uświadomiony obywatel kraju agenta asekuracyjnego wyrzucał za drzwi jako namolnika i wydrwigrosza, — w Ameryce chłop polski wlot ogarnął dobrodziejstwo pomocy w chwili, kiedy czarna wybije godzina.

Po swojemu to zagadnienie rozwiązał. Przystawał do gromady, która wzajem zaprzysięgała sobie ratunek w nieszczęściu. Składek akuratnych w tych gromadach nie było. Jeno kiedy Józek albo Walenty ducha wyzionął, — hukano po gromadzie: „Dawajta wszystkie chłopy po kwodrze“.¹

Z tych założeń poczęły się dwie olbrzymie organizacje polskie, zrazu sobie wrogie, idące na pazury, grzmocące się nie-litościwie a w ostatku dwa potężne, równoległe, harmonijnie toczące swe fale zrzeczenia.

Pierwsza z nich to Zjednoczenie Polsko-Rzymsko-Katolickie, zbudowane i ciągle od poczęcia zaparte o wpływ parafji, o pracę duchowieństwa.

Druga to Związek Narodowy Polski, skutny na wieki z imieniem dr. Henryka Kałusowskiego, oficera rewolucji roku 1831, jedyne go bodaj z owych czasów emigranta politycznego — który złotemi zgłoskami zapisał się w dziejach wychodźstwa. Dr. Kałusowski przebywał w Washingtonie, stamtąd docierał był do ludu wychodźczego, stamtąd jeszcze utrzymywał relacje z Towarzystwem Emigracyjnem w Paryżu, z Lelewelem, z Gadonem, z koliskami patryjotów i rozbitków.

Dr. Kałusowski był tego drugiego zrzeczenia rodzicem.

Związek Narodowy Polski w trudnych zresztą począł się warunkach. Zjednoczenie miało szkielet gotowy, miało współdziałanie całego kleru, — Związek miał jeno drogę ciernistą, bo nieprzyjaciół od pierwszego dnia a zwolenników nikłe garście. Lecz bodaj szybciej dobył się z pierwocin organizacyj-

¹ Kwoder - quarter, ćwierć dolara, dwadzieścia pięć centów.

nych. Opanował tajniki asekuracji, oparł ubezpieczenie na mocnym rachunku i wysunął się na czoło tak zwanych „braterskich“ stowarzyszeń amerykańskich, na wzajemności opartych.

Za przykładem Zjednoczenia Polsko-Rzymsko-Katolickiego, za przykładem Związku Narodowego Polskiego, w rozmaitych środowiskach Stanów Zjednoczonych dźwignęły się podobne im stowarzyszenia mniej zasobne, mniej bogate, równie „kropidlarskie“ czy „heretyckie“ ale tęgie, zawzięte i równie polskie i narodowe.

Wszystkie one brały się za bary, ścierały i po dziś dzień jeszcze idą w zawody, idą o lepsze w zdobywaniu sobie nowych członków, co więcej współzawodniczą szlachetnie w sporzeniu dobra publicznego.

Gromada to wielki człowiek, — głupi marny frazes i wytarty szeląg tam, kędy brzęczy daremnie jak spēkany od beznadziejnego kołatania dzwon, — aleć gromada to potęga, gdy lud zatęskni do własnej mocy.

Takie gromady stworzyło wychodźstwo polskie w Ameryce.

Słuchajcie obuchu liczb, — jeżeli słowa wam nie starczą.

Związek Narodowy Polski, w roku 1933, miał 256.913 członków, — miał 256.913 Polaków płci obojga zabezpieczonych na wypadek śmierci, płacących regularnie składki i zwartych w tysiące stowarzyszeń.

Zjednoczenie Polsko - Rzymsko - Katolickie, w roku 1933, miało 181.000 członków równie zabezpieczonych i równie zwartych.

Majątek Związku Narodowego Polskiego, w roku 1933, wynosił 22,697.281 dolarów.

Zjednoczenie Polsko - Rzymsko - Katolickie, w roku 1933, posiadało 14,742.418 dolarów.

Więc stąd łatwe przesłanki do materialnej przeczności wychodźstwa, do materialnej samoobrony i stąd jeden więcej skurecz ironji dla mizeractwa mrówek, czcicielek skrzętnego

dolara, głuchych na poezję bytowania starokrajских koników polnych.

Przyjrzyjmy się jednak bliżej tym olbrzymom korporacyjnym.

Każdy z nich oto podzielił sobie Stany Zjednoczone na własne gminy polskie, na setki gmin czy okręgów, te gminy znów i te okręgi na tysiące oddziałów, czy na tysiące grup. W każdym osiedlu, każdym nawet małym skupisku istnieją te grupy, te oddziały, obradują, zbierają się, wysyłają delegatów do zarządów, okręgów czy gmin. Te gminy znów i okręgi mają swych przedstawicieli, swych reprezentantów w zarządzie centralnym, mają swe własne siedziby, mają „domy polskie“, hale na zgromadzenia. Na pierwszy znak centrali, czy na zawołanie miejscowej kolonji stają do obchodów narodowych, do składek obywatelskich dodają nowe składki. Asekurują nie tylko życie własne, nie tylko chronią swe rodziny ale i chronią i asekurują polskość wychodźstwa!

Wnoszą opłaty na kapitalizację, na swe własne premje ubezpieczeniowe, ale i wnoszą opłaty na cele i potrzeby narodowe i wychodźstwa i „starego kraju“.

Korporacje asekuracyjne wydają własne czasopisma, łożą pieniądze na kształcenie młodzieży, utrzymują, jak Związek, własny średni zakład naukowy, przyczyniają się do pracy charytatywnej, nie żałują nigdy grosza, kiedy idzie o polską sprawę. Ofiarność ich może się wykazać milionami dolarów.

Zadna ponoć instytucja polska na świecie nie zdolna jest dorównać Związkowi Narodowemu, niezdolna jest mierzyć się ze Zjednoczeniem ani im sprostać w hojności, w samopoczuciu obywatelskiem, w pracy nad uspołecznieniem mas.

A bodaj daremnieby szukać gdzie indziej tak rozrostłych, zasłużonych a tęgich zrzeszeń jak Związek Polek w Ameryce, liczący pięćdziesiąt tysięcy kobiet, jak Związek Sokołów, jak Unja Polska w Wilkes-Barre, jak druga Unja w Buffalo, jak Stowarzyszenie Synów Polski, jak Unja Świętego Józefa i da-

ej i jeszcze nie setki ale dosłownie tysiące organizacji, planów ideowych, filantropijnych, spółdzielczych, dewocyjnych, gimnastycznych, ogólnokulturalnych, zawodowych.

Karność społeczna jest pierwszym przykazaniem wychodzący. Ta karność od dzieciństwa uczy go aby w pojedynkę po świecie nie chadzać. Kto chce coś zbudować w Ameryce, kto chce się wybić, kto nie chce za innymi pozostać, ten musi stać w szeregu, ten musi zaciągać się pod znaki korporacji.

I nie wystarczy człowiekowi należeć tylko do Związku, czy tylko do Zjednoczenia, musi jeszcze pamiętać i o trzech i o pięciu innych organizacjach. I niedość, aby ojciec rodziny był związkowcem czy unistą, trzeba, aby jego żona, jego dorosłe dzieci i aby drobiazg nawet był zaciągnięty na listy, był ubezpieczony. W jednym tylko Związku Narodowym, w roku 1933, było 66.851 polskiego drobiazgu i równie wielki procent załatwy był w innych instytucjach polskich.

Tej cnocie łączenia się w gromady emigrant zawdzięcza swoje wykształcenie społeczne, narodowe a w znacznej mierze i własny byt materialny.

Prostak, nieokrzesianiec, już przed pięćdziesięciu laty, w Ameryce umiał być i parlamentarzystą, umiał i w obradach brać udział i obrady prowadzić, umiał sejmy całe odbywać a na przepisach, na porządku znał się lepiej od starokrajowego statysty. Rozumiał się był i na psychologii tłumu i na opniowaniu argumentów i na zwalczaniu przeciwnika i na markowaniu wyrażen.

Żartobliwe wypomnienia dziś jeszcze rade sobie opowiadać historyjki, jako sekretarz protokołowy wzywał uroczystie posiedzenie Zarządu: „aby wszystkie członki były regularnie wstawione“, — albo jako, czasu obrad zbiorowych, jeden mówca stawiał „wznosek“ a drugi ten „wznosek podpowiadał“, trzeci występował z „chwestją“, czwarty pomstował „nieporzundek“ dzienny.

Był to zaiste doskonały sposób wychowywania mas. Opłaty

asekuracyjne trzymały nawet w przypadkach wynikających z atargów. Własna korzyść nie pozwalała opuszczać szeregów. Rozkwit stowarzyszeń otwierał szerokie pole dla zdolnych i ambitnych. Tej miary zrzeszenia musiały prowadzić olbrzymie biura, musiały wyrabiać tysiące agentów a naczelne stanowiska zamienić w dobrze opłacane posady, tworzyć zastępy zawodowych prezesów, zawodowych sekretarzy, zawodowych prowodyrów. Dygnitarz Związku Narodowego czy Zjednoczenia, prezes Sokolstwa, czy prezeska Związku Polek toć nie tylko wielkim zaszczytem uhonorowani wybrańcy ale świetnie wynagradzani urzędnicy, bo tak mocno pochłonięci obowiązkami, że wytrąceni z dotychczasowej pracy zarobkowej.

Aleć temu impetowi, który od swego poczęcia dążył do promieniowania, do tworzenia nieskończonej ilości kolisk i komórek organizacyjnych, wtórowała dążność odmienna. A mianowicie łączenie samorzutnie powstających korporacji, zwieranie ich, gromadzenie za pomocą zjazdów, sejmów i tak zwanych „konwencyj“ a w ostatku powtarzające się ciągłe usiłowania ku zorganizowaniu jakiejś idealnie obiektywnej naczelnej reprezentacji wychodźstwa.

Wyznać się dzisiaj niepodobna wśród tego lasu nazw, za wołań i haseł korporacyjnych. Niepodobna pojąć skądże te plony na zmartwiałych nizinach, skądże w tym głuchym, zamyślonym zwyczaj drętwym tłumie tyle sił twórczych.

Wpływ Ameryki, wpływ anglo-saskiej cywilizacji?

Raczej wpływ osamotnienia, raczej przymus rachowania na własne siły, raczej brak pieczy i nie dobrodziejstwa wolności, a bodaj tylko brak zawór, brak zakazów, brak ograniczeń, brak mąciwodów biurokratyzmu, niweczących wrodzone zalety naszego ludu.

Wypomnijmy choćby jedno z guiazd dzisiejszego wychodźstwa.

Z tej oto wioski zapadłej, przed czterdziestu laty, wyciągnęło ogłodzone ubóstwo. Wioska lżej odetchnęła. Mniej za-

alidrogów, mniej głodomorów, łatwiejsze zarobki, ba, nawet przyływ emigranckiego grosiwa z za oceanu. Ach, więc porządek dobrobytu, żywot dostatni a godniejszy, zwawszy całej wioski rozkwit?

Głusza i mrok.

Po latach czterdziestu, jeno półka zdrobniały, jeno koczlawych, w ziemię wrosłych chat przybyło i też same próchniejące stodołki, też same gnojówki, zaglądające do izb, też same wyboje na rozchlastanej drodze i toż samo bezradne oczekiwanie.

Tak, tak, może w jakimś urzędzie, w jakiejś gminie czy powiecie, fundusze się narodzą, może to błocisko, na którym tyle wozów co roku idzie na drzazgi, tyle koni, tyle ludzi niszczy, zasypia, może i tu szkołę postawią, może lip nasadzą, może zbiorą pieniędzy na butwiejącą dzwonnice, może sklep założą tańszy, może czegoś pocziwszego przyczynią.

I któż właściwie ma być owej zapadłej wioski dobrodziejem?

Juści ona władza, jacyś srodzy panowie, urzędniki czy tylko szafarze i budowniczkowie wszechmocni a na byle kamień przydrożny pamiętni.

Ich to rozumy, ich to rozkazy.

Wioskowe prawo milczeć i czekać. Bałamucić czasu zimowych wieczorów, wyrzekać na przednówku, o dolę lepszą nie śmiesom się naprzykrzać i nie ufać ani własnym garściom, ani własnej łopacie, ani własnej siekierze i mędrkowania się wystrzegać.

Zerwał się był przecież razu pewnego jeden Polak. Nie wiadomo skąd mu przyszło. Kupę zebrał przed kościołem i dalej prawić, aby te przyzmy szabru, co od lat na rozdrożu, pod krzyżem, czekają, zgarnąć i choć najgorszego zapadlika wymościć. Zwiedziało się był sołtys, brzdęknęło u wójta, chryja się uczyniła w powiecie, zasię chamom do inżynierskiej sztuki!

Minęło lat czterdzieści. W zapadłej wiosce też same zmurzałe strzechy, też same wierzby, usiłujące kryć młodemi pędami swe okaleczone konary.

Wspaniałe komnaty historycznego pałacu toną w potokach światła. Galowe przyjęcie. Tłum uroczyście rozszemrany, bukiety różnobarwnych jedwabi, fiolety i szkarłaty, skrzące się mundury, czerni fraków, wstęgami orderowemi przetykana muzyki huczą, zgiełkowi czołobitnemu wtórzają.

Pod marmurową kolumną pan dostojny w nieskazitelnych czarnościach, świeżutką czerwienią „Restituty“ ozdobiony.

Spotkanie, niezwykle spotkanie.

— Profesor Nawóz! — Z Ameryki! — Starego kraju się napatrzyć, ojczyźnie zmartwychwstałej się radować. Po tylu latach, po tylu długich latach.

Wartko toczy się rozmowa. Był, widział, oglądał, od krańca do krańca Polskę zjeździł. Snopy całe wrażeń, zdumień szere-
rych.

— Widzi profesor różnicę, widzi ileśmy dokonali?

Okrągła, wygolona twarz ciemnieje.

— Różnicy nie postrzegam żadnej. Zapadłą wioskę opuści-
łem, mając lat trzynaście, jako nędzny pastuch, żadnego nie
widziałem miasta. — Z opisów ledwie miałem wątki pojęcia

— No tak, ale jednak musi profesor przyznać, że nie je-
steśmy byle ułomkiem Europy.

— Słusznie.

— Choćby jedna Gdynia. W ciągu dziesięciu lat.

— Chyba Gdynia. — Niech mi pan daruje, wracam z za-
padłej wioski, byłem u matki, przetrwałem tydzień męki. —
Nic, nic się tam nie zmieniło. — To samo rumowisko, ta
sama niedola, ta sama polepa w izbie, żadnego błysku jaśniej-
szego po latach zgórą trzydziestu, ani drzewka jednego więcej.
Jeno szare łachmany miast wzorzystych wełniaków, jeno po-
mruki zawziętsze, bo poczuciem krzywdy nabechtane.

— Niezawodnie, ale musimy przedewszystkiem najpilniej

mamy tysiące zagadnień, krocie spraw, miljardy podob. Przyjdzie i na lud wieśniaczy.

Fala wytwornego tłumu mocniej się zakotłowała.

Oczy profesora zdały się ślizgać po sychach, jedwabiacz, lnianach, po całym wystrojonej ciżby bogactwie.

— A tymczasem trzydzieści kilka lat martwoty. Inni pałają ten sam bezruch od pół wieku, i nie bezruch, bo go ma w naturze, lecz cofanie się. Czemuż więc chłopom nie zwolicie, czemuż im samym nie dacie, czemuż im samym nie każecie. Małoż drewna w lesie na szkoły, małoż kamienia na polach?

— I cóżby zdołało samo chłopstwo?

— A my, w Ameryce? — Kimże jesteśmy, czyliż nie tem właśnie chłopstwem, nie tym samym, z przed czterdziestu lat, proletarjatem rolnym, tymi wczorajszymi, spętanymi pałkami, czyli może z tych dolarów poczęło się nasze przywiązanie do tradycji, do języka ojców? — Chłopstwu po prostu, niech się samo turbuje. Wam, panom z miasta, śnią przepisy, cudaki norm, wymagań, których nigdy ziścić nie możecie. Nasz chłop w Ameryce za siebie się nie ogląda, pieczętów rządowych nie żebra, bo mu ich nie dadzą, — jeszcze im przyłoży. Nie chce cudzej ziemi, za swoje bardziej nakupi. Kijem go do przezorności zapędzać nie trzeba, nie wlec za uszy do higjenu. — Wrota, wrota rozewrzyjcie, dajcie się rządzić, dajcie gospodarzyć, niech pacholki nie błądzą, niech mieszczuchy nie przykrawają, — a wieś potocznie ruszy, nie jedna ale tysiąc Gdyń do życia się ocknie.

— Jednak różnica warunków ekonomicznych, łatwość zarobkowania...

— Lecz najpierw cięższy jeszcze głód i chłód. Dziwicie się, ile chłop polski osiągnął a nie pytacie, ile zniósł, ile wytrzymał. Jest różnica, — w Ameryce trzynastoletni pastuch pod Kielec może się dochrapać uniwersyteckiego stopnia bez mecenasów i bez pomocy dobrodziejów, — w Polsce nie

może. — W Ameryce trzynastoletni pastuch może i uczyć się i drwa rąbać i węgiel dźwigać i cieleśta ze skóry obdzierać i za golibrodę się wynająć i domy malować i piąć się latami ze szczebla na szczebel...

Profesor urwał w tem miejscu, gdyż uroczysty pan z pełną dystynkcji czołobitnością zapraszał amerykańskiego gościa na solenną lampkę wina. Wczorajszy pastuch zapadłej wioski, syn Michałowej Nawoziny, bratanek kulawego Jana Wywrota, strzepnął niewidzialny pyłek z kłapy swego fraka i podążył za uroczystym panem.

Na stu Polaków w Stanach Zjednoczonych co najmniej sześćdziesięciu należy do organizacji, jedni z nich trwają może w początkowych jej formacjach, są tylko klientami grup asekuracyjnych, inni wzamian, jak to było powiedziane, szukając wpływów, należą do dwu, trzech i więcej naraz stowarzyszeń, ostatni nareszcie szukają zawodowej solidarności, pracy spółdzielczej, zadowolenia potrzeb kulturalnych.

Stąd koszty duże, stąd znaczne nawet podatki ale zyski nie-zawodne, często wielkie, zazdrość „obconarodowców“ budzące.

Oto młodzieniec polski zdobył upragniony dyplom. Został lekarzem, dentystą, adwokatem, o samodzielnej roi pracy. W mrowiu amerykańskim, bez zasobów, bez wpływów, bez szerokich relacji czekałaby go niewątpliwie nicość i bieda przeciętnych, amerykańskich zawodowców.

Lecz owóż jest życie organizacyjne polskie. Młodzieniec i ten nawet, co był słabo się do polskości przygarniał, do obcego środowiska lgnął, spostrzega, że bez rodaków nie poradzi. Szuka do nich drogi, dwóch dróg niema. Zaciąga się do Związku, do Zjednoczenia, baczy na Sokołów, na Unje, na zebrania parafjalne, na obchody narodowe. Do przodownictwa musi się zgłosić, języka do polskiej mowy wyłamać. Dopiero go na całym zgromadzeniu przedstawia, dopiero go względem poleca. Praktyka rusza z miejsca, bo hasło „swój do swego“ ma swój walor za oceanem, trzeba jeno i dalej mocno

ę trzymać gromady, trzeba pilnie na jej odruchy zważać. Społeczność wychodźcza żąda od adwokata, od kupca, od przedsiębiorcy budowlanego, od aptekarza nie tylko zawodowych, ale i obywatelskich walorów.

Te prawa obowiązują zarówno w wielomiljonowym Chicago jak i w małej osadzie.

Wykształcony rodak bije z miejsca wykształconego Anglosasa, szybciej niezależność zdobywa, bodaj ze szkodą dla dalszej pracy naukowej, lecz z niezawodną dla wychodźstwa korzyścią.

Posiada nadto wyższość nad swym starokrajskim odpowiednikiem, szuka nowych placówek, idzie chętnie tam, kędy brak jest polskich zawodowców, nie sroma się osiąść między ubogimi domkami, nie upiera się przy wielkiem mieście, nie tworzy, jak w Warszawie, proletariatu zawodowego bez chleba, bez klientów, bez pacjentów! Nie odstrasza go sioło, nie przeraża pustkowia ani brak „towarzystwa“. Z ludu wyszedł, z ludem się kojarzy, woli przewodzić w zaścianku niż być parajaszem metropolji.

Najciekawszym przejawem życia organizacyjnego w Stanach Zjednoczonych są wspomniane „konwencje“ czyli zjazdy, sejmami przez wychodźstwo nazwane a odprawiane zdawien dawna, na dziesiątki lat przed odzyskaniem niepodległości, przed wielką wojną. Te zjazdy niekiedy tylko okręgowe a więc gromadzące przedstawicieli oddziałów danego zrzeszenia w pewnej części Stanów Zjednoczonych, niekiedy generalne, bo zwołujące reprezentantów wszystkich stowarzyszeń dla obioru władz centralnych, dla zdania porachunków z włodarstwa a niekiedy nawet powszechne, w przełomowych momentach, poprzedza natężony ruch. Zjawiają się agitatorzy, odbywają się tajne narady, tworzą partje, rozgrywa się walka o wybór delegatów do okręgu, a znów z tarć w okręgach wystrzelają posłowie sejmowi. Wreszcie sejm walny, zjazd polski. Tysiąc, dwa a choćby całe pięć tysięcy kilometrów dro-

gi, — muszą być wszyscy. Nieraz tylko stu posłów, lecz za nimi tysiące słuchaczy, tysiące na sprawy wychodźstwa ciekawych. Zjeżdżają księża, działacze, luminarze, prasa, zjeżdżają reprezentanci innych stowarzyszeń. Bo trzeba, aby sejmowi Unji Polskiej w Wilkes-Barre pokłonił się Związek Narodowy, trzeba, aby Zjednoczenie powinno szacunek złożyć, aby Związek Polek w szlachetnej grzeczności nie dał się ubiec. Wszystkie organizacje stawić się muszą.

W mieście istne święto polskie się zaczyna. Hotele dudnią od rozgwaru. Muncypalność hołdy składa. Amerykańscy parlamentarzyści szukają okazji, aby skarbić sobie względy polskich wyborców. Wymarsze, barwne pochody, całe miasto w polskiej konstelacji.

Któż mianowicie miasto, — owóż w tem zmysł pracy twórczej. Każdy sejm, każdy walny zjazd, każdy zlot zgóry miejsce przyszłego zlotu wyznacza. A pierwszeństwo raczej temu, kędy Polonja ociężała, kędy węzły słabsze, kędy niezawodniejsze spodziewania na zjednanie opieszłych. I te zloty się mijają ze sobą, aby sobie wzajem nie przeszkadzać, aby na zmianę innych obszarów sięgać, aby taczać się z roku na rok od Baltimore do Minneapolis, od St. Louis do Bostonu, od Stevens-Point w Wisconsinie do Pittsburga i Toledo.

Wydatki stąd olbrzymie, za wszystko trzeba płacić, własnym pokrywać groszem. Zrzeszenia pilnie nad finansami czuwają, zawczasu gromadzą fundusze zjazdowe, wracają koszty delegatom, posłom, aleć to część zaledwie wydatków ponoszonych. Ale i nie żał pieniędzy, boć z nich nowy etap rozwoju, porachunek sił, nowe polskiej wiary umocnienie.

Stolicą wychodźstwa jest Chicago, drugie po Warszawie miasto pod względem liczby bezspornych Polaków. Stanowisko swe naczelne atoli zawdzięcza nie liczbie, lecz natężonej pracy a w szczególności centralom trzech najpotężniejszych organizacji, więc Związku, Zjednoczenia i Związku Polek. One stąd promieniują, one nadają ton całemu wychodźtwu,

są właściwym rdzeniem pracy organizacyjnej. Z Chicago
zają listy zapowiednie, z Chicago idą hasła, nie donioślej-
go bez pieczęci Chicago stać się nie może na wychodźstwie.

Aż bunty się zrywają niekiedy na te chicagoskie rządy.
dy na to niema. Czterysta tysięcy Polaków stoi za tą hege-
monją a między nimi silny kler, mocny już stan średni, dzie-
tki instytucyj polskich, krzepnące na siłach polskie ku-
ectwo a w ostatku rosnące, jak na drożdżach, wpływy po-
yczne. Z tego układu wynika, że władze centralnych zrze-
ń rekrutują się z chicagowian, rzadko bowiem Polak, za-
mowiony w nowej Anglii, decyduje się na przyjęcie man-
tu, a choćby posady biurowej nad Michiganem a więc na
zykowne przenosiny do odległego a obcego dla się miasta.

Wzamian słabsze stowarzyszenia, takie które swe zastępy
marne kilka, kilkanaście czy bodaj kilkadziesiąt tysięcy
onków mogą obliczać, trzymają się zdala od Chicago. Je-
e z nich ustaliły się w Buffalo, w Wilkes Barre, w Cle-
landzie, w Jersey-City, drugie pędzą żywot koczowniczy.
entrale ich bywają przenoszone, wydzierane przez współza-
bniczące ze sobą środowiska. Takim typowym cyganem jest
przykład Zarząd Weteranów Armji Polskiej, sformowanej
Francji. W ciągu krótkiego swego żywota był już i w Cle-
land i w Chicago i w Detroit i osiada w Nowym Yorku, aby,
uchwałą najbliższego zjazdu, przenieść się może do Pitts-
rga albo do Milwaukee.

Zresztą w każdym środowisku bytuje dążność do wytwo-
enia jakiejś własnej komórki organizacyjnej, jakiejś nieza-
nej placówki, ambicja zdobycia dla siebie nowej centrali.
Pole do działania nieskończone dla każdej inicjatywy, dla
żdej szczerej ochoty.

Wolność stowarzyszeń, — no tak, ale dosłownie pojęta.
y się kilkunastu, czy kilkudziesięciu zbierze, to nikomu
do tego. Chcą zakładać klub gwizdaczy, niechże sobie gwiz-
a, niechże sobie statuty układają. Klub, stowarzyszenie jest

jak każdy obywatel, który nie potrzebuje w Ameryce dowodzić, że się urodził, że się nazywa Jan a nie Piotr, że nie jest kryminalistą, że nie jest przestępcą, — czyli jest z zasadniczym klubem, porządnym stowarzyszeniem.

Niekiedy wśród tych, węzłami wspólnego celu, wspólnej idei spojonych gromad, wynikają ostre zatargi. Niekiedy warcholstwo przyczyni burzy, niekiedy intryga się zaczai, niekiedy rozbieżność zdań rozpęta chryję. Organizacja drży w posadach, stacza się w odmęt przesilenia, wpada nawet w odszczerpieństwo. Latami trzeba pracować na scalenie dwu związków sokolich, na uciszenie krnąbrnego gniazda, zdemoralizowanej gminy. Mnóstwo czasami szkody, wielu odstręczonych, wielu zgaszonych dla pracy, wychodźstwo stygnie. Na jego roztoczach, jak po nawałnicy, zielsko się skrada ku zaległym niwom.

Naraz pada zawołanie, — Polska!

Milkną właśnie, ocykają się gromady. Życie organizacyjne tętni, pulsuje, huczy na zebraniach.

— Nie darować! — Bronić się! — Protestować! — Do Washingtonu! — Do Rzymu! — Do całego świata pisać! — Dawać, co kto może!

Tak się działo przed laty, tak się działo wczoraj i tak trwa jeszcze po dzień dzisiejszy.

NA PAZURY Z WŁASNYM MROKIEM I Z OBCYM ŚWIATŁEM

Wędrówka za chlebem miała swe nieuniknione następstwa. Głód pożywał dosytu, nędza napierała się bogactwa, kulturalne potrzeby, duchowe musiały na szarym końcu zdążyć. Wysilek materialny rwał jak strzała. Miał ku temu stalowe pięśnie, miał ukochanie pracy. A za nim, na tym szarym końcu, włókł się analfabetyzm, słaniała bezwładnie nieświadomość. Ale i ta się zerwała do lotu, przyziemne być może ataczała kręgi, nie ustawała przecież w gorliwości.

Na dwa fronty musiała walczyć od pierwszego dnia, bo z własnym mrokiem, bo i z obcym światłem. Musiała zdobywać nauczanie i bronić się przed cudzem nauczaniem. Bułować szkoły i kościoły i strzec się cudzych szkół i kościołów, bronić się przed naporem obcych elementarzy, obcych książek, obcych pism i roić i żyły sobie pruć, byle dojść tych własnych. Ciężkie, niepojęte zmagania.

Byle gapa za instruktora, byle mędrak za nauczyciela, byle inteligent za całego mentora, byle szło, byle się zaczęło, a już najserdeczniejsza troska, aby tej mowy szczerzej, rodzonej nie zabrakło.

Wysilek szalony. Przykładu równego daremnieby szukać w najoświecieńszych krajach Europy.

Szkoły początkowe i szkoły średnie w Stanach Zjednoczonych są bezpłatne. Utrzymują je gminy z podatków, nakładanych na mieszkańców. Liberalizm amerykański nie stawia przeszkód szkolnictwu prywatnemu, lecz ono względnie słabo jest

rozwinęte z uwagi na koszty utrzymania i raczej dla bogatej młodzieży jest przeznaczone.

Wychodźca polski nie uląkł się kosztów, nie pożałował najcięższych ofiar, byle własną osiąść szkołę, byle polską mieć szkołę.

I zdobył ją, — ma tych swoich szkół pięćset pięćdziesiąt dziewięć! — Ma pięćset pięćdziesiąt dziewięć gmachów szkolnych i tyleż domów dla nauczycielek. Ma pięćset pięćdziesiąt dziewięć szkół parafjalnych!

— Ach, pa-ra-fjal-nych...

Nie wdawajmy się z głuptasami w rozmowy.

Tak, parafjalnych, bo przez parafje zorganizowanych, przez parafje utrzymywanych i kontrolowanych. A dokładniej mówiąc, powszechnych, ośmioklasowych, dociągniętych do programu i wymagań normalnych, amerykańskich szkół publicznych i dających prawo wstępu bez egzaminów do szkół średnich.

Te szkoły parafjalne zatrudniają około sześciu tysięcy nauczycielek, rekrutujących się z pośród sióstr zakonnych i w tej chwili kształcą 320.000 dziatwy polskiej! Te siostry znów przeważnie są wychowankami amerykańskich, polskich seminarijów, są córkami i wnukami emigrantów. Wynagrodzenie ich wynosi zaledwie jedną szóstą wynagrodzenia przeciętnej nauczycielki amerykańskiej.

Niektóre z tych szkół parafjalnych są nieprawdopodobnie wielkie, liczą od dwu do trzech tysięcy dziatwy płci obojga, niektóre z nich bytują w zaraniu kilkuset uczniów. W ogólnym rachunku, jedna szkoła wypada na 530 dzieci i jedna nauczycielka na pięćdziesięciu kilku uczniów. Przeciążenie stąd nadmierne, ale i ono nie zdolne jest ogarnąć wzrastającego napływu dziatwy polskiej.

Wartość gmachów szkolnych przedstawia potężny kapitał, docierający 27,000.000 złotych dolarów. Gdyby zaś wydatki na utrzymanie i prowadzenie 559 szkół parafjalnych zmierzyć

normami odpowiednich szkół amerykańskich, dałyby one sumę równającą się jednej trzeciej całego budżetu Polskiego Ministerjum Oświaty i Wyznań Religijnych!

Lecz nie tu jeszcze kres dobrowolnych ofiar, dobrowolnych podatków, corocznie na ołtarzu dobra polskiego składanych.

Wychodźstwo utrzymuje ponadto zgórą czterdzieści średnich zakładów naukowych, jako to seminarja duchowne, seminarja nauczycielskie dla dziewcząt, szkoły „wyższe“, prowadzące bezpośrednio do studjów uniwersyteckich, przychodnie połączone z internatami. Większość tych szkół utrzymywana jest przez zgromadzenia zakonne misjonarzy, zmartwychwstańców, felicjanek, franciszekanów, nazaretanek, józefinek i t. d. Należy też przez wysiłki poszczególnych parafij a nawet i poszczególnych proboszczów. Niektóre mają za sobą świetne tradycje, jak na przykład seminarjum i kolegium świeckie w Orchard Lake. Wiele z nich odznacza się nawet w Ameryce znakomitemi urządzeniami, bogactwem środków naukowych, niektóre idą o lepsze z instytucjami amerykańskimi. Taki jeden gmach, zbudowany przez ks. prałata Ignasiaka w Erie, jakby naprzekór protestanckim zakładom Young Men's Christian Association, jest wzorowym klubem dla młodzieży. Ma w nim i bibliotekę i czytelnię i sale na zebrania i salę do tańca i sale na gry gimnastyczne i ogrzewaną pływalnię i całe to skomplikowane gospodarstwo, razem ze szkołą powszechną i szkołą średnią, opiera na dobrowolnem składkowaniu jednej parafji. Taki jeden ks. Sztuczko w Chicago umiał swe zakłady naukowe parafjalnie zakładać w kompleks budynków, na które wyłożył zgórą milion dwieście tysięcy złotych dolarów, — czyli zgórą dziesięć milionów złotych polskich! Takie Kolegium Związku Narodowego Polskiego w Cambridge Springs, w momencie swego rozkwitu, legitymowało się budżetem rocznym, przechodzącym milion złotych polskich.

Cały poczet działaczy i pedagogów, zabłąkanych w Ame-

ryce, do Ameryki ściągniętych, czy też w Ameryce zbudzonych widnieje na kartach dziejów tego szkolnictwa. Nazwiska te, obce dla ziemi ojczystej, dla niej przecież wielce zasłużone. Godzi się zapamiętać bodaj takich pionierów jak ks. Józef Dąbrowski, założyciel i rektor pierwszego seminarjum polskiego w Detroit, jak ks. profesor Godrycz, założyciel i kierownik wzorowej szkoły średniej w Filadelfji, jak ks. Witold Buhackowski, jak Romuald Piątkowski, Tomasz Siemiradzki, ks. Zapała, OO. franciszkanie Figas i Fuziński, jak Machnikowski, jak ks. Ćwiakała, jak Antoni Schreiber, główny inicjator i promotor Kolegium Związkowego.

Jednak przy tym niesłychanym wysiłku, natężeniu woli i ofiarności, szkolnictwo polskie nie ogarnia całej młodzieży. Licząc najogólniej, wypada stwierdzić, że co najmniej drugie tyle trwa poza wszelkim wpływem szkoły parafjalnej, drugie 320.000 dziatwy uczęszcza do szkół powszechnych amerykańskich, a co się tyczy szkół średnich, te i w jednej pięćdziesiątej części niezdolne są sprostać potrzebie.

Można atoli dla nikłego stosunkowo rozwoju polskiego szkolnictwa średniego w Ameryce znaleźć całkowite wytłumaczenie. Amerykańska szkoła średnia jest bezpłatna, bardziej zróżniczkowana, istnieje w każdym osiedlu. Polski zakład naukowy, i ten najmocniej filantropijny, jest kosztowny, odległy, dla odległości swej niemal często niedostępny. Natomiast szkoły parafjalne, te zasadnicze placówki są rozsiane dość gęsto, czemuż więc nie rozszerzają murów, czemu tyle kroci zaniedbują?

Odpowiedzi, niestety, daleko szukać nie trzeba.

Wrogiem śmiertelnym parafjalnej szkoły polskiej w Ameryce jest irlandzko-niemiecka hierarchja. Póki ta szkoła wydawała się pierwszym stopniem, wiodącym ku anglizacji, tymczasowem ustępstwem na rzecz upartych przybyszów, — póty było kwaśnej tolerancji. Rozkwit atoli szkół polskich, bicie

a głowę irlandzko-niemieckich djecezyj spotęgowało dążenie do zatamowania, do wytępienia tych szkół.

Wszak w jednej tylko archidiecezji chicagoskiej jest więcej działy w parafjalnych szkołach polskich, aniżeli w siedmiu archidiecezjach amerykańskich i więcej, aniżeli w siedemdziesięciu sześciu djecezjach amerykańskich!

Stąd lęk i stąd kamień obrazy a dalej zakazy biskupie, zakazy otwierania nowych szkół, zakazy rozbudowywania istniejących i walka nieustanna, zawzięta. Chwilami wyjątkowa szlachetność infułata, chwilami tchórzostwo chciwego biskupa, ich względów proboszcza.

Chcecie szkół parafjalnych, macie ich na wsze strony, na wszystkie djecezjalne angielskie cierpią na wyludnienie.

A więc amerykanizacja przez hierarchję kościelną?

Nie amerykanizacja, lecz wytępienie, pochłonięcie słowiańskich żywiołów, boć gdyby to słowiaństwo katolickie w Ameryce w jedną się zlało falę, onoby zawładnęło hierarchją, onoby się stało czołem katolicyzmu w Ameryce, onoby potarło bytujące pod jego osłoną rzesze szowinistów irlandzko-niemieckich.

Władze washingtonskie ani władze stanowe do tych walk o szkołę parafjalną się nie wtrącają. Ludzą się może nawet, że i w tym kierunku zaczyna się praca ku ostatecznemu stopniowi różnic narodowych. Może czytają z zadowoleniem, gdy organ biskupa w Cleveland „Catholic Univers“ głosi urozyście, że „The Church is a great merger“ — że Kościół jest wielkim kotłem, że w Ameryce, w równej mierze, zabiega o jedność wiary, jak i o jedność narodowości!

Delegat apostolski jest bezradny.

Wielu zaś, bardzo wielu Polaków, zrażonych, zdemoralizowanych walką, omija świątynie, działwę swą oddaje do szkół publicznych amerykańskich, do szkół bezwyznaniowych rzekomo, do szkół, kędy czasu nauki moralności, niepowołany nauczyciel czyta wersety Pisma Świętego i stapia w je-

dnym tygłu pięćdziesiąt naraz rozłamów amerykańskiego protestantyzmu.

I trzysta dwadzieścia tysięcy dziatwy polskiej trwa poza granicami polskiego alfabetu!

Cóż taka nikła mniejszość w Stanach Zjednoczonych. Gdy byż na ziemi polskiej zabrakło niemieckiego języka dla jednego tysiąca Niemców, — Genewa rzuciłaby gromy, cały świat oburzyłby się na takie sponiewieranie mniejszości, tyśiąć artykułów poruszyłoby amerykańską opinię publiczną na te nowe zachłanności polskiej dokumenty.

Wychodźtwo wszakże rąk nie opuszcza. Kołacze do wyższych szkół amerykańskich, łomocze do bram uniwersyteckich, udziela zapomóg na tworzenie katedr języka polskiego, wpływami politycznemi osiąga dla polskiego języka bodaj równe prawa, jak dla nauki języków obcych. Tworzy kursy dokształcające, kursy wieczorne, przy pomocy sokolstwa, przy pomocy polskiego harcerstwa wyrywa angлизacji całe snopy młodego ziarna.

Walka, walka jest treścią życia, jest czynnikiem twórczym, ale walka bywa i męką i cierpieniem i niedolą.

Przed czterdziestu laty ludzie słabi duchem wróżyli wychodźtwu polskiemu nadchodzące wynarodowienie, prorockim pesymizmem zatruci, na dnie, na miesiące rachowali nadejście zagłady.

Marne wróżby ludzi nie znających własnego ludu!

Jakże, jakże więc polskość, jakże jest więc dzisiaj?

Wróćmy do szkoły parafjalnej i uprzytomnijmy sobie dobrze, że jest to szkoła ośmioklasowa, że początkowe nauczanie doprowadza do naszej dawnej, trzeciej gimnazjalnej, że wychowawcy takiej szkoły są przyjmowani do pierwszej klasy szkoły średniej, która to klasa odpowiada naszej dawnej, trzeciej gimnazjalnej. Prościej mówiąc, wystarczy zapamiętać, że reforma szkolna, wprowadzona do Polski, jest tylko mniej więcej kopją szkolnictwa amerykańskiego.

Programy więc polskich szkół parafjalnych ściśle odpowiadać muszą programom szkół amerykańskich, lecz wzamian korzystają z całkowitej swobody tak co do języka wewnętrznego szkoły, jak co do przedmiotów nadprogramowych. Innymi słowy, szkoła polska jest zniewolona do wykładania wszystkich przedmiotów obowiązujących w języku angielskim, aby dziecko mogło opanować terminologję angielską i mieć przed sobą otwartą drogę do dalszego kształcenia. A ponieważ, poza tymi przedmiotami, prowadzi naukę języka polskiego, polskiej historii, geografji i religji, stąd wynika dla dziatwy polskiej większe obarczenie, aniżeli dziatwy amerykańskiej i może w rezultacie niedość mocne opanowanie tych dodatkowych przedmiotów.

Siostry zakonne polonistki mają przytem inne skomplikowane trudności.

Najpierw ciągły brak odpowiednio zbudowanych podręczników szkolnych polskich. Wydawnictwa krajowe i te dawne i te dzisiejsze, poza elementarzami, rozkładają naukę na cały szereg lat, są zresztą przeznaczone dla dziatwy i młodzieży na ziemi polskiej bytującej. Są przeto niezrozumiałe, miejscami szkodliwe i nieodpowiednie. Nawet polska szkoła średnia w Ameryce, przy największem natężeniu polonizacyjnem, nie jest w stanie prowadzić wykładów polonistyki według krajowych programów. Musi je skracać, musi ograniczać do najłatwiejszych metod opanowania języka, wpojenia zasadniczych wiadomości o Polsce. Dotychczasowe próby wytworzenia własnych podręczników nie dały rezultatów. W tym przeto kierunku i zamęt i brak systemu i posługiwanie się zarzuconymi oddawną książkami. Chociszewski ciągle spodziewa się w Ameryce lepszego następcy. Naprzekór gramatykom tuła się praca J. Jeske. „Wieczory pod lipą“ bardziej trafiają do przekonania, aniżeli podręcznik na nowoczesnych dociekaniach party, lapidarna a pięknym językiem napisana Historia Polski Rydla dystansuje najgruntowniejsze opracowania.

Drugim szkopułem są zgrzyty biskupie, chryje, wywołane raz po raz przez djecezjalne okólniki, jak na przykład sławetne wystąpienie biskupa Turnera w Buffalo, który, w roku 1923, rozpętał istną burzę. Zażądał bowiem, aby nauka religii w szkołach polskich odbywała się w języku angielskim, aby, w godzinach od dziewiątej rano do trzeciej po południu, we wszystkich klasach szkół parafjalnych, posługiwano się wyłącznie językiem angielskim. Tego rodzaju burze, choć odpierane z całą stanowczością, choć przechodzące ponad pretensjami djecezji, niekiedy łamią słabsze duchy, niekiedy ciężkie wyrządzają szczyrby.

Trzecią i największą trudnością w nauczaniu języka polskiego są gwary ludowe, są zachwaszczenia językowe, są germanizmy, rusycyzmy i, hulające na wychodźstwie, anglicyzmy.

Dziatwa z ust rodzicielskich bierze pierwsze dźwięki mowy ojczystej. Rodzice mówią, jako mówili ojcowie, jako mówią w onym zakątku starokrajskim z którego pochodzą. Ciągną z podlasiacka, mazurzą, „inuują“, „szeszują“, „ćwierkają“, „tajoją“. Jedni z kaszubska, drudzy z podhalańska, inni z litewska, jak to w Polsce, każdy rad prastaremu wysłowieniu. I każdy coś tam jeszcze z tej niewoli z pod Ruska, z pod Prusaka czy Austriaka przywiózł.

Do tej gwary znów przylgnęły w Ameryce zwroty czy całe wyrazy angielskie. Wychodźca napotykał mnóstwo przedmiotów, urządzeń, narzędzi, zakładów, których przedtem w kraju ojczystym nie widział, z którymi nie miał do czynienia, brał więc angielski wyraz, przylepiał końcówkę polską i tak sobie radził. A kiedy znów języka angielskiego chwycił, to rad po swojemu angielskie zwroty na język polski przekładał.

Siostry nauczycielki niemałe czynią wysiłki, zwłaszcza te w kraju kształcone, ale i na nie również wpływa otoczenie. Oddziałują energicznie prasa polska, znaczny przybytek

inteligentów, żywe słowo trybun i kazalnicy, gwary jednak i zachwaszczenia są silniejsze.

Nawet ten wczorajszy dygnitarz potężnej organizacji, wykształcony adwokat, niegdyś sam nauczyciel języka polskiego, pełen swady i łatwości wysłowienia, który Słowackim i Krasińskim umiał sypać, jak z rękawa, a prawili rzeszom „Kuczemu Polska szła“, nie mógł się nigdy pozbyć swego rodzimego „inacy“.

Wytworny lekarz, doktor medycyny, wpadając w ferwor polityczny, tłumaczył rodakowi po polsku:

— Słuchojta, kapitanie, naszego prazydenta Wylzona fik-sować nie trza, on je orajt, naszej Polski nie popuści, — a wy-czuwając instynktownie nieudolność swego wysłowienia, skręcał odrazu na język angielski.

Wielu jest bowiem już takich, którzy zdają sobie sprawę z własnych błędów gwarowych i wstydzą się mówić po polsku.

Trzeba przeto wielkiej wyrozumiałości, aby nie zniechęcać do mowy ojczystej tych zwłaszcza, co na wyższy szczebel społeczny się dźwignęli.

Wychodźtwa zna te swoje usterki, stara się je tępić i chętnie samo z nich żartuje.

Rodak starokrajski, zaproszony na zebranie towarzyskie, zabłąkał się w labiryncie uliczek dolnego Pittsburga. Ku wielkiej swej radości w oknie wystawowym u rzeźnika spostrzegł zamaszysty napis „kiełbasa krakowska“. Wpada bez wahania do sklepu po informację. Właściciel wychodzi przed sklep, i objaśnia uprzejmie:

— Idźta durch cztery *bloki*, sy, aż obaczyta na tym samym *sajdłoku drukstor*, to weźnieta się na lewo i bedzieta szli za *strytkarą*, aż na *kornerze*, kiele *lunczrumu*, obaczyła *barbersziapa*, tam właśnie je nasza *susajta*.

A gdy starokrajski rodak trwał bezradnie, nie wiedząc co począć z tem objaśnieniem, właściciel sklepu zakrzyknął na swego pomocnika:

— *Hallo, Maik, tek kołta i szio temu panu, gdzie nasza susajta smoker runuje!*

Czynnikiem wysoce kształcącym językowo są, od kolebki niemal wychodźstwa, rozwinięte chóry parafjalne, chóry świeckie, bardzo liczne koła śpiewackie. Zamiłowanie do polskiej pieśni jest niewspółmiernie większe, aniżeli w Polsce. Niektóre z tych kolisk zdobywają szewrony na konkursach amerykańskich, krzewią polskie melodje, przekonywają do nich cudzoziemców i dotrzymują placu i tym naszym „represen-tacyjnym“ popisom.

Z natury rzeczy, w silniejszym jeszcze stopniu oddziały-wuje prasa polska w Ameryce, reprezentowana przez dwanaście dzienników i przez osmdziesiąt kilka tygodników i parę czasopism miesięcznych.¹

I ona ulega pewnym naleciałościom i ona skazana jest często na operowanie anglicyzmami, wynikającymi z odmien-nych splotów życia społecznego i politycznego. Więc i na szpal-tach tej prasy roi się od „kongresmanów“, „koronerów“, „bil-lów“, „inkwestów“, „affidawitów“, „rentów“, „graduantów“, „aldermanów“, „klerków“, „legislatur“, „formanów“, „super-wizorów“ i tym podobnych „warrantów“. Lecz tę przecież wyższość ma prasa polska w Ameryce nad swoją starszą sio-strzycą w macierzy, że anglicyzmów tych używa pod przymu-sem, podczas gdy w macierzy barbaryzmy i neologizmy są już całkowitem, dobrowolnem niechlujstwem, chorobliwą manją sadzenia się na obce wyrazy, na dziwolągi językowe, bądź nieuleczalnem nieuctwem ludzi, którzy dziesiątki lat „szukają za kimś“, „oddają strzały“, „nie mogą nie powiedzieć“, „do-znają złamania ręki“, „jakby nie było, są czynnikami odno-śnych odcinków“ i „którym wogóle chodzi po głowie takie coś“.

¹ Pierwsze czasopismo polskie w Stanach Zjednoczonych ukazało się dnia 22 lutego, 1870 roku w stanie Missouri — jako tygodnik „Orzel Polski“.

Jedynie dział ogłoszeniowy jest w prasie amerykańskiej ukazany na kakofonję handlowych argumentów. Jeden ma do sprzedania „morgecz“ (sumę hipoteczną), drugi dwie „loty“ (place), trzeci — „pięciokawałkowy garnitur do parloru“ (meble do saloniku), czwarty — „furnes“ (piec), piąty — „carpety (dywany), szósty podejmuje się robót „plumberskich“ (wodociągowych), siódmy ma trzy „dydy“ do zbycia (tytuły własności), ósmy poszukuje „groserni“ (sklep wiktuałów), dziewiąty chce odstąpić sklep „miękkich napoi“ (bezalkoholowych), dziesiąty poleca sezonowe „bargeny“ (tanie przedmioty).

Żywot prasy polskiej w Ameryce jest ciężki. Najuboższe nawet pisemko musi posiadać własną drukarnię, musi frasować się o utrzymanie zecerów, dokładniej linotyperów, mocno chronionych przez statuty związków robotniczych. Założenie nawet tygodniówki wymaga kapitału i niełatwego do zdobycia kredytu. Ogłoszeń jest mało, firmy amerykańskie, pod wpływem agitacji, stronią raczej od wydawnictw nieangielskich. Polacy na wychodźstwie są nieodrodnymi naśladowcami swych starokrajskich odpowiedników. Ogłaszają się mało, ogłaszają się źle i nie umieją się ogłaszać. Bytując na ziemi reklamy, niewiele się jeszcze na reklamie wyznają, śpią często na towarach, jak umieją spać kupcy na Wałach Hetmańskich we Lwowie, czy na Marszałkowskiej ulicy w Warszawie. Naciśnięci potrzebą, przyskają jakimś ogłoszeniem i dziwią się, że z tego jednego kleksa drukarskiego tak mało korzyści. Z rozwielnionych w Ameryce tak zwanych „politycznych“ reklam, a więc tysięcy dolarów, rzucanych na forsowanie kandydatów na stanowiska i urzędy wybieralne, również lichoc do prasy polskiej przenika. Jedyny pewny zasilek to zdobywanie robót akcydensowych, drukowanie zaproszeń, pamfletów, programów na obchody, przedstawienia, handlowych wistków, pamiątkowych broszurek.

Te czasopisma kwitną, prosperują, które opierają się o kasy

zrzeszeń asekuracyjnych, które są organami związków i stowarzyszeń, lub które należą do wyjątkowo możliwych czy szczególnie przedsiębiorców. Między tymi ostatnimi mało wydawców zawodowych a najwięcej przygodnych. Ambicja, chęć zdobycia wpływów, osiągnięcia ubocznego zysku jest często pobudką, osobiste rachunki z przeciwnikami nieładą bodźcem. Dziennikarz jest z reguły najemnikiem, niejednokrotnie gorzej od zecera wynagradzanym i mniej odeń ustalonym. Nie wiele jest takich czasopism w Ameryce gdzie ich kierunek pozostaje w ręku redaktorów, gdzie praca publicysty, jego idee, jego przekonania ważą na szali. Pospolicie dziennikarz musi słuchać widzimisię swego chlebobawcy. Byłoby to może i słuszne i naturalne, gdyby taki chlebobawca był zawsze człowiekiem kulturalnym, gdyby nie ulegał podszeptom ludzi jeszcze ciemniejszych od siebie, gdyby nie prowadził sam zakulisowych mataczyn. Stąd dziennikarz polsko-amerykański zamienia się, dla chleba, w bezwładne narzędzie. Sam, zresztą, bywa równie przypadkowo do dziennikarstwa zaprzężonym, równie mało doń powołanym. Niepewność jutra skazuje go na niepożądaną chwiejność, na zbyt potulne wysługiwanie się prostactwu. Dla tych przyczyn, pomimo najgorętszych zabiegów niezbyt licznej gromadki dziennikarzy wyrobionych, uczciwych, prasa polsko-amerykańska, w znacznym swym odłamie, choruje na brak umiaru w zwalczaniu swoich przeciwników czy antagonistów, nie przypadających im do przekonania czy poglądów. Na pierwszy alarm takie pismo otwiera upusty i ziele, trudną do pojęcia w Europie, miazgą obelg, kłamstw, złośliwości, insynuacyj. Rezultatem takich wyczynów jest chwilowa uciecha dla gawiedzi a dalszem bezpośrednim następstwem zniechęcenie do polskich wydawnictw, jako służących prywacie.

Technika dziennikarstwa polskiego w Ameryce jest bardzo niezwykła. Miewa niezaprzeczony nerw amerykańskiej publicystyki, zdradza ochotę do bezpośredniości informacji i wra-

ni a w rezultacie, poza dorywczą reporterką, skazana jest na czynny udział w najróżnorodniejszych zamierzeniach. Dziennikarz amerykański musi być organizatorem zebrań, mówcą, działaczem, musi docierać osobiście do pewnych ludzi, musi dotrzymywać kompanji. Słowem nie wolno mu być biernym kronikarzem, biernym obserwatorem. Godziny pracy nie chcą się nigdy nie kończyć. Skład redakcji takiego bardzo wpływowego dziennika, który ma przeciętnie dziesięć do dwustu stron dużej płachty papieru, zadrukowanych szczelnie, starannie wylustrowanych, starannie ułożonych, — stanowi mniej lub więcej sześciu do dziewięciu współpracowników. Z nich dwu a najwyżej trzech istotnie rutynowanych publicystów, reszta są elementem mniej lub więcej obiecującym lub już zastygłym na jałowym wyrobnictwie redakcyjnym. Współpracowników zewnętrznych prawie żadnych. Niepojęta więc, pierwszy rzut oka, wydajność, boć mnóstwo informacji, ciekawie rozrzuconych, szereg pełnych swady artykułów, nie brak i feljetonów i naukowych dociekań i materiału anegdotycznego, cały kalejdoskop działów specjalnych, wreszcie nie jeden ale dwa naraz a czasami i trzy ciągi powieściowe. Na taki rozmach chicagoski, detroicki, milwaucki czy buffalowski może sobie pozwolić w Warszawie nawet subwencjonowana gazeta. Od czasu do czasu, na solenniejszy numer, snopy zwisk, najcenniejsze utwory literackie idą o lepsze.

Tajemnicą tej garstki pracowników, tworzących codzienniego olbrzyma, są nożyczki. Nożyczki tną, tną zupełnie sprawnie i chętnie z nadchodzących wydawnictw krajowych informacje — tną mniej słusznie gotowe artykuły, bo niezawsze podsuwają pod nimi autorów, — a dalej, przykrawają różnorodny materiał, przepisują całą „Muchę“, anektują ulotne wierszki, drukują dłuższe utwory, nie wdając się w pertraktacje z autorami, dalej dopiero, tak zbudowany tekst, uzupełniają kroniką polsko-amerykańską, omawianiem polsko-amerykańskich zagadnień i przekładami z czasopism angielskich

ogólno-amerykańskich nowin i telegramów. Śród tej mozaiki, trzeba przyznać, nie brak i bardzo dobrych nieraz prac oryginalnych, pełnych swady i znajomości przedmiotu.

Naogół w Ameryce są czasopisma, które, jako umiejętnie dobrany materiał, są i ciekawsze i lepiej zbudowane od swych starokrajskich odpowiedników, grzeszą jedynie komentowaniem informacji europejskich, grzeszą mimowoli zresztą, gdyż pewne nazwiska, pewne apostrofy nie mogą być dość zrozumiałe dla drugiej półkuli. Europa, w tym razie, nie jest bystrzejszą w stosunku do Ameryki.

Przy tak minimalnych kosztach redakcyjnych osiemdziesiąt procent wydawnictw amerykańskich z największym wysiłkiem wiąże koniec z końcem. Niektóre bytują w ciągłym deficycie, pokrywany przez zrzeczenia, przez zasobniejszych wydawców. Druk i papier pochłaniają wątle dochody. Czytelnictwo waży się, chwieje, nie idzie ku lepszemu. Prasa angielska zamieszcza tu i owdzie specjalne działy, poświęcone Polakom. Konkurencja wzrasta, czytelnictwo słabnie, najmniejszą dotychczas sprzymierzeniec zagląda już do amerykańskich magazynów.

Jeszcze mniej pomyślnie układa się żywot polskiej książki.

Ma ona w Ameryce swoją długą historję, historję, nie kiedy dokuczliwą dla polskich autorów, ale bujną, obfitującą w nielada wysiłki. Miała ona i za oceanem swoich nakładców, swoich krzewicieli, swoich orędowników czy bystrych przedsiębiorców. Jeszcze przed trzydziestu laty tłoczono w Stanach Zjednoczonych znaczne ilości książek i broszur, tłoczono ich całe stosy. Nie było poczytniejszego dzieła w Polsce, którego amerykański wydawca nie przedrukował sobie bez pytania. Od modlitewnika, od „Żywota Świętej Genowefy“ do „Ogniem i mieczem“ drukowało się wszystko, drukowało się często niestaranie ale się drukowało. Protesty, żale polskich autorów były odprowadzane stereotypowym frazesem o pracy ideowej dla rzeszy wychodźstwa. Ta ideowość, juścić, nie ist-

a dla kupieckiego rachunku i była domeną własności prywatnej nakładców. Wskutek tego cierpiała zawsze na tem książka, nadsyłana z kraju. Nie brakło i przykrych nadużyć, brakło książek, drukowanych pod zmienionymi tytułami, nazwisk autorów, nie brakło i pospolitego klusownictwa. Leży oto przed nami szara broszurka, zawierająca znany polsce wiersz satyryczny słynnego niegdy Rodocia (Mikołaja Biernackiego) p. t. „Małpy i ludzie“, broszurka wydana z drukarnię ks. Bójnowskiego w New Britain, Connecticut jako utwór oryginalny jakiegoś pana, przez którego, niechcąc, ks. Bójnowski skrzywdził mimowoli spuściznę literacką wybitnego pisarza.

Drukuje się książki polskie jeszcze i dzisiaj, często jako przekłady, zamieszczonego uprzednio w czasopismach tekstu. Jednakże, atoli, wlece się ospale.

Biblioteki publiczne amerykańskie, które bardzo uprzejmie zaprowadziły u siebie działy polskich książek, nie pomagają, od pewnego czasu, swoich w tym kierunku zbiorów, zapotrzebowanie na polskie książki rozpływa się, zanika. W świetne czasy Dyniewicza, Michała Kruszki, Paryskiego zmieniły, podobno, bezpowrotnie. Brak może takich pełnego temperamentu budzicieli, jakim był imię pan Hieronim Derdowski, niegdy słynny redaktor „Wiarusa“ w Cleveland, co to pisał „O panu Czorlińskim, co do Pucka po serce miał, zełgoł dło swoich druchów Kaszubściech“, — brak przedsiębiorczych księgarzy i propagatorów, jakim był imię pan Immer, — brak ofiarnych działaczy, jak Smulski, — brak skutecznie potężnej agitacji ze strony prasy polskiej, — brak dobrego doboru wydawnictw, — może nadmierna drożość polskiej książki, zbyt chciwe przeliczanie jej wartości na rynku, — a może, nareszcie, ubóstwo typograficznej szaty polskich książek, ubóstwo rażące w stosunku do szaty wydawnictw amerykańskich.

Wobec tego nie jedna lecz dziesiątek cały przyczyn, dziesią-

tek zagadnień, a rezultatem ich fakt niezaprzeczony, bolesny, że, przy wzrastających tak szybko siłach kulturalnych wychodźstwa polskiego w Ameryce, trwa ono w niemniejszej obojętności dla drukowanego słowa.

Trudno czynić z tego powodu wyrzuty, trudno oskarżać pięciomilionową rzeszę za oceanem, skoro w trzydziestodwumiljonowej macierzy książka polska jest nędzarzem, pożywianym z łaskawie wydzielanej jałmużny, skoro nie może rościć o dobrobycie, jakiego zażywa jej rówieśnica w trzymilionowej Danji.

ANGLOSASY POLSKIEJ RASY

Dziewięćdziesiąt procent wychodźstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych nie łączy się z Anglo-Sasami i obco-narodowcami. Okazuje im życzliwość, przyjaźń nawet, niemniej trzyma się od nich zdaleka, nie chce naprzykrzać się tam, gdzie poden stronią, za niższego od siebie uważają.

Uprzedzenia do Polaków są wielkie. Oddaje się niby sprawiedliwość ich pracowitości, ich lojalności, nawet ich szczeremu przywiązaniu do drugiej ojczyzny, jednak i Polakom, jako i samemu Kolumbowi, nie można zapomnieć ich nie anglo-saskiego pochodzenia. Są wreszcie katolikami, są w dodatku słowianami i są jednym z ostatnich nawarstwień amerykańskich. Szkot, który dopiero za lat dziesięć osiadzie nad Potomac'iem, będzie o wiele prędzej uznany za niezawodnego Amerykanina, aniżeli wnuk polskiego emigranta.

Złudzeń w tym kierunku żadnych. W decydującym momencie zawsze to samo rozczarowanie.

Był w Pittsburgu bankier, Polak, który, jako maturzysta, wyemigrował a mając zapewnioną stałą pomoc od jeszcze zaobnych rodziców, poszedł na praktykę do niemieckiego domu bankierskiego. Młodzieniec gładki zaskarbił sobie wzglęty, poślubił córkę swego chlebowdawcy, został jego następcą. Był oczywiście luminarzem wśród tłumu szarego, polskiego obociarstwa, ale i między Amerykanami coraz większego miru zażywał. Wrodzone zdolności, pociąg do amerykanizacji, resztą dom angielsko-niemiecki, dziatwa w angielskich szkoach, równie prawowite węzły towarzyskie, wszystko to wy-

suwało młodego bankiera na czoło życia pittsburskiego. Najbliższym terenem działania była izba handlowa. Bankier wyróżnił się, zdobył pierwsze urzędy, osiągnął nielada popularność. Wreszcie na walnem zgromadzeniu grono przyjaciół wysunęło jego kandydaturę na prezesa. Aliści w tym samym momencie, taż sama tak życzliwa izba handlowa zatrzęsła się ze zgrozy. Znikły cnoty kandydata, prysły sympatje, brutalna odprawa zgrzytnęła: — „Wysoka godność pittsburskiej izby handlowej nie może zezwolić, aby jej Polak przewodniczył“.

I odtąd, według zwierzeń tego właśnie bankiera, zaczęło się jego nawrócenie. Nie zdołał już, podobno, ustrzec swej dziatwy, lecz, wedle sił z szarem polskim robociarstwem się zadawał, w pojedynkę sforować się już nie chciał.

Profesor uniwersytetu w Syracuse, podczas wykładu, zaczyna dyskusję ze swoimi słuchaczami. Jeden z nich nie dociąga wymaganemu nastawieniu. Profesor chwieje głową z ubolewaniem.

— Cudzoziemcy nie są w stanie wyczuć ducha naszego kraju.

Student błędnie. Nazywa się Peltz, urodził się w New Bedford, zaciągnął się do marynarki amerykańskiej, przebył w niej całą wojnę, dosłużył się rangi, odznaczeń, po polsku mówi słabo. Profesor jest przybyszem, ale tak wnikliwym, że wykrył nikezemność pochodzenia, nawet w niemieckim nazwisku.

Pouczenie nie zawiodło. Marynarz amerykański żarliwym został Polakiem.

Bogaty przemysłowiec zapragnął ucieszyć swą rodzinę nową rezydencją w wytwornej dzielnicy. Jest właśnie taka na sprzedaż. Zgłasza się, ogląda, chce dobić targu, lecz owóz szkopał...

— Polakom nie sprzedajemy.

Tych bolesnych uprzedzeń nie należy jednak brać tragicznie.

Każda społeczność niechętnie spogląda na pnących się po drabinie proletariuszów. A tu czasy względnie bliskie, tak bliskie, że nawet starokrajscy rodacy z niedowierzaniem słuchają opowieści o bytowaniu wychodźstwa. I nawet nie słuchają może. Zbogaciło się, dorobiło, chwyciło ulicznego poloru, aleć gdzież się z niem zadawać, gdzież za równych sobie uważać.

Niechże zresztą roztopią się najpierw, niechże rozplyną, niechże zamienią w prawdziwych Amerykanów.

I zabiegi w tym kierunku nie ustają. Stara się, jako może, sam prawodawca i współdziałają mu gorliwie koliska społeczne i wielkie racje stanu i małe antagonizmy narodowe.

Nie brak ochoty nawet samemu wychodźcy, jeno że zbyt do swojemu amerykanizację sobie wyobraża.

W lojalności, w szczerem przywiązaniu do Ziemi Washingtona nie da się nikomu ubiec. Jest najpotulniejszym, najmniej wymagającym a zawsze gotowym do ofiar. Na pierwszy rew, garnie się na ochotnika pod gwiazdzyste sztandary. Na wojnę z Hiszpanją rusza chmarą. Pełno go na Filipinach. Gdy wybucha zatarg z Meksykiem, prze z całym impetem, cały korpus wolontarski Washingtonowi ślubuje. Każdą wojnę amerykańską uważa za sprawiedliwą, uważa ją za własną.

Kiedy Stany Zjednoczone stają po stronie koalicji, w roku 1917, i ogłaszają najpierw werbowanie ochotników, Polacy mają ich olbrzymi procent a następnie, gdy zaczyna się mniej lub więcej regularna rekrutacja, idą krociami. Nie znają często angielskiego języka, nie posiadają obywatelstwa amerykańskiego aleć to dla nich drobiazgi. Wychodźstwo daje armji Stanów Zjednoczonych dwieście dziesięć tysięcy żołnierza, — gdyby w tym samym stosunku wszyscy mieszkańcy Ziemi

Washingtona spłacali byli podatek krwi czasu wielkiej wojny, — to Wuj Sam miałby nie 4,355.000 żołnierzy lecz pełne sześć i pół miliona.

Polak amerykański nie szemrze, nie wyrzeka, ma poszanowanie dla władzy, nie knuje przeciwko niej. Dobry rząd, zły rząd, nie taki jakimby kto chciał go mieć, ale rząd, więc ład. Ładu zaś należy strzec i należy go szanować.

Ale, pomimo tych niezawodnych zalet, wychodźca polski bywa w pojęciu rzekomych strażników amerykańskiej prawowierności i krnąbrnym i opornym.

Polak w Ameryce naturalizował się ospale. Nie rozumiał się, czy nie chciał się rozumieć na dobrodziejstwach, wynikających z przyjęcia obywatelstwa amerykańskiego, może nie chciał, czy nie umiał pogodzić się z myślą pozostania w Ameryce na zawsze. Cierpiał z tego powodu jako pozbawiony przywilejów „forajner“, cierpiał, gdy szło właściwie o wyprysiężenie się nie Polski ale niemieckiego czy rosyjskiego zabójcy.

Dopiero, dźwignąwszy się na wyższy szczebel, zaczął uczuwać brak gruntu pod nogami. I wówczas jał się przygarniać do obywatelstwa amerykańskiego i ciągnąć za sobą najbliższych rodaków. Lecz i teraz jeszcze był to ruch powolny, niewspółmierny do napływu wychodźstwa. Aż wyrok nań wydała wielka wojna. Zmartwychwstanie ojczyzny zamieniło się dla emigranta na rozstajne drogi. Trzeba się było zdecydować, trzeba było dokonać wyboru. Agitacja amerykańskich biur naturalizacyjnych doszła do zenitu. Stany Zjednoczone usiłowały za wszelką cenę wyzbyć się poddanych czy obywateli obcych państw. Działacze polscy ruszyli za wskazówkami Washingtonu. Związek Narodowy tworzył kursy naturalizacyjne, aby neofitom wyklądać podstawy konstytucji amerykańskiej, aby ich zdobywać dla obywatelstwa.

Prasa polska otwarła ku temu swe łamy.

„Zgłaszajcie się po papiery obywatelskie, wybierajcie je

co prędzej, skoro tu musicie bytować, trzeba, abyście zdobyli należyte prawa. Pamiętajcie, że Irlandczycy dostają pięć razy tyle zpowrotem, w formie różnych posad, ile płacą podatków, — Polacy nie dostają i jednej setnej tego, co płacą“.

Tym nawoływaniom zawtórowały głosy ze starego kraju. Mędracy z Polski zabrali głos.

— Chcecie współdziałać ziemi ojczystej, powiększajcie liczby obywateli amerykańskich polskiego pochodzenia, wzmocnicie wpływy, dobra przyczynicie i sobie i staremu krajowi.

Washington obniżył koszty procedury naturalizacyjnej. Tanio, za bezcen, śpieszcie, zniżka niesłychana, ceny niebawem będą podwyższone!

Na wychodźtwie wszczął się zgiełk, propaganda na rzecz naturalizacji stała się niejako polskim obowiązkiem patryjotycznym.

Wszystkie czasopisma nawoływały zgodnie:

„Skoś przybył do Stanów Zjednoczonych, by tu robić życie i założyć sobie dom własny, zróbże Stany Zjednoczone swoim własnym krajem, zostań ich obywatelem, przyczyniaj się do postępu tego kraju i narodu. Stany Zjednoczone są republiką, której obywatele wybierają urzędników i rząd, ci zaś są sługami obywateli. Ci, którzy nie są tu obywatelami, należą do obcych krajów, są cudzoziemcami. Jako obywatel masz prawo głosować i być wybranym na urzędnika, tylko obywatele mogą być zatrudnieni przez rząd federalny, stanowy lub miejski. Należy znać, o ile można najlepiej, krajową mowę amerykańską, którą jest język angielski. Każdy obywatel amerykański winien władać językiem angielskim, winien go się uczyć zarówno z poczucia tej powinności, jak i dla własnego dobra“.

Od roku 1920 po rok 1934 Stanom Zjednoczonym przybyło ogółem 2,300.000 naturalizowanych obywateli a między nimi obywateli całe Polaków. Dalsza naturalizacja nie ustaje, dobiega

powoli kresu. Sprawozdanie amerykańskiego sekretarza pracy za 1933 rok stwierdza, że, w ciągu ostatniego pięciolecia (1929—1933), obywatelstwo amerykańskie przyjęło 96.167 Polaków.

Ilu jeszcze pozostało uparciuchów, — ilu, pomiędzy cudzoziemcami nie mówiącymi jeszcze językiem „amerykańskim“ (1,224.995), jest polskich emigrantów? A przecież są jeszcze analfabeci, których prawo amerykańskie do obywatelstwa już nie dopuszcza. Między tymi emigrantami zaś biuro „Cenzurowe“ amerykańskie wykazuje 239.651 analfabetów polskich!

Więc są jeszcze w Ameryce Polacy nienaturalizowani, są jeszcze krocie tysięcy. Ale ubywa ich szybko, giną, odchodzą, nikną tysiącami. I ciągle i jeszcze nie dają spać strażnikom amerykanizacji.

Narzeka na nich wnikliwy profesor Carpenter. Skarży się socjolog i rachmistrz, profesor Woofter.

Wszystkoby już szło niezgorzej, gdyby nie Włosi, gdyby nie ci Polacy! Już przecież (dosłownie) Anglicy chętnie się krzyżują z Walijczykami, Niemcy starają się im nadażyć, — ale kędyż sposób na włosko-polskie zacofanie?

Italjani są najodporniejsi ze wszystkich, Polacy są mniej odporni ale idą tuż za Włochami. Profesor Carpenter szczerze nad tem ubolewa, że Polacy tak słabo się asymilują, że tak nieznaczny ich procent łączy się z ludnością amerykańską (to znaczy w Ameryce zrodzoną) a o wiele mniej miesza się z innemi narodowościami.

Profesor Woofter nie ma dla Polaków nawet i tej odrobiny optymizmu i stwierdza, że krzyżowanie się Polaków z Amerykanami, w przeważnej liczbie wypadków, polega na zawieraniu związków małżeńskich z kobietami czy mężczyznami tej samej narodowości, choć w Ameryce zrodzonymi. Czyli te małżeństwa mieszane są mieszanymi tylko w sensie przynależności obywatelskiej.

Należy się strzec jednak zbytniego optymizmu, a wyrzeka-

nia profesorów Carpentera i Wooftera należy uważać za wykwit nazbyt gorliwych tendencyj asymilacyjnych.

Niema walki bez ofiar, bez rannych, bez pokonanych. Wychodźstwo broni się, napór przecież jest coraz silniejszy. Wczorajsze nastawienie psychiczne zwątpiało. Polska jest wyzwolona, niepodległa. Jej dziatwa na obczyźnie przestała być rzeszą tułaczów. Łaski apostołskie wypadły z rąk. Dla tęskniących droga stoi otwarta. Głos zimnego rozsądku już nawet z ojczyzny nadchodzi.

Równorzędnie nie brak i tych powszednich, codziennych kropel, które od powicia drażyły kamienne pancerze wychodźstwa.

Kędy szybsze pięcie się do góry tam, w rodzinach emigranckich, dzieci wyrastały nad ojce. Oni tworzyli nowe pokolenie oświecenijsze, czy całkowicie oświecone, rozumiejące się lepiej na amerykańskiej społeczności, dające sobie radę i z owym „amerykańskim“ językiem i z amerykańskim obyczajem. Rodzice niezawsze umieli czytać i pisać, — dzieci w najgorszych warunkach chwytaly okrucieństwa angielszczyzny, łatwiej przystosowywały się do odmiennych warunków bytowania. Bytowanie zaś samo pouczało je na każdym swym zabieganiu, że wszystko to, co jest bogatsze, co piękniejsze, co zasobniejsze, co mocniejsze, to amerykańskie. Tu dymem fabrycznym spowite arterje osiedli polskich, tu wysepki skromnych zagród farmerskich a tuż obok możne obejścia folwarczne, a tuż obok wspaniałe dzielnice tych „prawdziwych“ Amerykanów. Ci „prawdziwi“ Amerykanie tworzyli najczęściej skupiska osiedziały, zamożnych Niemców, Skandynawów czy, zawsze pełnych swego narodowego przywiązania, Szkotów. Byli jednak dla młodych polskich pokoleń wyobrażeniem amerykańskiej wyższości. I to pokolenie starało się jej dorównać. Nazbyt bezkrytycznie niekiedy przyswajało sobie nie tylko materialne zdobycze, ale i obce, duchowe walory.

Tam, kędy rodzice umieli dzieciom mówić o Polsce, kędy

czuwała praca nauczycielska, kędy trudzili się budziciele, tam duch młodych pokoleń tężał, znajdował porównawcze przesłanki, umiał i z ojczystych skarbnic pożywać. Były wszakże i ubogie mieszkanka, kędy smętek wypomnień nie znajdował odpowiedzi na cisnące się zapytania.

Jak tam w Polsce? — Dwa rzędy chat bielonych nad rozłożystym gościńcem, garby pól kłosistych, czarnego lasu wstęgi. — A elektryczne tramwaje? — W Polsce żadnych tramwajów niema. — A jakże w miastach? — W miastach? — Jest takie jedno miasto, o dwie mile drogi, co na święty Michał chyba ze trzy dni jarmark odbywa. Ani się przedostać, ćma luda, koni, gadziny nie zliczyć, takie mnóstwo. — A teatrów jest dużo? — Może gdzie na pańskim, ale nie było słychn. Aby sztukmistrze do budy płóciennej zapraszają, dziesięć łokci tasiemki umie sobie taki z nosa wyciągnąć, albo ogień łyżką połykać. Okrutna z tego uciecha. — I codzień zacierki na mleku? — Jak się zdarzy, pyrki kraszone albo żurek a nie to i kluski, skądby tam tyle mięsa wziął. — Biedne życie! — Według stanu, choćby jeden Macierzanka, jak na niedzielę zaprzągnął sobie swoich bułanków a przybrał się odświętnie, było na co patrzeć, wszystkie dziewczuchy zęby doń szczyrzyły. Dwadzieścia mórg gruntu, cztery krowy, ze trzech świniaków, gospodarz całą gębą. — Nie wiem, czyby mi się ta Polska spodobała. — I jakże, chyba piękniejszej niema na świecie.

Szkoły amerykańskie starają się usilnie o zamerykanizowanie swoich pupilów. Lecz bardziej od tych pedagogicznych kierunków oddziałują tutaj obcowanie różnonarodowej młodzieży. Młodzież angliczuje się nawzajem. „Krajowa mowa amerykańska“ zwycięża, tradycje angielskiego szkolnictwa wsiąkają mocniej aniżeli angielskie maksymy. Zabawa, sportowe igrzyska wyciskają swe piętno.

Trudno, bardzo trudno niekiedy radzić sobie z młodzieżą. Po polsku mówi z rodzicami, w domu czyni ustępstwo na

recz wypomnianej uprzednio gwary ludowej. Poza domem
oli po amerykańsku.

Ratownictwo nie zasypia sprawy, stara się zjednywać mło-
zież do polskiego drukowanego słowa.

Polskie czasopisma zamieszczają całe płachty ilustrowa-
nych sprawozdań sportowych i drukują te sprawozdania
w języku angielskim, ludząc się może, że angielska stronica
jedna im młodych czytelników dla polskiego tekstu. A może
dotornie osiągają jakoweś rezultaty. Są już czasopisma polskie,
które w tej samej intencji zamieszczają w języku angielskim
notatki o polskim ruchu literackim, są publikacje wydawane
w języku angielskim, a mające na celu łączenie polskiej mło-
zieży uniwersyteckiej, są coraz częstsze opisy angielskiego
masomówstwa na polskich zebraniach.

Anglizacja chwilami posuwa się dalej jeszcze, przeska-
zuje jej i polskie nazwiska i polskie imiona.

Ach, te polskie nazwiska. Nauczyć się jakiegoś dziwoląga
multycko-brytyjskiego, wymówić jednym tchem jakąś po-
wagę spiętrzonych spółgłosek, niepotrzebnych, zawadzają-
cych, przeznaczonych zgóry na połknięcie, na przydech, toć
magatela. Ale te straszne polskie nazwiska, szczególnie te tak
zawadjacko manifestujące swe pochodzenie.

I nazwiska te bywają upraszczane, skróćcane, doprowa-
dzone do fonetycznych ułatwień a niekiedy całkowicie za-
zucane.

Duski, Koski, Roski toć jeszcze wspaniałe resztki, trud-
niej na pierwszy rzut oka zrozumieć, że pan Shemanske jest
zawsze fonetycznie dokładnym panem Szymańskim, jeszcze
trudniej wykryć w tak irlandzko brzmiącym nazwisku O'Tuha
znanego pana Jana Otuchę, a jeżeli zdarzy się Maciej Kłu-
ka, to trzeba całego wywodu genealogicznego, żeby dowieść,
że ten charakterystyczny MacKlusky nigdy nie chodził
w szkockiej spódniczce bez pantalonów, że go rodzice za lat
młodych w krakowskim wodzili ubranku.

Ku temu zatracaniu, wynaturzaniu polskich nazwisk w Ameryce przyczynia się, w znacznej mierze, ceremonia naturalizacji, odprawiana uroczyście przez sędziów.

Taki sędzia, rozstrzygający ostatecznie o brzmieniu nazwiska nowokreowanego obywatela Stanów Zjednoczonych, upraszcza pisownię. Śród zamętu i aryng protokołowych nie ma czasu na protesty, nawet śmiałkowie padają ofiarą. Wymownym przykładem jest znany w Ameryce publicysta i redaktor Niewolkiewicz.

Sędzia, odczytujący listę nowych obywateli, zachłysnął się.

— Co? — Jak? — „Najiloł“... To jest niemożliwe nazwisko. — Będzie się pan nazywał „Newman“.

Niewolkiewicz chciał protestować. Ani myśli. Sędzia stuknął, wyrok zapadł i hymn amerykański zaburczał uroczyście.

W ten sposób zasłużony publicysta i dziennikarz został Newmanem.

Przyszły dziejopis wychodźstwa będzie miał nielada udrękę, aby, śród tych narastających szybko dziwolągów nazwiskowych, dociec czysto polskiego pochodzenia. Łatwo mu będzie zapamiętać mniej lub więcej uroczyste pseudonimy polskich gwiazd i gwiazdeczek, boć jeżeli sława olimpijska Walasiewiczówny zaczęła się była w Ameryce od „miss Walsh“, jeżeli panna Michalska wołała się zamienić na Gildę Gray to powodowały niemi też same względy, które skłoniły pannę Chałupiec do występowania już na scenie warszawskiej pod przyłbicą Poli Negri. Gdzież tu jednak wyznać się w tej maskaradzie nazwiskowej, która do zbytku wodzi na pokuszenie, nakazuje gardzić dobrym, polskim dźwiękiem i stroi się w cudaki o anglo-niemieckiem brzmieniu.

Zmiana nazwiska przecież niezawsze wypływa z pobudek amerykańizacyjnych. Kronikarze wychodźstwa lubią wypominać dzieje, zmarłego przed laty dziesięciu, publicysty Bernolaka. Młodego stosunkowo nigdy dziedzica znacznej fortuny zmienne koleje losu rzuciły na skały Nowego Yorku. Trzeba

było żyć z dnia na dzień, chwytając się byle krawędzi, aby się utrzymać na powierzchni. Śród ciężkich turbacyj młody dzielnik, znalazłszy się w jakimś wirze wielkomiejskiego zamętu, wpadł między grabie obławy policyjnej i dostał się do łabawczej „paki“. Ciężko mu było z niej się wydostać, ciężko było mu przetrwać brutalną komitwę z pałkami straży publicznej. Niedźwiedzki, ten z dobrej, starej rodziny Niedźwiedzkich uczuł się boleśnie zadrażnionym. Niechże mu nikt więcej tego nazwiska nie kazi, niechże nikt nie śmie szczeremu Niedźwiedzkiemu zamykać. I powiedział sobie, — „*bear no lock*, — czyli „berolak“, — dosłownie „niedźwiedzia nie zamykać“, i odtąd zwał się Bernolakiem.

Z imionami polskimi dzieje się nielepiej. Rodzice chcieli i chcą jeszcze po dzień dzisiejszy mieć Władysławów, Stanisławów, Mieczysławów, Bronisławów, Wojciechów, radzi całą przeszłość piastową odtwarzać w imionach swej dziatwy. Szkoła najpierw a za nią upodobanie do naśladownictwa obcości szybko się z tem rozprawia. Stanisław zostaje przenicowany na, niemającego z nim nic wspólnego, Stanleya, Władysław awansuje na Williama, Bronisław na Benjamina albo na zwykłego Billy, Wojciech na Alberta, znajdując w pobliżu nadobną Ethel, Nancy, Lilian, Elisabeth, Hellen, Molly lub Patrycję.

Na najwyższych szczeblach wychodźstwa trwają dwa wręcz przeciwne kierunki. Pierwszy z wykształcenia, z osiągniętego stanowiska przyczynia chluby swemu polskiemu zawołaniu, staje się niejako wyrazem szlachetnie pojętej dumy narodowej, jest tym hardym Amerykaninem, nigdy nie zapominającym o swem pochodzeniu. Drugi pławi się w amerykanizacji, trwoży, aby ktoś nie zwątpił o jego stuprocentowej lojalności.

Zresztą dzieje się jako niegdyś ze szlachtą czeską, która zapadła się, rozplynęła w odmęcie niemieczyny, podczas gdy lud czeski wytrzymał, nie dał sobie „wydrzeć mowy“.

Na tę „szlachtę“ polsko-amerykańską czyha właśnie owo

krzyżowanie się z „Amerykanami“. Snobizm zanglizowanej Niemki, nieuctwo wykształconej Irlandki umie dokazać więcej aniżeli profesorowie Carpenter i Woofter mogliby się spodziewać. Jeżeli takiemu skrzyżowaniu towarzyszy i skrzyżowanie religij, jeżeli Polak lub Polka zostaje wyrwany, zgaszony całkowicie dla „polskiego“ wyznania, asymilacja jeszcze szybsze czyni spustoszenia.

Choć tyle już było powiedziane o tej „polskiej“ wierze, obowiązek zmusza do wskazania na skradającego się ku niej groźnego pasorzyta.

Zapomnijmy o wyczynach Mundelajnow, Turnerów i tych wszelkich irlandzko-niemieckich purpurach i fioletach. Kiedy hierarchja biskupia ściąga sobie do katolickiego uniwersytetu w Washingtonie, Bogu ducha winnego, profesora Torosiewicza, aby księżom irlandzkim wykladał język polski, można nie frasować się o te zakusy. Taki ksiądz w roli rzekomo polskiego kapłana, ginie pokonany własną bronią. Na byle kazaniu grzebie się z kretesem. Język mu się splącze, rąbnie naukę „O Niepokonanem Napoczęciu“ albo „O Bożem Mieście“ (autentyczne irlandzkie koncepty na temat Bożego Ciała i Niepokalanego Poczęcia), i ucieka przed pomrukiem gniewu i oburzenia.

Ten istotnie groźny pasorzyt już się narodził, już się począł i począł się wśród młodego kleru polskiego.

Sięgnijmy do obiektywnego dokumentu z przed kilku miesięcy.

Archidiecezja milwaucka, po zgonie bojowego arcybiskupa Messmera, żałośnie zapisanego w kronikach wychodźstwa, posiadała wyjątkowo szlachetnego następcę.

Chicagoski „Dziennik Związkowy“ ogłosił taką relację z odbywanych przez tegoż biskupa wizytacyj:

„W pewnej parafji polskiej, archidiecezji milwauckiej, obecny ksiądz arcybiskup, kapłan katolicki w myśl przykazań Ducha Św., który każdemu narodowi pozwala chwalić

Boga w swym języku, wiedząc, że parafja, którą wizytował, jest polska a nie polskiego w niej nie znalazł, gdyż wszystkie modlitwy, przemówienie, śpiewy odprawiane były po angielsku, zwrócił się wręcz do proboszcza tejże parafji z uwagą: — A ja myślałem, że to jest polska parafja.

„W drugiej zaś parafji, gdy, w czasie wizytacji, tenże sam arcybiskup wysłuchał przemówienia księdza proboszcza Polaka do dzieci polskich po angielsku, — odezwał się po skończeniu mowy: — A teraz niechże ksiądz proboszcz przemówi do dziatwy po polsku.

„Czy to nie charakterystyczne wypadki? Czy nie nasuwają się myśli, że jednak są księża proboszczowie, którzy tylko zasłaniają się nakazami władzy wyższej, zwalają winę i odpowiedzialność na biskupów i angлизację swych parafjan prowadzą z własnej a nie przymuszonej woli?“

Są tacy, mnożą się, nawet w kaszubskiej djecezji, są tacy, którzy w polskich kościołach odprawiają angielskie nabożeństwa, aby, rzekomo, wygodzić mieszkającym w pobliżu „ajryszom“, chociaż ci ostatni własny posiadają kościół. Innemi słowy, dla hołoty polskiej ranne Msze a dla tej zanglizowanej dziesiąta rano. Porzućmy napomknienia ogólnikowe, taki ład, a raczej taki nieład bolesny dzieje się w Stevens Point, w djecezji polskiego biskupa Rhodego i niezawodnie ku wielkiej tego ostatniego udręce.

Ród znakomitych księży patryjotów, księży działaczy, księży budzicieli takich jak ks. ks. Jan Pitass, Antoni Pitass, Monkiewicz, Kraus, Grudziński, Kopytkiewicz, Krzyżan, Lempka, Niedbalski, Żychowicz, Celichowski, Kasprzak, Bubacz, Górzyński, Redka, Kwiatkowski, Kałamaja, Smogór, Chmieliński, Wojtalewicz, Garstka, Wachowiak, Szpotański, Ciemiński, Szudrowicz, Mścisz, — mało znajduje następców w młodem pokoleniu.

Amerykanizacja sama przez się nie jest jednak zabójczą, ma w sobie dla wychodźstwa strony dodatnie, gdyż w ucziwej

interpretacji nie dąży do wynarodowienia, nie tłumi przywiązania do starego kraju. Złem istotnem jest kryjąca się poza plecami amerykanizacji anglizacja, więc już zamach na obyczajowość, szczepienie obcej tradycji, lekceważenie nie anglo-saskich zdobyczy kulturalnych, wynaradawianie, protestantyzowanie, niweczenie historycznej więzi.

Wychodźstwo w Stanach Zjednoczonych ma atoli dwu niezawodnych sprzymierzeńców.

Tym pierwszym sprzymierzeńcem jest angielska zarozumiałość, jest anglo-saska pycha, jest nordycka nietolerancja, jest obskurantyzm ludu genjalnych handlarzy, prawiący o swej wyższości rasowej, o swem przodującym śród narodów stanowisku.

Stara jak świat anegdotka powiada, że kiedy Anglik zapytał Francuza, do jakiej mianowicie chciałby należeć narodowości, gdyby nie mógł być Francuzem, Francuz odpowiedział uprzejmie, że w takim razie chciałby być Anglikiem. Zapytany przez Francuza w ten sam sposób Anglik odrzekł flegmatycznie: — gdybym nie mógł być Anglikiem, to chciałbym nim być.

Stara jak świat fraszka jest zawsze równie młodą i dośadną.

Najpierw Anglja, dalej Skandynawja i jeszcze Germanja a zresztą nic pozatem. Stany Zjednoczone są krajem angielskim. Więc choćby jakiś Carlyle czy Emerson pluł filozoficznie w twarz imieniowi polskiemu, obowiązkiem polskiego wychodźcy jest głowę schylić przed anglo-saskiem myślicielstwem i podnóżkiem jego zostać.

Zresztą cóż takiemu plebejuszowi europejskiemu mówić o majestacie podługnej czaszki, niebieskich oczach, blond włosach, o szkockich dudach. Zadość dlań zaszczytu, że mu wolno się przygarniać, że mu wolno wyzbywać się słowiańskich łachmanów.

I ta właśnie zarozumiałość, ten „rasizm“, który wyrósł

rozpanoszył się na wiele dziesiątków lat przed swym berlińskim naśladowcą, jest pierwszym sprzymierzeńcem wychodźstwa. On je zatrzymuje na krawędzi owego tygla amerykańskiego, kędy nie stapiają się ale skwarzą ciągle różnorodowe elementy. On, pokrytych amalgamatem nordyckim, umie ocykać, budzić, wracać poczuciu narodowemu.

Wtórym i to już bezwzględnie dzielnym sprzymierzeńcem polskości w Stanach Zjednoczonych są ci istotnie prawdziwi Amerykanie, — bo kroczący śladami Washingtonów, Franklinów, Jeffersonów, miłujący wolność a wielbiący prawa ludów.

Z ich to ust wychodźca polski w Ameryce wielokrotnie słyszał i może usłyszy jeszcze napomnienia i wskazania, jak gorąco, jak głęboko powinien czcić i wielbić swoją polską matkę.

Zimny, ważący każdy wyraz prezydent Coolidge nie zawahał się powiedzieć:

— Zły Polak nie może być dobrym Amerykaninem.

Sekretarz stanu (minister) marynarki, jeden z najbliższych współpracowników prezydenta Wilsona, Josephus Daniels, w przemówieniu swem do młodzieży w Kolegium Związkowem w Cambridge Springs oświadczył dosłownie:

— Jako wierni synowie Ziemi Washingtona macie obowiązek zachować tradycje waszego polskiego pochodzenia, z ukochania mowy waszych ojców, ze skarbnic waszych zdobyczy kulturalnych winniście czerpać i zbogacać nasz amerykański dorobek. Ta nasza ziemia potrzebuje tego waszego polskiego idealizmu, tych wzorów miłości ojczyzny, którą świecili zawsze wasi przodkowie. Bądźcie Amerykanami, ale bądźcie dumni z tego, że w waszych żyłach polska krąży krew.

Równie gorących napomnień nie żalowali naszym wychodźcom ani prezydent Teodor Roosevelt, ani prezydent Taft, ani tak oddani imieniowi polskiemu dygnitarze jak

Newton Baker, minister wojny za czasów tej tak strasznej a śnionej przez nas ostatniej zawieruchy wojennej.

Wiele z tych ozwań dobrego wpływu, wiele otuchy, jaśniejszego spojrzenia w przyszłość.

Przyszłość?

I znów jedni rachują do dwudziestu pięciu, drudzy do pięćdziesięciu i zawsze poza tymi kresami liczb też sama toń zachłanna, też sama nieubłagana topiel.

Tam, wdali, za oceanem, rozpala swą światłość odrodzona Rzeczpospolita. Blaski jej promieniują jasnymi smugami.

Pięć milionów szczerego ludu, z jednego pnia, olbrzymia góra pracy twórczej, tytanicznych wysiłków, wzór ciężyny.

Gdzież tu dawać się zwątpieniu.

„W kilkudziesięciu latach dokonaliśmy rzeczy wielkich“, — nawołuje publicysta w „Dzienniku Zjednoczenia“, — „jeśli zważymy warunki w jakich trzeba było pracować. Pogardzano nami i poniewierano. Byliśmy bydlęm robo-
hoczem, traktowanem narówni z murzynami, a ci mieli tę przewagę, że władali językiem angielskim, którego większość naszych rodaków nie rozumiała. Jakże dzisiaj jest inaczej! Bądźmy tylko tak wytrwali, jak nasi ojcowie, bądźmy dumni z samych siebie. Ileż radości i zadowolenia niosą nam nasze szare dni, ileż stąd bodźca, ileż moralnych zdobyczy. Spoglądajmy hardo w przyszłość. Wytrwamy!“

Pięć milionów.

Za lat dwadzieścia, przy najmniej pomyślnej rozrodeczności naszego wychodźstwa i przy bezwzględnem zamknięciu dopływu emigracji, pięciu milionom urośnie jeszcze jeden milion obywateli polskiego pochodzenia!

Wiary i pogody ducha, nasze Śląsko wytrzymało czterysta trzydzieści lat niewoli. Po czterystu trzydziestu latach wróciło do polskiej mowy.

Siły naszego wychodźstwa są niepożyte.

NIE ŚWIĘCI GARNKI LEPIĄ

Wykorkował się nareszcie, dobył z kosza raportów, papierków, rezolucyj, akceptacyj, wdrapał na skrzydła całej lub ćwierć urzędowej darmochoy i grzmotnął prosto w serce wychodźczego bytowania za oceanem.

Juści nie byle kto, inteligent, personat, bywalec, demokratycznego poloru, jako wypada, aleć wiadomo, gdyby co do czego to bodaj hetmańską brzdęknać parentelą.

Taki owóz przyjechał, — delegat, podróżnik, może wysłannik a może wściubinos. Tu się zarekomendował, tam dotarł, ówdzie się zaprosił. Chodzi, kołuje a w oczach mu się mroczy.

Dorwali się pieniążków.

Rezydencje, pałace, palisandry, mahonie, kryształy, bronz, potoki światła, wszystkiego kufy i półmichy.

Gdzieby tam nawet samemu szefowi na myśl przyszło. Grafowie Prastarscy mają dość, ale za tego jednego perskiego dywana, co pod stopą pręży się a skrzypi, możnaby wszystkie ich „obzedary“ wykupić.

I skąd, co, jak?

Gdzieś z pod Żnina się wywodzi, z pod Niska albo Sandomierza. Placami handlował, piwo rozwoził, bankierem został. Dorobkiewiczze, nuworysze, rozpiera się to i dolarami dzwoni.

I ani ich rozeznąć.

Toć wiadomo, pod Niskiem dziewuchy kuse, krępe, niby snopki owsa wpół przepasane, chłopcy takóž czworogranne, mocne lecz niezdarne. Uroda gęsto marszczkami, piegami bru-

kana, jagłami ospy znaczona, łapska ropusze, paluchy jak kiełbasy, zczerniałe, powyłamywane paznogcie.

A tu wszystko smukłe, gibkie, urodziwe, wypieszczone, jakby rozprostowane, jakby do należytej doprowadzone formy.

Z tych samych akuratnych Krupków z pod Zambrowa. Najrodzeńsza precz jeszcze w tej samej chałupie, drobiazgowi kołtuniastemu, poskręcanemu, krzywonogiemu cieszy się a wspomina czy onej Klarze, co ją z Antkiem Wiertczakiem do Ameryki wyгнаło, dzieciaki takż pięknie się chowają.

Z Antkiem zresztą łatwo się dogadać. Wlot czego chcieć nachwytał. Kiedy się rozepcze w olbrzymim fotelu a prawą nogą zacznie kiwać ku lewej a z cygara kłębami dymu pykać to zda się, od czterech już tak pyka pokoleń. Mówi tylko o tem, o czem wie i co zna, nie da się nigdy wyprowadzić na manowce. W potrzebie zmilczy. Jest zupełnie możliwy. Trzeba bodaj wielkiej powolności, aby uwierzyć, czynionym niekiedy, apostrofom do przeżyć dziecińskich polskiego miljonera.

Niezawodny polski miljoner, — czy tylko milion dolarów majątku, czy milion dolarów rocznego dochodu w rachubę już nie wchodzi. Jeden z wielu miljonerów polskich.

Ma w decydującej chwili szeroki gest i miewa ten sam sarkastyczny skurcz w załamie ust. Daje, płaci, pozwala się oskubywać, taniej mu wypada rzucić datek aniżeli skazać się na wtórą godzinę narzekania.

Trudniejsza jest zażyłość z Klarą. Spowita jedwabiami, ufryzowana, misternie kolorami podkreślona, pulchna i biała jest zazwyczaj małomówna. Nie zna się na lekkoduchem świegotaniu, z byle flirtem zbliżyć się do niej niepodobna. Wszystko albo nic. Zresztą ona ma już wszystko. Jedyna troška, aby nastarczyć wymaganiom, aby najmniejszy drobiazg był istotnie „up to date“, aby wdziek elegancji łączył się z wiernością dla mody. Klara jest znakomitą gospodynią,

nie da się ubiec nikomu. Gotowa całe dni spędzać w magazynach, aby na wzorach dociec w jakim ordynku winny być ustawiane kieliszki, jak teraz składa się serwety, kiedy stół należy ubrać w koronkowe patarałki a kiedy adamaszkowym obrusem okryć. Kiedy się podaje melon drążony w kulki a kiedy lepiej zamrozić go razem z kopyścią „ajskrymu“. Jakie teraz należy zawieszać firanki, jakie są najmodniejsze meble. Klara na tem się zna doskonale, równie dobrze jak na tualetach, na urządzeniu domu, na usłudze, nawet na utrzymaniu w karbach guwernantki do dzieci. Kiedy jej starannie wypielęgowana, chociaż dziwnie mięsista i muskularna ręka ślizga się po brokatach i pluszach domowych, mniej bystremu obserwatorowi zdawać się może, że na tych pluszach właśnie się narodziła.

Niekiedy chochlik się zaczai i nawet nie chochlik może, lecz coś samopas drgnie, ozwie się niepotrzebnie.

Cały bukiet wystrojonych dam projektuje na najbliższy tydzień niezwykłą zabawę. Klara na najbliższy tydzień zgodzić się nie może. — Jakto? — Dlaczego? — Bo w najbliższym tygodniu ma przecież wielkie pranie!

Krocie dochodu, apartamenty, bogactwa ale cóż, wielkie pranie jest zawsze wielkiem praniem i tej prawdy Klara święcie się trzyma.

Delegat starokrajski bardzo się źle czuje w tej miljonerskiej sferze. Pije jak smok, objada się do utraty przytomności frykasami, które, jako ojciec Antka mięso, tak on raz albo dwa razy do roku oglądał, — rozpiera się w miljonerskich Packardach i Cadillacach, brzęczącego równie chciwy profitu a przecież złość go aż tarza.

Dokuczyli mu ci miljonerzy.

Był jeden, ten chyba najpierwszy polski miljoner i najślawniejszy, Erazm Jerzmanowski. Po dźwięku zaraz widać, że nie chmyza, wnuk z prostej linji, wnuk napoleończyka, inżynier, powstaniec, żołnierz prusko-francuskiej wojny, zje-

chał był na budowanie gazowni, na wielkiego technika wyrósł, siła dobroczynności krajowi uczynił. Jednej tylko Akademji w Krakowie sypnął miljon dwieście tysięcy koron na... roztrwonienie w austriackich gwarancjach finansowych.

Ale to był Jerzmanowski.

Delegat schodzi czem prędzej o piętro, o dwa, o trzy piętra niżej. Gdzie przystanie, gdzie się zacznie rozglądać też sama złość — nie złość, ironja gorzkiemi porównaniami nasączona.

Cóż, — skala, — skala życia, wściekła, niepojęta, niezrozumiała!

Robociarz sobie, gwizdkom się kornie kłaniający, napylony, okopcony, tłuszcem, smarem wymazany. A tu mieszkanie, stołowy pokój, parlor z różnolitem samograjstwem, elektrycznych sztuczek bezliku, kuchnia istna parada, maszynka w garażu, dolarków nieco w banku a może jeszcze w sienniku.

Tak u robociarza, tak u mieszcucha, tak na farmie, tak na krańcu zapadłej uliczki.

Mają się i jak jeszcze! Kraj bogaty oczywiście, ktoby nie chciał to mu skapnie, samo do rąk wejdzie. Phi, co tu mówić, — Ameryka!

Jedno tylko dziwne i osobliwe. Kogo zagadnąć, to zawsze ta sama historia. Kubek w kubek się zaczyna. Czy tak, czy owak, na początku zawsze była nędza. Ten, co ją przetrwał, co się jej nie dał, ten ci jest, — o tamtych, którzy zginęli, przepadli nie warto mówić, niema ich i tyle. Zarobki, praca, — najpierw wyzysk, głód, poniewierka a dalej, dalej po całych latach niekiedy pierwszy błysk.

Żadnego przytem zróżniczkowania. Tak zaczynał inteligent, tak zaczynał nieokrzesaniec, tak zaczynał i ten, co jako wyś fundusik ze sobą przywoził. Fundusik topniał w oczach, nawet doświadczenia nie okupił.

Najtęższa głowa musiała torować sobie drogę garściami. Jeżeli garście były słabe, licha dola i dla głowy.

Kto żwawiej śmignął ciężarem, kto własne życie zawiesił na sterczącej ponad lasem kominów belce żelaznej, kto jednym uderzeniem pałki rozciągał na ziemi buhaja, ten ci był dopiero, ten się wyróżnił, ten przychylności zaskarbił.

Kontynent bezkresny i zawsze głuchy, obojętny. W borach czy na prerjach, wśród garbów i kłębów spiętrzonych kanjonów czy też na zgiełkiem i gwarem przepełnionej ulicy jedna i taż sama pustka, ten sam mrok, jako w leśnym ostępie, ten sam szary odbłask stężałego granitu, jak tam, nad skrętami Colorado.

Głusza i pustka.

Kroniki powiadają, że, w roku 1855, sto rodzin polskich, sto chłopskich rodzin wynajęło żaglowiec i żaglowcem tym z Bałtyku ruszyło wprost do Zatoki Meksykańskiej. Tam wylądowało w Galveston i już z Galveston wyciągnęło w środek Texasu. Wieźli ze sobą sprzęty domowe, narzędzia, wieźli nawet polskie pługi, wieźli nawet własny dzwon do przyszłego kościółka, wieźli nawet z polskiego drewna wyrobiony krzyż. Siła było niedoli z tej wyprawy, siła cierpień, zanim się jakie takie uczyniły osady. Aleć o tem ledwie wspomnienie. Przestrzeń i pustka zagłuszyły skargi.

Tak było niegdy, tak było wczoraj. Sto rodzin w Texasie czy sto rodzin, rzuconych na brzegi Hudsonu, — jedna dola. Mówi się o tych, którzy trwają.

Delegat starokrajski im pilniej się rozgląda, tem się gorzej czuje. Wszystko mu się logicznie układało dopóki był do wychodźstwa jechał, dopóki je znał powierzchownie, dopóki z niem bliższych nie zawarł znajomości. Teraz porwały mu się najgrubsze nici, splątały najlogiczniejsze wywody.

Jestże bo Ameryka jakimś niesamowitym obszarem ziemi, jestże tak bardzo odmienną, różną, bogatszą, wdzięczniejszą aniżeli te, hen, połacie do Sanu, do Wilji się tulące? Wszak ci w Ameryce jeszcze straszniejsze kataklizmy, topiele, huragany, orkany, burze, przenoszące z miejsca na miejsce góry pia-

chu, pożary lasów, pożary stepów, trzęsienia ziemi, zapadanie się opoki, zabójcze upały, śmiertelne mrozy.

Organizacja życia, organizacja pracy, organizacja zbytu! — Słusznie, aleć to są raczej zdobycze przywiezione do Ameryki, przywiezione zdaleka bardzo, z tak daleka, że o wiele bliżej im było i jest zawsze do onego rozburza Europy, które, według przepowiedni starego Lessepsa, winno się stać ośrodkiem rozkwitu cywilizacyjnego.

Lecz najdokuczliwszem, najprzykrzejszem w tych dociekaninach jest ciągle i nieustannie wracające pytanie, — dlaczego Jędrzej z pod Tarnowa, siedzący w Ameryce, w ciągu lat kilkunastu, przeistacza się w człowieka, garnącego się do kultury, do lepszego bytowania, wyrasta na obywatela kraju, jest wzorem ofiarności, doskonałą komórką pracy społecznej, — a tenże sam Jędrzej z pod Tarnowa, tkwiący rzetelnie pod tym samym Tarnowem, w najpomysłniejszych warunkach, jest tylko bezwładnym, tchórzliwym fujarą, nieciekawym prostakiem.

Tam, w Ameryce, Jędrzej budzi się, oczy otwiera, pragnie, ma ambicje, chce sięgać, dźwigać się, — tu, w Polsce, Jędrzej ledwie się porusza. Ktoś go dopiero namawia, poucza, ocyka, tarmosi, Jędrzej oczy mruży a wygląda, czyli mu jakaś wielka dobroć na łeb z nieba nie spadnie.

Tam, w Ameryce, od pierwszego dnia, od pierwszej godziny Jędrzej wie, że mu nikt nie dopomoże, nikt ręki nie poda, że za nic jest tylko nic, że trzeba imać się byle czego, że jest człowiekiem bez praw, że za byle pomrukiem czeka go pałka policjanta, pięść najbliższego draba, kły brytana, kula rewolwerowa, rozstrzygająca zawsze o losie włóczęgów i bezdomków. I ten Jędrzej w Ameryce nie lęka się walki, idzie, prze, wspina się, chce być jako inni, chce być lepszym, chce być równym, bo równość dla Jędrzeja w Ameryce nie zaczyna się na poziomie ścieków wielkomiejskich, bo równość dla Jędrzeja w Ameryce nie jest ideałem kału ludzkiego, który

wszystko ma zagarnąć i wszystko za sobą porwać. Równość dla Jędrzeja w Ameryce tkwi na wyżynach, kędy źródła swe srebrzyste rozpościerają warkocze. Być równym to nadewszystko znaczy nie pełzać.

Ameryka jednak musi mieć tak już nastawione życie. Ma przykłady, ma tysiące schematów, ma jakoweś tłoki, które chwytają surową masę ludzką i wpychają w gotowe formy. Toć ubogi Jojne Firułkes, który wczoraj gotów był życie ponieść za nietykalność swych jedwabistych pejsów, swej brody dziewiczą miękkość, całego stroju szacowną tradycję, — w kilka godzin po wylądowaniu przeistacza się w wygolonego, nowojorskiego gapia w żółtych butach, słomianym kapeluszu i porteczkach, rzemieniem przytrzymywanych. Więc nawet Jojne Firułkes a cóż zatem Jędrzej. Przykłady, przykłady decydują, przykłady ludzi przeistaczają.

A nie maszcie Jędrzej, tkwiący w Tarnowie, równie dobrych przykładów? Nie chodziłże po miastach, nie oglądał jako inni żyją, nie ślepiąłże latami poprzez kamionkę, jako w dworskim obejściu się rządzą? Nauczyłże się już bodaj ogrodowiznę uprawiać, urosła mu choćby jedna grusza koło chaty, może już raduje się własnym a nie cudzym kwiatuszkom? A z tej troski serdecznej nicże jeszcze Jędrzejowi z pod Tarnowa nie przybyło?

Od lat kilkudziesięciu wyraz lud jest umiłowaniem starokrajskiej romantyczności społecznej. O ludzie się myśli, o ludzie się mówi, dla ludu się czyni tyle, tyle się biada nad jego upośledzeniem. Lud jest przedmiotem najczulszej zabiegliwości. Robi się nawet ponad siły, ponad możność. Wszystkimi drogami doń się celuje. Nawet się dlań wydaje specjalne gazety, odpowiednio głupie, aby nierozwiniętym umysłem urazu nie przyczyniły, pisze się dla tego ludu równie umiejętnie przykrojone książki. Krzewi między niem zamiłowanie do piękna. Toć już krocie wiejskiej dziatwy umie robić wycinanki, wiercić przeosobliwe dziurki w pasmach starej,

zbrukanej bibuły, stroić ją w ząbki, wystrzygać na gwiazdki. I organizuje się wykłady popularne, ach, co tu w bawełnę obwijać, tłumaczy się nawet postępowym kształtem, że jeżeli komu własne nie wystarcza, to powinien cudze zagarnąć.

Bratamy się z ludem naszym i jak się bratamy. Uroczyste zebranie, solenne przyjęcie, — dawać chłopów, dawać dziewuch! Niech się zestroją i niech tańczą, niech podrygują. Tu górale, tam księżaki, hucuły czy baletmistrze od Kujaw, byle pstro i wesoło. Szczerczą lizusowskie gęby, kieckami się nastawiają, juści braterstwo z ludem. Nie żałować, dać każdemu, niech się jeszcze i schla i obeźre, — niech się cała Europa dziwuje naszemu braterstwu.

Albo choćby te drągale. Wysunęli się na czoło i nietylko z przebiegłości i z ozora ale i z nauki, której niezgorzej liznęli. Rzadkie to przypadki aleć są. Chłop z chłopą, plebej z plebeja i dostojnik. Radość, że tacy się znaleźli nareszcie. Krótka radość. Oni dopiero teraz pokazują, co to plebej, co to chłop. Niemiecka czapka na uchu, łapy w majtasach, buty z cholewami i na raut reprezentacyjny. Co im takim do obyczaju, do manieri, do poloru. Oni właśnie nie chcą być narówni mizernych czarności godowych. Kpią z krawatów, na szczęście że nie z guzików. Im więcej grubiaństwa, tem więcej demokracji. Wielkich bolszewików zawsze stać na reduty.

Gdybyż bodaj i takich przybywało drągali. Ani mowy. Rwie się, nie układa.

Jędrzej z pod Tarnowa jest za oceanem kunsztownym kruszczem, jest najświetniejszą kaoliną, na farfury, na wazon, — a ten sam Jędrzej z pod Tarnowa w Polsce ledwie zdatny na polepę, na garnek, na te odwieczne izb kmiecych skorupska.

Chyba tajemnica jakaś w powietrzu. Tam samo idzie a tu z miejsca nie ruszy. Z tym Jędrzejem w Polsce dogadać się niepodobna. Boi się pisanego, boi się drukowanego, boi się cieniów, które jakby z przedwojennych dziandziarów się wy-

wodzą. Wolej guza nie szukać i nie sforować się bez przykazania, bo w gminie i tak poszachrują. Od pięćdziesięciu i więcej lat nic się nie zmieniło i, dziękować Bogu, że to jeszcze trwa.

I w Paryżu niema z owsa ryżu, lecz i w Ameryce znają się na polskich dychtach, wiedzą, że jak się utnie forniru z sarmackiej drzewiny to piątego pokolenia doczeka. Taki dycht, taka w pospolitym dębczaku jędrność, taki słój wzorzysty, tyle chmur i chmurek kłębiastych w jednej desce orzecha. Mamy dychty, mamy forniry na wywóz i mamy brak dachu nad głową, brak zdrowej krokwi na załatanie zmurszałych, skisłych, przetrąconych chat.

Amerykański Jędrzej przytyka rezolutnie palcami.

— W starym kraju nie poradzi. Co u nas w miesiąc, — tam i trzech lat za mało.

Delegat jeszcze nie traci otuchy. Trzeba głębiej dotrzeć, księgi żywotów otworzyć.

Jest tych żywotów poczet przeogromny. Każdy z nich kreślony szalonem napięciem woli, pełen zgrzytów, skowytu maszyn, łomotu pulsów, rwących do mety, zadyszanych piersi ludzkich. Każdy z nich zdolen jest najbujniejszą sponiewierać fantazję, najbystrzejszym fotografom życia ludzkiego dowieść i braku perspektywy i braku światła i niedołęstwa retuszu.

Chyba złe nasadziło się nań i do Ameryki przywiodło. Na folwarczku u dziedzica już prawie że pisarzował, dobrze mu było i zacisznie. Kiedy przecież parobczaki zaczęły ruszać za ocean, przygrzało i Wojtalskiego. Nie wytrzymał, wyprzedził się, zgarnął manatki, niewiastę i dzieciaki załadował na furmankę i na kolej i kolejną do okrętu. Zachowania był przystojnego, bo ojciec choć tylko na siedmiu morgach, ale na szlacheckiem, rezolucji mu nie brakło i naciulanego grosiwa także. Ale w tej Ameryce jak z kamienia, nie wiadomo czego

się chwycić, tu się klei, tam się rai i z rąk wyslizga. Grosze prędko lecą, mieszek dnem zezuje. Niema innego sposobu, trzeba jak parobki, jak te fornale do dźwigania, do nakładania, do najprostszego się brać. Siła pocziwej determinacji, jeno nawyku mało. Franki, Staśki biorą swego dawnego pisarza między siebie. Jako mogą pomagają, ratują niedołęstwo, zwątląłego nie mogą uratować zdrowia. Bieda w domu już snuje się po kątach a z nią razem cięższe od tej biedy zmartwienie. Dwu najstarszych chłopaków na istną zakałę wyrasta. Ani do szkoły, ani do pracy, włóczy się to, z najgorszymi obwiesiami przestaje, ani słowem, ani rzemieniem z nimi nie poradzi. Proboszcz aż z ambony wyzywa, wstyd ludziom w oczy spojrzeć, takie już boskie skaranie. Coś w rok niespełna Wojtalski zachorzał. Trzeba się było w jednej izdebce skurczyć, wyprzedawaniem ratować. Wreszcie zdesperowana Wojtalska stanęła do balji. Ciężkie, twarde życie. Izba parą buchająca, pluszcząca mydlinami, barłogi po kątach, mąż chorobą skręcony, dziatwa wałęsająca się i odarta. A z tych najstarszych dryblasów tyle pociechy, że tłumoki do magła zadźwigać pomogą, w odnoszeniu lub przynoszeniu bielizny ulżą. Pewnego razu, kiedy Józek Wojtalski, nadawszy matce tłumoka z brudami, rychtował sobie na przymurku drugiego tłumoka, wyszczerzył się do niego grubas z pobliskiej golarni.

— Chłopak, toś ty chyba wczoraj z Dziubałtowa uciekł! — Nie możesz ta sobie wystrugać wózka? — Wolisz osła udawać.

Józek się oburknął, ale go dojęło, naszemrał ze Stefką i we dwu dniach wózek niezgorszy był gotowy. I od tego wózka się zaczęło, bo akurat z nim razem przyszło na Wojtalską. Chciała się dźwignąć, nie mogła. W kościach ją darło, stawy skręcało a tu bielizny fura, a tu brudów kupy wielkie, bo staranna była niewiasta, w rzetelności zawzięta. Co tu począć, brudy tak zostawać nie mogą, z tych brudów przecież całe wyżywienie a tu może i ze cztery dni przeleżeć wypadnie. Józek spojrzał na Stefka, ściągnął kurteczkę, rękawy zakasał

i do balji stanął. Opętanie istne przyszło na dryblasów. Prali bez wytechnienia, suszyli, maglowali i co kilka dni brali się za bary z krochmalem, z glansem, z żelazami, z karbowaniami, z wywijającami. Wojtalska zwlekała się z posłania w przełomowych momentach. Nie brakło partactwa, nawet szkody, ubywało klientów, aż nagle przestało ubywać, bo Stefek na taki ambit wziął, że pewnego poniedziałku razem z wózkiem na furze brudów zjechał. Na szczęście w głębi podwórka była opustoszała drewnutnia. Więc do gospodarza i dalej drewnutnię najmować, bo i dwu balij za mało i czterech nowych wanienek nie starczy i trzeba jakiejś wyręki.

Tak powstała słynna, potężna, wspaniała i jedyna w całych Stanach Zjednoczonych a może i na całym świecie pralnia Józka i Stefka. Powstała jednak nie tylko z niedoli, nie tylko z wysiłku dwu wyrostków ale nadewszystko powstała z ich zawziętości, z ich ambicji, z ich uporu pokazania ludziom, że niema na świecie pracy hańbiącej, niema pracy nikczemnej, że najpospolitsza robota może się stać przedmiotem najdalej sięgających dociekań techniki. Podrwiwano sobie z tych dwu słynnych „praczek“, kpiono z dryblasów, jako niezdolnych do żadnego godziwszego zajęcia, żałowano starych Wojtalskich, których złe na wyjazd do Ameryki skusiło, aż rozpląszczono się kornie przed milionerami.

Znali ją w całym mieście, babę krępą, muskularną, o łapach szerokich, czarno-krwawymi odciskami znaczonych. Drugiej bo takiej chyba nie było, któraby szła o lepsze z najsilniejszymi chłopami w piekielnym zgiełku odlewni żelaza. Dnia nie opuściła, chwili nie zmitrężyła, latami trwała nad strugami ognistej cieczy. Zdumiewano się takiej pracownicy. Pejdy dobre szły, lecz pieniądze jej się nie trzymały. Tajemnicą pani Katarzyny był wątył, drobny chłopaczek, ostatni z całej gromadki, przez szkarlatynę wytępionej. Z nim się

podziwiała, dla niego żyła, dla niego pragnęła. Umyśliła sobie nietylko najpocziwiej go wychować, ale i wyuczyć, wyuczyć na lekarza, niechby on jak te bogate Amerykany sobie chadzał, niechby jemu jednemu za tę wszystką poniewierkę „Miss Cathrin“, jak ją zwano, choć sama niepiśmienna, umiała się zwiedzieć. Dociekła jak należy. Trafiła i do najlepszej szkoły i drogę chłopcu mościła. Jenó cóż, chłopczyna był wątły, chorowity, istne pańskie dziecko. Darło się to do nauki, do życia, do zdrowia i trzasło. Cathrinę skreśliło, coś dwa tygodnie jęczała a zgrzytała. Wreszcie powlekła się do odlewni. Zważano na nią pilnie. Wydawało się, że nie wytrzyma i rzuci się w płomień cieczy żelaznej. Lecz jakoś jej zelżało. W parę dni później starszy inżynier zafrasował się nieszczeniściem tej niezwyklej kobiety. I dalej ją zagadywać a dociekać, bąkanych łamanym językiem, odpowiedzi.

— Trzeba, abyś pani gdzie przy rodzinie zamieszkała, — tak samej na świecie...

— Ano pewnie, ale już jest orajt.

— Jakto *all right*?

— Ano wzięłam od jednej kobiety akuratnego chłopaczka, niech się za mego Franka na lekarza wyuczy.

Tej dobrodziejce zasłużony i poważny lekarz polski miał do zawdzięczenia i naukę początkową i środki na ukończenie jednego z najkosztowniejszych uniwersytetów amerykańskich.

Roślinkę, drzewko każde można wywieść akuratnie z ziarenka, z szyszeczeki, z nahodowanej rozsady. Z człowiekiem nie zawsze tak poradzi. Nie było go, nie istniał, jakby nie żył, aż oto, ni z tego ni z owego, wychynał na widownię i sterczy, jest. Kim był, jak się począł, skąd się wziął, — nie wiadomo, dość że jest.

Gdy się o nim zwiedziano, już był piekarzem. Sklepić ubogi, pod sklepikiem warsztat, drobiazgu pół tuzina, mor-

dęga od rana do nocy, lecz chlebuś akuratny, troskliwego wypieku, w smaku przymilny i nieuprzykrzony. Licho kto zrazu na pana Mateusza zważał, jeszcze mniej baczono na strzeliste reklamy, jakiegoś nadzwyczajnego chleba, wyrabianego pod kontrolą rabinicznej delegacji. Pan Mateusz tymczasem jakby pęczniał. Tu i tam na zebrania, na posiedzenia zaglądał. Posłuchał, użalił się jakiegoś kłopotu i czeka wypisywał. W mig gruchnęło o tej hojności. Jęto oblegać dobrodzieja. Ani się zachmurzył. Na pomnik, — to na pomnik, na ołtarz, — niech na dwa, na inwalidów, — sprawiedliwie wypada, — na szkołę, musi na szkołę, — wali się cały dziennik polski, za długi tradują, zasię im takim, Mateusz nie pozwoli, Mateusz płaci. Kopalnię złota sobie wynalazł. Pan całą gębą, nikomu nie żałuje, na wszystko starczy. Co za lichy, istny Boruta amerykański. Wypatrzyli go nareszcie, żydowskiego parobka! Ta firma krzykliwa, hebrajskim napisem zdobna, to firma Mateusza! — On siedzi, on prezyduje w sławetnych zakładach piekarskich, on płaci rabinacką kontrolę, aby mieć koszer najlepszej mąki, koszer wypieku i koszer czystości. Lśniące, hermetycznie opieczętowane bułki słynnego mateuszowego chlebusia zasypują Stany Zjednoczone i zamieniają się w mannę dobroczynną i dla Polski i dla wychodźstwa. Pan Mateusz nikomu nie skąpi. Ma swoje czere-mere, że nie powinno być tak, jeno tak być powinno. Ale nie odmawia, konsulatowi da, i siakim i owakim da również. Pompuje go jeden i drugi prezes, bujają honorowe godności, pozwala się bujać. Dzieci mają dość, reszty do grobu nie zabierze. Jest profesor, — naści profesor. Zjechał personat, wyrzeka, utyskuje, honory, zaszczyty, ale owóz właśnie z tem najpotrzebniejszym krucho. Mateusz aby czupryny przyglądzi i personata za guzik, — dobrodzieju, generale mój, a ileby tam akuratnie wam wygodziło. — Personat ledwie się nie zachłyśnie z konfuzji. — Ale cóż znowu, jakżeby mógł, jakżeby się ważył. — Sprawiedliwie się należy, abyś dobrodziej miał dość.

I w hardej Rzeczpospolitej nikomu podobnoć do głowy nie przyszło, iż jakiś Mateusz koszerem chlebem wspomagał tyłego pawia.

Mateusz żyje, Mateusz precz daje.

Pan sędzia nawet zewnątrznie ma wszystkie cechy prawdziwego Yankesa, wyciętego żywcem z jakiejś starej, bardzo dydaktycznej powieści. Oblicze pogodne, spojrzenie bystre a dobre, okulary chciwe wycieczek na kraniec nosa, czuprynka srebrzysta, usta szerokie, jakimś pytajnikiem z górnej wargi naznaczone, dwa podbródki tuż nad krawatem, trzeci w kołnierzyku uwięziony. Akcent nieskazitelny amerykański, głos umiejący dobywać najmniejsze dźwięki fagotu, ręce pulchne, najczęściej frasośliwie splecione. Pan sędzia jest lubiany, pan sędzia zażywa dużego miru, od wielu lat urzęduje, urzęduje w mieście, w którem przyszedł na świat, prawie nad Mississipi. Jest wybierany automatycznie, jedną kadencję odprawia po drugiej. Sekundują mu gorliwie rodacy, ale bardziej jeszcze obconarodowcy. Boć to sędzia sprawiedliwy, ostry a na ludzkie bolaki pomny. Jak delikwenta wpakuje za kratki, to delikwent jeszcze dziękuje, jak kumoszkom wyrznie pater noster, to całe miasto się cieszy. A co biedotę chroni, raczej policaja zezwie, komisarza wyrokiem nastraszy aniżeli bezbronnika tknie.

Taki właśnie sędzia. Jowjalista, gadatywus ale i serdecznik. Za stołem osobliwie lubi powiadać, niechże mu się jeszcze starokrajski nawinie gapeusz, temu odrazu wyluszczy do oczu.

— Siewiecem byłem, kamaski syłem, abcasz nobijałem. — Siur, ojce były za nocnego waćmana w garbarni. Tako mnie jeden Mniemiec wzion do kopyta, bo jako był siuster. Do parafjalnej, aby cztery roki chodził i zaraz do roboty, aby choć ze dwa talary na tydzień donieść. Wzieno mi dość czasu.

— Lecz jakże bo, panie sędzio, wszak jest pan zawodowym prawnikiem, gdzież tedy od szewca.

— Ano, i ja sam myślałem, że chiba całkie życie siumakerować będę, może se na stare lata siuhospital założę. A ten dziodź precz mi w głowie siedział. Dopiero zaczena przychodzić do naszej siapy jedna panienka. Cięgiem miała trouble z siusami. To jej pięta lota, to ją ciśnie w palicach, to jej się urwało, to ją sztyft skrobie, to jej się wykrzywiło. Cięgiem trouble. A ja ciągiem rychtuję i odnoszę. I z tego się zrobiło rozmawianie. Ona do mnie, że choć ja jestem stary ale mógłbym się jeszcze uczyć. A ja jej powiadam, że jeżeli mogę się wyuczyć na dziodzia, na prawdziwego sędziego, to orajt. I zaczena mnie uczyć. Kiedy w trzy roki wziąłem egzamin na certyfikat do uniwersytetu, tośmy się zaraz pobrali i mieliśmy dwoje dzieci. I już u tego Mniemca nie robiłem, bo dostałem się do ofisu, do jednego hotelu, na nocną zmianę. I tak zostałem sędzią.

— A pani sędzina?

— Je po prawdzie obconarodowa, ale się przyłożyła, po ludzku mówi i dzieciaki po ludzku wychowuje.

Były to czasy w zagłębiu twardego węgla amerykańskiego, kiedy wychodźcy polscy tworzyli najciężej pracującą warstwę ludności. Gdzie niegdzie zdarzał się był nygus, fryzjerczyk, lżejszego zawodu majsterek ale mało było jeszcze tych arystokratów. W tym to czasie Kuba, chłop naschwał, górnik-rębacz zawołany, za naciulane pieniądze założył był sobie karczmę i na tej karczmie w kilku latach przymnożył sobie grosiwa. Chciwy był to człek. Ze szczebła na szczebel piął się, nie oglądał za siebie. Nakupił jeszcze kilka szynków i sam do wazzenia piwa się zabrał, a gdy rosnącemu we wpływy i majątek zaczęto przymawiać, na obronę własną sobie gazetę ufundował. Dochrapał się w ostatku nawet własnego banku. W do-

brodzieja się przecież nie bawił. Rachubę zawsze miał na wiodoku. Jeżeli składał ofiary to dla reklamy, jeżeli pchał się do czołowych stanowisk w stowarzyszeniach to dlatego, aby obrót pieniężny w banku swoim utrzymać. Prohibicja o mało go z nóg nie zwała. Kuba upierał się przy swoim browarze. Agenci federalni robili mu najazdy, niszczyli urządzenia, sądy uderzyły weń wyrokami. Kuba nie ustępował. Pieniędzy miał tyle, że mógł drwić z więzienia. Browar ciągle się dymił. Ale zaczął się na niego groźny konkurent w osobie szynkarza Stefanka z McKees Rocks. Stefanek był już całą gębą butlerem więc i fabrykantem samogonki i kontrabandzistą i pogromcą małych szynków. Stefanek umiał przecież pociągami sprowadzać piwo do Pittsburga w czasie największego prześladowania alkoholu. Miał na swe usługi stanową i miejską policję, która obstawiała transporty kontrabandy i nie dopuszczała agentów federalnych. Stefanek regulował ceny alkoholu, zmuszał szynkarzy do sprzedawania swego towaru, ale Stefanek był ambitny, naciskał Kubę, wysforował się przedeń na jeszcze większego dygnitarza susajtowego. Kuba już chwiał się, gdy niespodziewanie chwycono Stefanka. Wykreślił się po kilku latach. Chciał odzyskać utracone królestwo. Nie zdążył, zestrzelono go z mostu, jak gada. Kuba triumfował, zniesienie prohibicji miało niebawem potroić i tak już wielką fortunę. Napad bandycki zbryzgał krwią siedzibę bogacza, jego samego do grobu wpędził.

Nazywali go „eskulapem“. Eskulap z zawodu był kowalem. Jako kowal wywędrował za ocean, przez długi czas w Ameryce pędził twardy żywot robotnika fabrycznego. Eskulap miał przecież jedną dość niezwykłą pasję, lubił składać wiersze, a nawet cośniecoś gryzmolić. Raz i drugi, może raczej na dziwowisko, ogłoszono mu jakiś utwór w gazecie. Eskulapa doreszty odurzyło. Pisał teraz naumor, nie zrażał się odprawa-

nych pełen uniesień, ten pierwszy w narodzie, który chłopską świtkę za rycerską sobie poczytał opończę. Tu Kościuszko, a tu chłopcy szczerze, kosy dzwonią po moskiewskich kaszkietach, a czapy gaszą lonty armatnie. Wódz nad wodze, a w dodatku amerykański generał, amerykańskiej walki o niepodległość znaczny personat. I ktoby tam zresztą zbyt dociekał, nie panek żaden, nie hardosz szlachecki, ale swojak. Dość spojrzeć. Oblicze smagłe, włosy w sam raz nie przykrótkie, oko jasne, a nochal perkaty, jako bywa przetrącony i z przetrącenia do góry zezujący. Chłop, chłop, — mędrkują niby uczone facjaty, że Kościuszko na pańskim się podziewał, u książąt był faworytem, wysokich związków szukał — ktoby tam temu wierzył. Niemasz bliższego sercu polskiemu w Ameryce nad Kościuszkę. Jemu cześć największa, jemu największa miłość się należy, ale i od Ziemi Washingtona i wdzięczna pamięć i hołd czołobitny.

Kościuszko stał się hasłem, stał się najszczytniejszym emblematem, pod jego imieniem zawiązywały się stowarzyszenia, na jego cześć odprawiały zebrania, on był najulubieńszą treścią przemówień, on każdego gorętszego apelu pieczęcią.

Mówiono o Kościuszcze, pisano, krzewiono wypomnienia, wreszcie zawołano na stawianie Kościuszcze pomników.

Aż zadrżało, aż się zakotłowało.

Musi najparadniejsze miejsce, musi pomnik naschwał, — niech wiedzą, niech znają, niech się uczą, — wszędzie, w Chicago, w Clevelandzie, w Milwaukee, w Detroicie, gdzie jeno pocziwe serca kołaczą, tam musi być Tadeusz Kościuszko. Ale musi być nadewszystko i tam, w West Point, w onej szkole kadeckiej, co się od Kościuszki zaczęła, — musi być i w stolicy kraju, musi być i w Washingtonie i nie byle gdzie, tylko tuż przed Białym Domem, między Frankliny, Lafayettey, Jeffersony zarówno poczytany.

Owóz z tym właśnie Washingtonem były dłuższe kościuszkowskie turbacje.

Wychodźstwo polskie stawilo z reguly Kościuszkę przed Pułaskim. Owszem, pamiętało o twórcy amerykańskiej kawalerji, aleć miało go zawsze za tego drugiego. Był czegoś daleki, sprzągał z Ameryką jakby inną połąć historii Polski, mniej zrozumiała, bardziej jeszcze zagmatwana a na dobitkę amerykańskie bzdury historyczne przeżywały go ciągle hrabią.

Washington rozumował inaczej. Jeżeli o poświęceniu, rycerskich przyniotach mowa, to najpierw „count“ Pułaski. „Hrabia“ zjechał był wszak jako już doświadczony wódz i generał i w Ameryce był wzorem męstwa, organizatorem, wreszcie złożył swe życie w ofierze. Generał Kościuszko, — był taki. Oficer inżynierji, młody oficer, pracowity, służył szeregiem lat, zaprojektował kilka bardzo pożytecznych fortyfikacyj, które przyczyniły się do zwycięstwa i awansowały go w ostatku na generała. Potem dopiero był wodzem narodowym w swej własnej ojczyźnie, lecz raczej ideowym, wojskowych talentów nie posiadał, owszem, najpiękniejsze dokumenty prawości charakteru tego znakomitego polskiego obywatela, żywa pamięć Stanów Zjednoczonych, ale to nie „count“ Pułaski.

I tak się pierwsze zaczęły z Washingtonem spierki.

Pomnik w stolicy kraju, przed Białym Domem, dla Kościuszki?

Narazie o tem mowy być nie może. Najpierw w Washingtonie musi mieć Pułaski. I ten pomnik mu się należy, i ten pomnik musi być postawiony, bo taką uchwałę powzięły niegdyś stany skonfederowane i ta uchwała jest długiem kongresu i dług ten musi być święcie spłacony.

Wielka to nowina i radosna, że Amerykanie tak solennie chcą uwielbić Pułaskiego, aleć przecież niepodobna, aby Kościuszko w tyle pozostał.

Nadeliberowano, zmówiono się i do Washingtonu nowe przedłożenia.

— Kiedy powiadacie, że Pułaskiemu pomnik w stolicy się

należy od samego kongresu, — tedy pozwólcie, że my, od siebie, ofiarujemy wam pomnik Kościuszki, aby temu drugiemu generałowi polskiemu, co w walce o niepodległość Stanów również brał udział, krzywda się nie uczyniła.

Niepodobna było odmówić, frasowano się więc tylko, aby wartość artystyczna zaofiarowanego pomnika nie uchybiła ambicjom porastającej w pierze metropolji. Płonne były obawy, raczej trzeba było miarkować rozmach i patrzeć skromniejszej dostojności. Pomimo jednak te ustępstwa, Washington starał się usilnie, aby pomnika Kazimierza Pułaskiego, jako hołdu skonfederowanych stanów, nie równoważyć z ofiarowanym stolicy pomnikiem generała Kościuszki.

Na Polaków wszakże nie było sposobu. Chodzili, kręcili, kłaniali się do pasa i w ostatku na swoim postawili. Ceremonje odsłonięcia pomników odbyły się tego samego dnia, odbyły się podczas, zwołanego przez Polaków do Washingtonu, sejmu wychodźstwa, który rąbnął tak bezwzględniemi żądaniami niepodległości Polski, że trzy naraz zgrzytnęły ambasydy. Lecz co może najważniejsze, wycelowano sobie na grunwaldzki rok, załadowano prezydenta Tafta w rocznicę wytuzowania Germanów. Kościuszkę, Pułaskiego do jagiellońskich namotano zmagają. A przedewszystkiem Kościuszkę.

Juści kongres nie pożałował pieniędzy na Pułaskiego. Statua piękna, posąg konny. Widać zaraz wielki pan, dumny wojak no i „hrabia“. Tu, przy tym posągu, najdłuższe ceremonje, urzędowe mowy. Aleć serca ludzkie przy tym drugim pomniku, przy tym nieco na ustroniu umieszczonym. Dość przecież spojrzeć choćby na tego krakusa, co u podnóża kosą się kłania Kościuszcze. Nie masz nadeń większego.

Trwało tak przez lat kilkadziesiąt. Kazimierz Pułaski miał w Stanach Zjednoczonych tylko dwa pomniki, dzwignięte za sprawą Amerykanów. Więc ten w Washingtonie, ufundowany przez kongres, i ten drugi, prastary w Savannah, budowany latami za ciułane przez Amerykanów centy, a wy-

kończony w roku 1854, a więc przed urzędową datą narodzin wychodźstwa polskiego w Ameryce.

Kościuszek natomiast miał cały szereg pomników, miał je w wielkich skupiskach życia polskiego, miał je jako cele odprawianych pielgrzymek, jako ołtarze myśli narodowej. U stóp pomników Kościuszki odbywały się rocznice, u stóp tych pomników odnawiano przysięgi, z pod stóp tych pomników zrywały się protesty, groźby, padały bojowe hasła.

I nawet kiedy ziściły się rojenia, kiedy milkły pomruki wielkiej wojny, a wczorajsze zawołania przechodziły do historii, w Ameryce troska o chwałę Kościuszki nie ucichła. Zapragnął go jeszcze mieć i stary, tak pełen angielskich tradycyj Boston. Jeszcze w Bostonie dźwignięto posąg.

Lata jubileuszowe amerykańskie, lata tak niedawne ocknęły jednak wychodźstwo dla Kazimierza Pułaskiego. Wybaczone mu amerykańskie „hrabiostwo“ i pilnie zważano, aby mu splendoru nie ujęło. Władze federalne sprzyjały bez zastrzeżeń, ozwał się stan Georgia, uważający konfederata barskiego za swego niejako męża. Polakom ciągle było niedość. Własnymi i tylko własnymi wpływami osiągnęli zgodę wszystkich poszczególnych „republik“ sfederowanych na ogłoszenie dnia Pułaskiego za obowiązujące święto narodowe, na zorganizowanie na jego cześć wykładów, a dalej obchodów i uroczystości. Poczta amerykańska wydała markę z wizerunkiem Pułaskiego. Wychodźstwo zaś, w ciągu jednego roku, zbudowało mu siedem pomników. Nie tak wspaniałych, jak Kościuszcze, to się rozumie, — ale siedem naraz!

Wiele stąd było radości i szczerzej polskiej dumy, wieleby stąd mogło być wyniknąć tej najpotrzebniejszej propagandy dla starego kraju, gdyby nie czyjeś niesnaski rodzinne. Polska nie wyzyskała należycie momentu. Dla wychodźstwa zaś wrócił nowy frasunek o Kościuszkę.

Pułaski miał pomnik federalny, miał pomnik stanowy, miał już pomniki od wychodźstwa, miał hołdy amerykańskie,

miał całe święto narodowe, — a Kościuszkę wszystko, co miał, to wziął w Ameryce od rodaków, boć tego nagrobka ubożuchnego w West Point, schowanego, nieznanego, w rachubę brać nie można. A właśnie nadchodził czas na Kościuszkę, jemu się też stu pięćdziesięcioletni jubileusz należał.

I znów rozpoczęły się boje o ukochanego Naczelnika. Chciano, aby kubek w kubek dostał tyle, co Pułaski. A tu przeszkody. Amerykanie ciągle Pułaskiego za większego uważali. Walka o markę pocztową z Kościuszką była uporczywa. Główny „postmaster“ oparł się, nie widział racji, nie widział tytułów do tak znacznego honoru. Wznowiono ataki. Dobyto legendę, jako generał Kościuszkę miał sobie być ofiarowane obywatelstwo Stanów Zjednoczonych. „Postmaster“ nie darował, poruszył archiwa i dowiódł, że Kościuszkę nie był obywatelem amerykańskim. Z tego nowy szkopuł, rumor i wreszcie szturm koncentryczny na całą rzeszę kongresmanów i senatorów. Kto w Boga wierzył, a Kościuszkę dobrze życzył, ten, na dane hasło, pisał do „swego“ kongresmana, do „swego“ senatora. — Pisał krótko, a kwiecieście, — jeżeli ci mój głos i moich kumotrów miły, to patrz naszego Kościuszki.

Zrobiło się wreszcie. Niezupełnie tak, jak dla Pułaskiego, lecz godnie i suto. Amerykanie duże zrobili postępy. Dawniej to ledwie o jednym Pułaskim bywały napomknienia, a teraz już i dłużej i piękniej i dla Naczelnika słowa życziwe.

Wychowano sobie akuratnie Amerykanów.

Ani Kościuszkę, ani Pułaski nie spodziewali się zapewne, że za krew przelaną dla ojczyzny wielbić i czcić ich będą pamiątkowe spiże i granity u granic podzwrotnikowego Atlantyku, nad Potomakiem, nad wielkimi jeziorami amerykańskimi.

Nigdzie bodaj, w żadnej gromadzie polskiej nie było takiej chciwości do rocznic, do wypominków, do solennego z przeszłością obcowania, jako na wychodźstwie amerykańskim. Na pierwszy zew, na pierwsze echo już garnięto się,

już frasowano, aby nie dać się ubiec ani tym z Clevelandu, ani tamtym z Czykagowa, aby nie tylko odprawić uroczystość, lecz aby ją przeżyć, aby ją raz jeszcze przeboleć, aby żalem czyli uciechą serca pokrzepić. Życie szło od jednego etapu do drugiego, a tymi etapami zawsze i jedynie narodowe manifestacje, narodowe święta.

W starym kraju ledwie błysk przelotny, ledwie cikliwe wspomnienie, obojętne dla tłumów egzekwje, — na wychodźtwie dudnią osiedla, wałę chorągwie, sztandary, płyną wstęgi ludu, płyną nieraz, aby się dopiero dowiedzieć, aby dopiero pojąć sławnego imienia zasługi, aby dopiero się nauczyć.

Żarliwość wzmaga się, rośnie razem z wychodźstwem, poważnieje, upomina się, zabiera głos.

Czego zabory się nie wazą, na co nawet tym z pod Austrjaka nie pozwalają przyjacielskie wynurzenia, — na to stać czwartą dzielnicę.

Bez ogródek, bez wykrętnych frazesów obwieszcza manifesty, nie prosi, nie błaga, ale żąda. Tak musi być i tak będzie, bo taka ludu polskiego wola, takie jego prawo.

Całe szczęście, że przez długie lata ocean zapomnienia odgradzał dawne ziemie Rzeczypospolitej od tych neofickich zapalczywości. Ileż bo w przeciwnym razie wynikłoby szkodnictwa politycznego, ileż utrapień dla znakomitych horoskopów, upatrywanych w Widniu, w Peterburku, a nawet w Berłowie.

Wychodźtwa atoli zaczyna się jeszcze inaczej naprzykrzać. Dotychczas jeno swojakom, jeno najbliższym doraźnych nie żałowało zapomóg. Teraz rozszerzyło nagle węzły krewieństwa. Nie jednej zagrody, ale całej ziemi polskiej obchodzą je kłopoty. Zrazu nieśmiałe wybiegają dolarki. Gdzie niegdzie dar amerykański zakrada się na szalę ofiarności. Aż za tymi harcownikami ruszają zorganizowane masy.

Czwarta dzielnica daje, daje chętnie, daje szybko, daje bez wahanja.

Każdy czyn, każdy zamiśl, każdy cel potrzebuje środ-

ków, więc pieniędzy. Bez nich niema pracy narodowej, niema pracy twórczej, niema walki, niema nawet oporu.

Wychodźstwo nie żałowało, nie skąpiło. Ofiary nie miało nigdy za to, co zbywa, co jest dostatkiem, co idzie z zysku, z nadmiaru, lecz za to, co jest dobrowolnem wyrzeczeniem się, co jest uszczerbkiem, co jest odjęciem sobie od ust.

Na miliony dolarów, złożonych ojczyźnie, nie bogactwo się składało, nie przesył, — lecz ciężko zapracowany grosz, a w większym jeszcze stopniu to niepojęte, niezrozumiałe dla starego kraju wytrenowanie w ofiarności.

Na kilkadziesiąt lat przed wojną centy amerykańskie docierały już do skarbonek, do puszek jałmużniczych. Słano Polsce wprost, słano pośrednio, dawano Jej na kościoły, na oświatę, na biedę, na więźniów politycznych, na ratowanie zabytków. Toć pamiętny Skarb Narodowy wzrastał dzięki darom wychodźstwa, — toć Muzeum Rapperswilskie bez tych amerykańskich prostaków nie widziało dla się jaśniejszego jutra.

Dawali, dawali zawzięcie, uporczywie dawali. Zwiedzieli się w ostatku rozmaici. Zewsząd teraz cisnęły się petycje, wezwania, zakłęcia.

Jednym brakło na politykę, drugim na sztukę, ci prosili na demagogję, inni dla dziatwy, tu nie starczyło na dokonanie wiekopomnego dzieła, tam kilku tysięcy na wykończenie kaplicy, owdzie choćby tysiąca na pierwszą cegłę. Instytucje, organizacje, prowodyrzy, mali ambitnicy, wielkie szprynce, — wszystko nagle, jak na umowy, już Ameryki nie pominą. Licho co o niej wiedzą, ale wiedzą o najważniejszym, że łatwiej dolarka z za oceanu wydostać, aniżeli „szóstkę“ w Krakowie od znajomka pożyczyć.

Chłopy w Ameryce wcale tem naprzykrzaniem nie urażone. Medytują, rozpatrują listy, radzą po komitetach. Hm, tu bardziej, tam słabiej, — tu sprawa pilna, tam nie wiadomo, — tu wypada, choć niech sobie i tamtym. — Lizus,

wierciołek, ćmak, bodajże go, — wiersze układa, — wiersze także są potrzebne. Nie dać wszystkiego, ale kapnąć.

Nakoniec zaczęli przybywać wysłańcy, zjeżdżać pielgrzymi do tego nowoczesnego magnactwa. I nie byle jacy, rozumy tęgie, głowy jak banie, sławą, laurem ozłoczone, wyświecone. Ten na jedno, tamten na drugie namawia, każdy innego poleca, inne zamierzenia faworyzuje, — choć i własnego umie się dopytać profitu.

Kiedy następuje wybuch wielkiej wojny, wychodźstwo nie czuje się zaskoczone, ma już swoje daleko sięgające arkana, ma poczucie siły, ma poczucie obowiązku.

Młodzież polska w Ameryce jako i w ojczyźnie rwie się do broni i ona czasu nie trwonila, sposobila się, nie dała innym wyprzedzić.

Ale owoż zamęt, zamęt racyj, zamęt sprzecznych wywodów, dziesiątki piętrzących się przeszkód.

Należy czekać, — lecz nie czekać z założonemi rękoma, nie mitrzyć czasu na gapiostwie, lecz brać się do czynu, a czym tym może być jeno gromadzenie funduszków, może być jeno ofiarność, może być czuwanie nad losami sprawy polskiej, może być współdziałanie porywom młodzieży.

Krótką pamięć ludzka. Gorsza od tej ułomnej pamięci zachłanność, pycha, tłocząca się ze wszech sił ku każdemu błyskowi powodzenia. Wydrzeć bliźniemu zasługę, spowieć się cudzym płaszczem, obcą inicjatywę ogłosić za własną, toć rzeczy powszednie, zwykłe. Kiedy wielki projekt zapada się w grunty, kiedy grzęźnie w trzęsawisku nieziszczalnych pomysłów — wówczas każdy się wypiera stojącego pod pręgierzem winowajcy. Niechże atoli temuż winowajcy uda się dokonać, tłumnie w jego ślady, tłum takich, co tego samego właśnie chcieli, do tego samego dążyli, tak samo pragnęli. I ani strępa wawrzynu dla tego winowajcy, dla rzeczywistego sprawcy.

Tak i stało się z wychodźstwem w Ameryce.

Któż bo dziś w ojczyźnie ma jakoweś wyobrażenie o tem

że pierwszą organizacją polską, która po wybuchu wojny stanęła do pracy, aby nieść pomoc jej ofiarom, był Centralny Komitet Ratunkowy w Chicago, — że ten Komitet Ratunkowy rozpoczął już działalność we wrześniu roku 1914, że sypał groszem wówczas, kiedy się o tem jeszcze nie śniło przyszłym „filantropom“ polskim, mającym się w roku 1915 zjechać w Szwajcarji.

Któż bo dziś w ojczyźnie miałby ochotę dociekać, że to nie wychodźtwo poszło za nawoływaniem szwajcarskich rezydentów, ale że ci mianowicie, ci wielcy „jałmużnicy“, oni od tych chłopów, od tych chamów amerykańskich, od tych prostaków wzięli i plan organizacji, wzięli co więcej za podstawę, za treść główną ich składki, ich dary, ich centy.

Prawda się przecież tak pięknie i sama ugruntowała, skryształizowała, rozsiała na kartach historii!

Cóż bo jakieś tam niezgrabie amerykańskie, cóż bo tacy nieoskrobańce, — wiadomo. Jowisze z pod Alp huknęli dopiero należycie. Oni zaklęli piorunnym wyrazem, oni prometejskiego dali kopniaka tym masom kulfonów. Oni obudzili ciemięgów, oni chwycili za ucha, oni ruszyli z miejsca wychodźtwo.

Prawda, — prawda! — Nie fala żywiołu najeżyła grzywę, nie ona rozhułała morską roztocz, ale ten kadłubek żaglowca, ten furkoczący na szczycie masztu wiechetek.

Wychodźtwo rzucało tysiące, słało krocie, słało je dla nieszczęśników, słało dla odartych, zgłodniałych, ale słało je również i wysadzonym z siodła politykom i rozproszonym działaczom, słało na chleb, na odzież, ale i na hotel dostatni dla wczorajszego pośła, dla wczorajszego społecznika, zbiegłego do Sztokholmu, do Lozanny, do Paryża, do Londynu.

Wojna trwa, ciężarów przybywa, ofiarność emigrancka dostrzymuje placu. Wszędzie dociera, o nikim nie zapomina. Obok samarytańskiej wykazuje olbrzymią pracę propagandową, oka nie zmruży w Washingtonie, tłumy pomruki wrogiej

agitacji, bije w dzwony Polski zjednoczonej i niepodległej. I równocześnie roi, śni, śni o jakichś zastępach, które z Ziemi Washingtona powinny wyruszyć na ostateczną rozstrzygę.

Chorobliwe majaczenia, koncepty nieokrzeszańców.

Wojsko im świta. Tu kłębią się tytaniczne siły, tu jedna bitwa zmiata krocie ludzkich istnień, — a tu oni ze swym sokolim nadstawianiem.

Wybija wreszcie godzina i dla tych snów i dla tych majaczeń.

Wychodźtwo pręży się, rzuca na szalę krew najlepszych swych synów. Ma jej zadość dla amerykańskiego sztandaru, ma jej zadość dla formowanej we Francji Armji Polskiej.

Krwi, krwi jak najwięcej, tej gorącej, tej wartkiej, tej młodej, — ale i niedość krwi jeszcze, jeszcze trzeba pieniędzy, ciągle pieniędzy, większych pieniędzy. Co tu byle czem się wykręcać, milionów dolarów potrzeba, — i my je zbierzemy, bośmy są czwartą dzielnicą.

A godzi się pamiętać, że czasy wielkiej wojny w Stanach Zjednoczonych były czasami wielkiego dobrobytu, że nowoczesna armada amerykańska do Europy była właściwie armadą żywności, armadą amunicji, armadą machin, armadą dolarów.

Człek pospolity mógł był w zaciszu się podziewać. Zarabiał ile chciał. Grozy wojny nie oglądał. Niedostatku nie odczuwał. Jeżeli nawet dla jednej lub drugiej strony zwycięstwa pragnął, jeżeli losami bitew się interesował, to poglądał na nie jako na arenę, jako na odgródzone odeń szranki. Bytowali tam wszak obok siebie w Ameryce i Niemcy i Francuzi i Anglicy, Węgrzy, Italjani, Rosjanie, czyste krwi Austrjacy. Ale ktoby z nich sforować się chciał nieopatrznie, kto wyrzekać spokojnego żywota, komuby zaświtać mogła taka desperacja jak onym, nie umiejącym niekiedy czytać i pisać, głup-takom polskim, co to z trudem uciulane oszczędności odda-

wali Komitetowi Ratunkowemu a ziemską swą powłokę wle-
kli do rekrutacyjnego biura.

Lecz któż, któż nareszcie był przyczyną, był owym prze-
potężnym budzicielem, za czymże wzorem trysnęło naraz tyle
poświęcenia, tyle się narodziło samozaparcia?

A skądże się wzięły te amerykańskie dla Polski senty-
menty?

Czyli dlatego, że owoczesnemu prezydentowi Wilsonowi
spodobał się raptem czyjś nos? — Czyli dlatego, że go tak
mocno obeszło męczeństwo rozszarpanego narodu? — Czyli
może odbudowanie Polski było jakowymś zyskiem dla Sta-
nów Zjednoczonych? — Czemuż właśnie o Polakach pamię-
tał, a tylu uciśnionych ludów zaniechał? — Dał się zjed-
nać? — Komu? — Czyż istotnie nawet taki Wilson mocen
był dokonać czegoś, coby nie wyrażało zbiorowej woli ame-
rykańskiej społeczności? — Czyż tegoż samego Wilsona nie
umiano utracić, sponiewierać, unicestwić, — kiedy się nie
wydał Amerykanom, podpisany przez tegoż Wilsona, Traktat
Wersalski?

Któż, któż więc Amerykę zjednał dla Polski? — Kto był
jedynym i niezawodnym tego zjednania twórcą? — Kto te
węzły polityczne, te węzły przyjaźni namotał i zasupłał?

Ten sam i ciągle ten sam lud wychodźczy. I nikt, pamię-
tajcie, — nikt inny, jeno lud wychodźczy. — Jego wpływy,
jego stosunki, jego relacje, jego dyplomatyczne sieci, jego
praca niezmordowana, jego ciche, godziwe życie, jego pot,
jego krew.

Ponad wyobrażenie strzymał swym tęsknotom. Dał z sie-
bie ponad miarę, bo dał nieprzymuszony, bo sam na się nakła-
dał rekwizycje, bo nie patrzył triumfu jednej dzielnicy, ale
całej Polski.

Nowoczesny kazuista sumienia narodowego, wyrosły u pod-
nóża „Niebieskich Grzbietów“, wyjaśnił, że cały ten neoro-
mantyzm patryjotyczny wychodźstwa narodził się z amerykani-

zacji. Gdyż w miarę amerykanizacji, w miarę dźwigania się na wyższy szczebel, emigrant zaczynał rozumieć własną kulturę, cenić i wielbić zdobycze narodu polskiego, zaczynał się dopiero polonizować.

Mniej wnikliwy ale dosadniejszy obywatel amerykański, co był pod hasłem Kościuszki zdobył sobie nielada posterunek, jeszcze lapidarniej sformułował dzieje stosunku wychodźstwa do macierzy.

— Kiedy byłem gęsiarkiem w starym kraju, moja chrzestna przyniosła mi raz z odpustu guzik czerwony do koszuli. Na guziku tym była jurna głowa młodego parobczaka w zgrabnej czapce z piórkiem. Udał mi się ten guzik ogromnie. Przywiozłem go ze sobą na emigrację i tutaj dopiero dowiedziałem się, że na tym moim guziku był nasz sławny Kościuszko, o istnieniu którego również nie miałem pojęcia...

MYDLANA BANIECZKA I ZŁOTA BECZKA

Dziwny, bardzo dziwny był niegdy stosunek ziemi ojczystej do tych rzesz emigranckich, wyciągających za chlebem na drugą półkulę. Przez długie lata obojętny dla milionów, a przeczulony dla tysięcy.

Wychodźstwo do Stanów Zjednoczonych było pozostawione samemu sobie. Oddano je na łaskę i niełaskę przygodnych, zabłąkanych czy zbłąkanych przodowników. Żadnego bystrzejszego działania, żadnego wysiłku, chyba te jedne raporty misyjne, tułające się po niedostępnym zresztą dla polskich działaczy biurach kongregacyj.

Polskę zajmowała tylko Brazylja, więc emigracja do Brazylii, więc niezwykłość, romantyczność tych wypraw, owe zmagania się ludu polskiego z egzotykiem. Tam, tam trzeba śpieszyć, trzeba ratować, trzeba oświecać, trzeba zwierzać rozproszonych, trzeba słać co najbystrzejszych, niech sprawdzają, niech badają, niech zdobywają prawa ochronne, niech roztoczą należyłą opiekę.

Nawałnica siecze grudkami lodu, bezkresne łąny zamienia w skotłowane ścierniska, — lecz cóż tam łąny, byle jeno ten skrawek żytko ocalał, byle jeno to jedno półko brazylijskie nie zmarniało.

Troskano się tą Brazylią, odwozono od emigracji i zbrojono emigrację. Pomstowano na nią i organizowano ją równocześnie.

Do Brazylii ruszyły całe ekspedycje, więc i społeczne i ogólnie badawcze i naukowe i pionierskie.

Już nie byle jacy sobie podróżnicy, ale ludzie czołowi odprawiali istne wyścigi do Rio de Janeiro, a dalej do Santa Catharina, do Rio Grande, do Parany, aby lud polski nie zmarł, aby nie padł ofiarą wyzysku, aby miał odrazu jak przy stało i opiekę duchowną i szkoły i nawet to wszystko, o czem we własnym kraju i dzisiaj niekiedy nie ma pojęcia.

Jechał tedy wybitny ziemianin imię pan Mikołaj Glinka. Jechał wszędobylski onych czasów działacz w osobie ks. Zygmunta Chełmickiego, ba, jechał przecież Adolf Dygasiński, znakomity pisarz i pedagog, profesor Józef Siemiradzki, geolog i podróżnik, Leon Bielecki, Stanisław Kłobukowski, wy ciągnęli Kazimierz a następnie Józef Warchałowscy, szukali impresyj powieściopisarz Artur Gruszecki, ekonomiczno-społecznych rozstrzygnięć Roman Dmowski. O Brazylii zaczęto pisać ile tchu. Gdy jednym brakło rozpędu, zastępowali ich drudzy. Machina brazylijska działała bezustanku. Dygasińskiego wyręczał Gruszecki, Kłobukowskiego Bielecki, Bieleckiego Szukiewicz, Siemiradzkiego Chrostowski, Chrostowskiego Czaki. A następnie każdy co sprawniejszy obieżyświat musiał mieć jakiś skrawek Brazylii w zanadrzu, każdy bystrzejszy publicysta musiał z problematami brazylijskimi wejść w komitywę. Ukazało się więc dużo relacyj, dużo sumiennych sprawozdań, ale równie wiele bałamuctw i cuda-ków. Szczególniej ci pierwsi posłowie się nie spisali. Glinka Brazylię przechorował w Rio de Janeiro, — ks. Chełmicki ogłosił w swem „dziele“ opisy i takich miejsc, których nie oglądał. Dygasińskiemu zabrakło tuż przy wylądowaniu nikczemnej mamony, tedy również nie zbogacił naszej wiedzy podróżniczej. Ale brazylijskiemu prądowi nie oparła się nawet Marja Konopnicka, zdobywając się na natchniony, ale nie przeżyty poemat.

Te zainteresowania brazylijskie trwały zgórą lat czterdzieści. Kryły one ponoć ideę zbudowania „Nowej Polski“, zaprzątały uwagę organizacyj i stowarzyszeń, zjednały były sobie

zględy galicyjskich władz autonomicznych. Parana wówczas była pustkowiem, na obszarze dwukrotnie większym od dawnej Kongresówki, liczyła niespełna trzysta tysięcy mieszkańców, — jednym miljonikiem dałoby się zmajoryzować Parane raz na zawsze.

Można śmiało powiedzieć, że emigracja polska do Brazylii była ruchem, ujętym w niepowседневne ramy. Miała oparcie i społeczne i naukowe i polityczne i ekonomiczne i finansowe. Miała wszak takiego Kazimierza Warchałowskiego, który awizował do Parany, obok swych rolniczych doświadczeń, znaczną na podobną imprezę fortunę. Miała stąd widoki, że przykład Warchałowskiego pociągnie za sobą ziemiaństwo Ukrainy i Podola, — że ci nasi „koloniści“, bodaj ci z nad Dniepru ruszą za namowami Warchałowskiego i choćby koszt jednego śniadanka czasu „kontraktów kijowskich“, poświęcą na zakup ziemi w Paranie... Miała, miała ta emigracja do Brazylii wiele danych, miała daleko sięgające zamysły Józefa Okołowicza, twórcy rozmaitych koncepcyj handlowo-kolonjalnych, miała na swem czele naukowców, inżynierów, badaczy, podróżników, księży, lekarzy, organizatorów, publicystów, etab czujny, zabiegliwy, doświadczony. Władze brazylijskie trzymały ją romantycznymi wynurzeniami, pamiętała nawet niej sympatyzująca ze „swoimi“ Polakami Austrija i zbroidła we brazylijskie konsulatory w polskich urzędników. Słowem wszystko zwoliło rozkwitowi.

I ten rozkwit utknął na ostatecznej liczbie dwustu tysięcy emigrantów. Jedna więcej piękna banieczka mydlana przysła. Ziemiaństwo podolsko-ukraińskie wypomina smętnie, że za apiwki, rzucane kijowskim grajkom cygańskim, mogło być kiedy wykupić Parane, bodaj przed sakwami żebraczemi się chronić. W Brazylii bytuje słaby liczebnie ułomek ludu polskiego, wąty, skazany na uschnięcie zagajnik.

Działo się to wszystko w okresie największej gorączki emigracyjnej do Stanów Zjednoczonych. Owóż gdy tam, w Brazy-

lji, tyle czyniono wysiłków, — w Stanach Zjednoczonych nie robiono żadnych. Wychodźtwo musiało samo sobie radzić. Nasi możni nie żywili kultu dla angielszczyzny, — „Portugali“ zawsze im bywali bliżsi, — a głodomory nie posiadali funduszków. Do Nowego Yorku ciężko się dostać, — a Nowy York to jedynie brzeżek, gdzież patrzeć desperatów polskich w Texasie. — Podobno i dzisiaj jeszcze nawet do West-Virginji przeciętnemu starokrajskiemu podróżnikowi za daleko na gotówkę.

Lecz i do Stanów Zjednoczonych, do tej prawdziwej Ameryki, docierali niepowszedni ludzie. Poczci ich był może liczniejszy, wspanialszy, ale przez długie lata nie mający nic lub bardzo mało wspólnego ze szlakami polskiej wędrówki za chlebem.

Zdarzali się szlachetni włóczędzy w rodzaju Juljana Horaina, którzy w rezultacie raczej literaturze, aniżeli emigracyjnej niedoli się przysłużyli, zdarzali się uczeni, jak naprzykład Bolesław Horodyński, który przez lat kilkanaście przebywał wśród Indian, pogrążony w czerwonoskórych badaniach. Bywali chciwi wrażeń luminarze, globtroterzy, nawet spragnieni brzęczących laurów artyści, — ale drogi ich bardzo rzadko krzyżowały się z drogami wychodźczego ludu.

Gdy, w roku 1877, Helena Modrzejewska święciła pierwsze amerykańskie powodzenie w San Francisco w roli Adrijanny Lecouvreur, niewiele więcej podobno miała wyobrażenia o texaskiem, o wisconsinśkiem borykaniu się ludu polskiego, jako ten lud o kochance słynnego Maréchal de Saxe. Wielka artystka i mrowie wychodźcze pozostali bodaj dla się obcy. Do rydwanu jej docierały niekiedy widma rozbitków i, opatrzone, nikły w oparach gorączkowego życia. Sława Modrzejewskiej, sława „hrabiny“¹ Chłapowskiej (Chłapowscy nigdy na szczęście, czy na nieszczęście hrabiami nie byli) miała dla

¹ Według jednego z wielu nowszych encyklopedycznych błędów.

wychodźstwa znaczenie pośmiertne. Dźwigniętym, dobytym mroku tłumom przyczyniła dopiero blasku. Zajaśniała pełni imieniem genialnego budowniczego mostów, Ralfa Modrzejewskiego.

Henryk Sienkiewicz również się z wychodźstwem nie zadował. Do Ameryki zwabiła go ciekawość, a jak uporczywie wierzą mniej dyskretni, zwabiła go niezrównana odtwórczyni Adrjanny Lecouvreur. Był zresztą w Ameryce gościem Modrzejewskiej. W jej siedzibie kalifornijskiej znalazł był punkt oparcia. Podróży po Ameryce, w dokładnem znaczeniu tego wyrazu, nie odbywał, miał wiele nie zwiedził, gdzieś tam gdzie krótkie odbywał postoje. Musiał jednak mieć Sienkiewicz przypadkowe spotkania z emigrantami. Miał je, boć u nich niezawodnie wysnuł tę garść amerykańskich klejnotów. Własne „Listy“, uczynił błahą oprawą, łzami dzierganych, szkiców. Lecz co więcej znalazł był w Kalifornji, między snującymi się w pobliżu wielkiej artystki starokrajskimi włóczyngami, znalazł był żywego, wcielonego swego przyszłego pana Zagłobę, to najwspanialsze trofeum jego wypraw z literacką muzyką.

Jan i Edward Reszke bodaj czy nie byli pierwszymi wśród wielkich, którzy stanęli oko w oko z zorganizowaną gromadą emigrancką. Wspomnienia przetrwały obustronne.

Jan Reszke lubił opowiadać, jako w międzyakcie „Rigoletta“ przyniesiono mu do garderoby olbrzymi wieniec z obłędem, że ofiarodawcy są za kulisami i nie chcą się zgodzić, aby, stosownie do obyczaju, wieniec podano artyście przez orkiestrę na widownię. Jan skinął na sekretarza, żeby ofiarodawcom podziękował, lecz tuż nawinął się Edward.

— Janek, widziałeś, szarfy narodowe, polskie napisy!...

— Gdzie, skąd!?

— W przejściu, za kulisami stoi cała delegacja, ze trzydziestu chłopów, dwóch księży w tużurkach na przedzie. Emigranci. Witają, zapraszają, niema sposobu się opędzić. Każda

minuta wyliczona, ani jednego wolnego wieczoru, ani godziny w ciągu dnia. Wszystkie snoby miljonerskie tańczą dokoła naszego impresarja. A tu gęby pocziwe takie, oczyma łypią a drżą ze wzruszenia. Co tu robić!

Edward zawsze miewał dobre pomysły.

— Jutro święto Matki Boskiej, — jest polski kościół.

— Wyśpiewaliśmy im całą sumę. A było ich tam coniemiarą.

Musiało ich być wielu bardzo, jeżeli tradycja imienia Reszków zdobi tyle rozlicznych stowarzyszeń polskich w różnych zakątkach Stanów Zjednoczonych.

Pierwsze i bezpośrednie węzły z wychodźstwem nawiązał był podobno profesor Emil Dunikowski, który, w roku 1892, starał się docierać do tak zwanych w owym czasie „kolonij polskich“. Węzły te wzmocniło niebawem przybycie do Ameryki kilku młodych publicystów, jak na przykład Stefana Barszczewskiego, Stanisława Osady. Ale nawet zbliżenie się do wychodźstwa Zygmunta Miłkowskiego, jego przyjazd do Stanów Zjednoczonych (1900), zbliżenie się Jakóba Bojki nie obudziło większej uwagi kraju ojczystego. Wychodźstwo było ciągle jakby opuszczone, lekceważone.

Przejazdów, czasowych pobytów nie brakło, miewały one niejednokrotnie znaczenie dla imienia polskiego, lecz nie dla emigracji. Ta pozostawała na uboczu. Do wyjątków w tej mierze możnaby zaliczyć braci Adamowskich i małżonkę jednego z nich, panią Adamowską-Szumowską, świetnych artystów-muzyków, którzy przez wiele lat byli filarami i kierownikami konserwatorium muzycznego w Bostonie, rozsławili kompozytorów polskich, utorowali wielu wirtuozom drogi a, jako żarliwi i ofiarni patrjoci, baczili na mieszkających w pobliżu nich skromniejszego autoramentu rodaków.

Lecz to były wyjątki. Inni wywierali nawet wpływ, lecz wpływ ograniczony, a może tylko obejmujący niedościgłe dla owoczesnej emigracji tereny.

Taki, na przykład, Jan Chełmiński, artysta malarz, który był zjechał do Nowego Yorku po raz pierwszy w roku 1884, stał się niewątpliwie dobrym duchem naszych plastyków. Ożeniony z siostrą króla amerykańskich kunsthaendlerów otwarł był niegdy zawarte dla polskiej sztuki wrota dolarowego sezamu. Jego dobre, pełne zalet polowania „*par force*“, jego epizody napoleońskie obudziły amerykańską ciekawość. Chełmiński ułatwił wstęp swemu znakomitemu nauczycielowi, Brandtowi, Chełmiński zwrócił był uwagę potentatów handlarzskich na plejadę polskich artystów, na arcydzieła Chełmońskiego, Wierusza-Kowalskiego. Przez niego wówczas i przez pamięć dlań podotąd cała gromadka naszych malarzy zadawała się i zadaje się jeszcze z tym samym ciągle potężnym domem Knoedlerów, trzymającym w ryzie kupieckiej wszystkich zamierzchłych, wszystkich żywych czy krystalizujących się dopiero mistrzów.

Rok 1906, wśród wzmożonej fali emigracyjnej, przyniósł był naszemu wychodźtwnu pewną liczbę wybitniejszych jednostek. Byli to uczestnicy krwawych starć z rosyjskiem samowładztwem, zaprawieni w organizowaniu żywiołów robotniczych i budzeniu mas proletarjackich. Dali oni wychodźtwnu energicznych działaczy, aczkolwiek dla natury terenu amerykańskiego, zgóry skazanych na rolę podrzędniejszą. Wychodźtwo bowiem w owym czasie miało już swój własny kościec i tak mocny, że niewiele nowego można mu było przydać. Wynikła przeto raczej wśród przybyszów dążność do zagarnięcia władzy, do opanowania istniejących placówek aniżeli nadzieja zbudowania nowych, równie potężnych.

Na ten sam, mniej więcej, okres czasu przypada zbliżenie się Ignacego Paderewskiego do wychodźstwa.

Zbliżenie to nie było ani tak szybkie, ani tak łatwe jakby się to komu wydawało.

Amerykę Ignacy Paderewski zdobył wielkim talentem, zdobył mocą czarodziejskiego tonu, mistrzowską grą na odczu-

ciach ludzkiej duszy, — wychodźtwo przecież zdobył tylko i jedynie cnotami Polaka, cnotami obywatela.

Lud emigracyjny nie utracił był swych właściwości rasowych. Jego kult dla muzyki był równie słaby, jak słabym i nikłym jest kult dla muzyki w kraju ojczystym. I na wychodźstwie muzykalność miewała oazy na bezbrzeżnej pustyni, boć i w naszym kraju nizinnym są i wzgórza, są nawet iskrzące się w słońcu szczyty. Jako mówi się o Polakach, że jednak są mieszkańcami równin, tak szczerłość nakazuje powiedzieć, że mieszkańcy tych równin nie należą do ludów muzykalnych, że trwają, w najlepszym razie, w umiłowaniu rytmu, w ukochaniu prymitywnej melodji. Harde wyjątki są i tutaj sprawdzianem. Muzyka, ta najbardziej bezpośrednia ze wszystkich sztuk, ukazuje się w Polsce raczej na wyższym szczeblu cywilizacyjnym. Masom wystarczają zawsze jej podnóża. Honor naszej muzykalności podtrzymują Żydzi.

W Ameryce i przed Paderewskim bywali polscy muzycy. Pisano o nich, niekiedy bardzo pochlebnie, przekręcano nazwiska, bektano ich narodowość. Zresztą, co tu kołować, dla pogłowia wychodźczego jako i dla tłumu w ojczyźnie, — ten, co na dwudziestu instrumentach umiał się grą popisać, większym był sztukmistrzem, aniżeli ten, co tylko po fortepianie bęcał.

Sława Paderewskiego w Ameryce rosła. Artykuły, ogłoszenia, reklamy zaczęły trafiać i do Ghetta i na farmy i do tych amerykańskich Warszaw, Poznani, Lublinów i Kościuszków. Ale co najważniejsze, docierały jako fanfary, jako wiwaty, jako hołdy nie dla artysty, ale dla polskiego artysty, dla polskiego wirtuoza, dla polskiej sztuki, dla znakomitego Polaka.

Nigdy żadnego niedomówienia, nigdy zaniedbania, nigdy mimowolnych, przypadkowych opuszczeń, wskutek których polska śpiewaczka była brana za Niemkę, pianista za Rosjanina, skrzypek za Austriaka, prymadonna za całą Węgierkę.

Paderewski, — więc Polak, tylko Polak, — nawet wówczas,

gdy można było opuścić ten szczegół, żeby nikt nie ważył się ani śmiać dociekać, ani śmiać wątpić.

A jeśli gdziekolwiek błąd, pomyłka, imienia choćby zanglizowanie, zwykłe czasów niewoli lekceważenie rabów państwowych; — wówczas błyskawiczne protesty, tak jędrne, tak męskie, że czujniejszym na wychodźtwie serca, ducha przybywało.

Juści, ten ci jakiś Paderewski!

Tylego bodaj raz zobaczyć, bodaj z raz jeden nań spojrzeć, bodaj się doń docisnąć. Gra bo gra, aleć i gra po polsku, że jeszcze takiego nie było.

I lud jął się do Paderewskiego przybliżać.

Komitywa się wytwarzała, spracowane łapska zaciskały się na smukłych, elastycznych kiściach rąk wirtuoza.

Powiadają, że czasami w trudnych dla artysty warunkach...

Bo gdy pewnego razu, w Chicago, po koncercie, wysypała się gromada rodaków na estradę, aby mistrzowi się pokłonić, a ten, według „Białodomskiego“ obyczaju, jął zamieniać ryczałtowe „shake-handy“, naraz barczysty krajan tak gorąco uściskał dłoń Paderewskiego, że ten jęknął z bólu i uciekł z estrady, w słusznem zatrwożeniu o najbliższy koncert.

Każdy przyjazd Paderewskiego do Ameryki wzmacniał jego relacje z wychodźstwem. To ostatnie garnęło się doń, radowało jego sławie, radowało jego popularności, było dumne z miru, którego zażywał. Paderewski, ze swej strony, po obywatelsku interesował się organizacjami polskimi, interesował ich pracą, ich troskami, śpieszył chętnie na zebrania i uroczystości.

Oddziaływanie było silne, było wzajemne.

Wychodźstwo czerpało z blasków promieniującej postaci, — wielki artysta poił się ciężką ludu, — zniżał się a wywyższał i siebie i te tłumy emigranckie.

Paderewski miał wszystko po temu, aby wychodźstwo zdobyć.

Był materialnie niezależnym, był ofiarnym, hojnym, społecznie był zawsze twórczym, — patryotą był żarliwym, do wiary „polskiej“ przywiązanym, był nadto mówcą, był krasomówcą, rzeźbiarzem słowa i kunsztownym jego szafarzem. Dziesiątek innych posiadał zalet czy danych, aleć z nich tę najwyższą, że nie stygł na swym piedestale.

I lud wychodźczy, jak się to powiadało w XVIII wieku, — biegał za tym wybrańcem, tłoczył się doń, a oglądaniem jego krzepił.

Olbrzymia hala, zalana potokami światła, bankiet nad bankietami.

Wiarus milwaucki klaruje siedzącemu obok niego starokrajskiemu przybyszowi, co się to działo, kiedy był tu Paderewski zjechał.

— Całe miasto skotłowane, zawałone maszynami, nigdzie się dopchać, ludziska z najdalszych okolic, a na tydzień naprzód już ani jednego „tykietu“ na koncert, chyba gdzie u przekupnia. Kto nie zdążył, to bodaj pod hotelem, byle zobaczyć, kiedy będzie wyjeżdżał lub kiedy będzie wracał. I bez różnicy, „ajrysze“, Szwedy, Niemcy, Italjany, Hungary, wszyscy jeno o naszym Paderewskim.

— Był pan na koncercie?

— A jakżeby inaczej. — Ani razu nie przepuściłem. — Kiedy tylko pierwsza wiadomość nadejdzie, to cała nasza susajta się zbiera i patrzy ile miejsca chwycić. — Ja sam biorę jedenaście „tykietów“, — cała moja familja musi być, i niewiasta i synowie i córki zamężne, troje wnuków, niech i dzieciaki sobie zapamiętają naszego Paderewskiego, niech się go napatrzą. — Gdzieby takiego koncertu chybić.

— Jest pan takim wielbicielem muzyki?

— Muzyki? — Eee, proszę pana, uczciwie powiedziawszy, na tylej muzyce wiele się nie rozumiem. — Piękna to ona

jest, — po gazetach piszą, że niema lepszej na całym świecie. — Uczony nie jestem. — Paderewski rozmaicie, — huknie po klawiszach, całym fortepianem zaburczy i odrazu cieniutko, tyło-tyło że mu puka, albo świegoli sobie w jednym miejscu, a palice mu tak migają, że ani chwycić. — Czasami to wykręci sobie raptem jakby naszego od komina, człowiekowi już na tupanie się zbiera, ale gdzie, brzdęknie z całej siły i już w innym miejscu wystukuje. — Ale ja na to nie zważam, ja aby się patrzeć na tych obconarodowców, jak toto wszystko naszemu Paderewskiemu się cieszy, jak to mu trzaśka w garście, jak to mu wyją, jak to mu gwiżdżą z uciechy, jak to go szanują. — Trzeba to, proszę pana, widzieć, trzeba to własnymi oczyma oglądać. — Człękby na takim koncercie całymi dniami siedział i płakał, a Bogu dziękował, że nam się taki Paderewski narodził.

Wielka wojna skuła ostatecznie imię Paderewskiego z wychodźstwem.

Paderewski zjechał był, jak to było zaznaczone, w roku 1915-tym, zjechał był szukać pomocy dla ofiar wojny w Polsce. Wychodźstwo zwarło się dokoła luminarza, działacze ustąpili mu przewodnictwa. A byłóż na czem budować, byłóż na czem się oprzeć. Drogi wymoszczone, utorowane, chody wpływów nieladajakie, wola zwarta, pieniądze obfite i nieomieszkanne.

Krom jałmużnictwa, krom samarytańskich uniesień, — była i ta najdroższa sprawa. Lecz i dla niej nad podziw zrozumienia w Ameryce, nieskończenie więcej może, aniżeli w sąsiadującej tuż za Dniestrem Rumunji. Gdyż w Ameryce prawość, rzetelność wychodźczych rzesz, widome zręby na tęgą odbudowę rozszarpanej ziemi, — więc prastare walory żywą spływające krwią, więc długi niespłacone, jakby zmartwychwstałe, boć za wypomnieniami o Pułaskim, o Kościuszcze miljony chłopu zmęźniałego w pracy dla gwiazdzistego sztandaru.

Z tych lat wojennych już węzły nierozzerwalne.

Imię Paderewskiego na wieki wyryte na kartach dziejów wychodźstwa w Stanach Zjednoczonych.

W kronikach emigracyjnych wiele innych nazwisk ma słuszne prawo legitymować się pobytem na emigracji, pracą na Ziemi Washingtona, nawet zasługami naukowemi.

W Stanach Zjednoczonych wykładał profesor Wincenty Lutosławski, szperał po archiwach W. M. Kozłowski, pionierem katedry turbin był Zbierzchowski, pionierem katedry awiacji amerykańskiej był i jest profesor Pawłowski, Zygmunt Stojowski był i jest luminarzem konserwatorjum w Nowym Yorku, zjawiali się i społecznicy i przyrodnicy i zawodowcy, jeździli gęsto nasi plastycy, laurów i brzęczącego ich wyrazu szukali chętnie nasi artyści operowi, skrzypkowie, nawet baletmistrze.

Niepodobna wyliczyć wszystkich.

Jeździli wszakże do Ameryki, a nie do wychodźstwa, zbliżali się doń czasami, własnych raczej patrząc intencyj. Były wyjątki, wyjątki są zawsze. Tu Jan Styka chętnie z Polonją czykagoską się zadawał, owdzie Barącz swoje marmury jej powierzał, owdzie jeszcze Zbierzchowski do szeregów wychodźstwa się zaciągał i dla nich się mozolił.

W momentach przełomowych, krytycznych działali starokrajscy politycy. Szukali punktu oparcia, przystani, nowego pola, nowych wyznawców, szukali aż nadto często pomocy materjalnej.

I tu lista długa, trudna do ujęcia. Od pamiętnego roku 1905 po koniec 1918 bywali w Stanach Zjednoczonych wszyscy, — od jednego krańca do drugiego, — od prawicy do lewicy. Bywali pomiędzy nimi i wzywani przez wychodźstwo, zapraszani, bywali i nieproszeni. Jedni z nich przywozili hasła, drudzy kontrhasła, bywali architekci subtelni, statyści, reprezentanci usankcjonowanych prądów i pospolici warcholi.

Były to istne wyprawy o podbój wychodźstwa, o zdobycie

jego niewyczerpanej ofiarności, w myśli przeżyć wewnętrznych ojczyzny, nigdy przecież w myśli jego włanych; co więcej w dziele sekundowania tym starokrajским wysiłkom wolno mu było dawać, słuchać i milczeć.

Polak amerykański nie urażał się, głowę kłonił, rad był każdemu sprzyjał, bo i w Ameryce do Polski wyzwolonej dążył.

Nie żalił się przeto na obojętność, nie skarżył, gdy z jego zasług wykuwano sobie złote naramienniki, — jeno kiedy mu nadto zamieszania przyczyniano, kiedy mozolnie wzniesione arkady i stropy związków i stowarzyszeń groziły zawaleniem, kiedy walka partyjnicka dobijała mu się do fundamentów, — pomstował w głos, latał, szamotał się, podpierał kruszejące mury.

Zmora, o której był ledwie z mglistych wspomnień wiedział, skradała mu się do gardła i obejmowała go już ssawkami potępieńczych swarów.

A na imię jej było polityka.

POLITYKA TO NIE KLAJSTER

Dwie polityki, po dni ostatnie, wyciskały swe piętno na życiu wychodźstwa.

Dwie polityki, ale nie dwa różne prądy, lecz dwie naraz walki toczono na odmiennych frontach.

Front pierwszy, ten bezpośredni, ten, który rozstrzygał o zdobyciu należytego stanowiska wśród wielkiej rodziny narodów, tworzących ludność Stanów Zjednoczonych, był przez długie lata zaniedbany. Brakło sił ku jego obstawieniu, brakło zrozumienia własnego dobra, tymczasowość była głębokiem przekonaniem emigranta.

Do Ameryki zjechali, — ale nikt przecież nie zjeżdżał na całe życie, nikt nie chciał być palić mostów za sobą, nikt zrazu nie chciał na obcej ziemi umierać.

Brak praw, brak przywilejów, ograniczenia stosowane względem cudzoziemców zniewalały do szukania ucieczki pod skrzydłami amerykańskiego obywatelstwa. A dalej budziły chęć wzięcia czynnego udziału w podstawowych komórkach rządów autonomicznych. Niefortunne to były początki. Pierwsi ci obywatele „polskiego pochodzenia“ tworzyli korną miazgę w rękach miejscowych polityków. Traktowano ich jako potulne, bezmózgie głosy, którymi można było dowolnie się posługiwać. Kaptowano je byle czem, zdobywano niczem prawie. Kiedy się wreszcie budziła świadomość na zagadnienia ustawicznych tarć między republikanami i demokratami, jako temi dwiema partjami amerykańskimi, wydzierającemi sobie nawzajem władzę, — to jeszcze daleko było emigran-

tom polskim do sztuki korzystania z ciężaru swych własnych głosów.

Do wczoraj nieledwie Polacy w Ameryce bywali przez tych właśnie republikanów i demokratów wygrywani, jako nie znające się na swej wartości atutowe młódki.

Przed wyborami oba stronnictwa czyniły im obietnice, oba stronnictwa wyprawiały emisariuszy na Ghetta, oba stronnictwa zwoływały wiece i klęły się wychodźcom na swe sentymenty dla ziomeków „Kasiański“,¹ — a co najważniejsze, oba stronnictwa na swych listach wyborczych umieszczały, w odpowiednich miejscach, nazwiska polskich kandydatów. W rezultacie jednak żaden z polskich kandydatów upragnionej liczby głosów nie otrzymywał, natomiast brali je garściami ci „prawdziwi“ Amerykanie. Działo się to wskutek tego, że w Ameryce głosuje się na poszczególne nazwiska, chociaż wolno całą listę republikańską czy też demokratyczną uznać za swoją i wolno z dwu naraz list wybierać sobie kandydatów. Stąd łatwo się domyslić, iż żaden osiedziały Amerykanin nie stawiał krzyżyka przy polskim nazwisku. Wolał, z dwojga złego, za przeciwnikiem się opowiedzieć, aniżeli Polakowi dopomóc.

Tego kręactwa było bezliku. Nie brak go i dzisiaj, i dzisiaj jeszcze znajdują się osiedla, gdzie, po utraceniu polskich kandydatów, łagodzi się kwasy i wyrzekania mianowaniem jakiegoś Mateusza czy Bartłomieja policjantem, mianowaniem polskiego naiwniaka listonoszem.

Nawet w miejscowościach o bardzo poważnym procencie żywołu polskiego udawało się obconarodowym spryciarzom rozbijać głosy polskie, unieszkodliwiać je, ubezwładniać. Przebiegłości, chytrości, w znacznej a bodaj i przeważającej mierze, sprzyjały ciągle jeszcze niezdecydowane zamiary samego wychodźstwa.

¹ Tak brzmi dla Amerykanów — nazwisko „Kościuszko“.

Myśl jego ciągle zwracała się do kraju, odrywała od problemów dnia codziennego. Juści, dobrze byłoby, żeby i w radzie miejskiej i w legislaturze stanowej i w kongresie i na trybunie sędziowskiej swojacy zasiadali. Trzebaby się za ręce wziąć, trzeba się przemóc, — i możnaby się zgodzić na polskich republikanów czy na demokratów, ale jakże bo z nimi dojść do ładu, kiedy innych się sposobów napierają, inaczej chcą ratować, inaczej dźwigać tę prawdziwą ojczyznę.

Brakło przeto i zrozumienia, brakło odwagi spojrzenia w oczy rzeczywistości emigranckiej, brakło woli.

Zdobycze polityczne wychodźstwa były ubożuchne. Jeden jedyny senator w Washingtonie po dzień dzisiejszy. Jeden jedyny Michał Kruszka. Kongresmanów wszystkich razem niecały tuzin, a zaledwie w ostatniem dziesięcioleciu tęższe skoordynowanie zabiegów, ataki szczęśliwsze do czołowych pozycji, gęściej Polaków w radach miejskich, w stanowych parlamentach, w trybunałach, zamiast listonoszów pocztmistrze, zamiast policjantów naczelnicy bezpieczeństwa, zamiast popychłów wpływowi mandatarjusze.

Daleko jeszcze wychodźtwno do przybliżonej procentowości w zarządach stanowych i miejskich. Ale niemałe polepszenie. Wczoraj wybijały się niezwykle jednostki, wyjątkowo zdolne, czy wyjątkowo szczęśliwe. Wczoraj jeszcze jakiś gracz nad gracze umiał sobie wycygnąć republikańską czy demokratyczną sperkę. Dziś młode siły przechylają szalę. Obywatele amerykańscy polskiego pochodzenia idą do urn, idą chmarą na listy wyborcze.

Lecz z tej zmiany ku lepszemu, o ile to za lepsze należy uważać, żadnego wytłumaczenia dla opieszałości.

Skądże tyle zaniedbania wśród rzesz chlubiących się i słuszenie swą ciężką organizacyjną, czemuż tyle lat zmarnowanych, roztrwonionych, czemuż tak mało było czujności dla obywatelskiej samoobrony?

Odpowiedzi wyczerpującej udziela ta druga polityka wy-

chodźtwa, ta którą była istotnie treścią i podstawą jego rozwoju.

I tej drugiej polityki emigrant polski do Ameryki nie przywiózł. Narodziła się ona dopiero w następstwie jego tęsknic, w następstwie budzenia się jego świadomości narodowej.

O partjach jednak, o stronnictwach, o programach politycznych wychodźca pojęcia nie miał. Rozpalał w sobie uczucia miłości ojczyzny, z fanatyzmem neofity chłonał wszystko co polskie, z każdym pragnącym, rad, pragnął.

Odrzucał chwycony w śmigi amerykańskiego demokratyzmu nabrął wysokiego poczucia równości, zatracił był nieobyczaj służalstwa. Poznanie się bliższe z uproszczoną angielszczyzną amerykańską, która już bezwzględnie jest na „you“ (polskie „wy“) nietylko z prezydentem Stanów, nietylko z milionerem, ale i z psem i z koniem, wyleczyło go całkowicie z poczucia niższości klasowej. Wychodźca poszedł był nawet dalej w tym kierunku, wytłumaczył był sobie, że ponieważ w Ameryce mówi się każdemu „you“, więc jest się z każdym na „ty“. Ta forma obcowania ugruntowała w nim zasady, w których pewne hasła starokrajskie już zmieścić się nie mogły, bo zresztą i praca również nie miała klasyfikacji. Największy potentat zaczynał od łopaty, wczorajszy bogacz kończył żywot na miotle. Wartki prąd życia, bardziej uchwytnie obroty koła Fortuny nawet materialne różnice czyniły mniej ostremi.

Stąd wychodźtwa nie baczyło zrazu na starokrajskie rozłamy partyjne. Wyrazy naród, lud były dlań równoznaczne. Mając w swem łonie zadość rozbitków, pańskich dziadów, inteligentów, nie żywiło uprzedzeń i do tych jeszcze nie wysadzonych z siodła.

Prądy lewicowe, wobec takiego nastawienia, nie znajdowały wdzięcznego gruntu. Wytwarzały drobne koliska, lecz, przy największej zabiegliwości niekiedy bardzo utalentowanych prowodyrów, nie zdołały pociągnąć za sobą liczniejszych gromad. Wychodźtwa było samo przez się i zdemokratyzowane

i zsocjalizowane, nawykłe do oszczędności, do myślenia o jutrze, ambitne, do godziwszego, do lepszego życia zmierzające.

Unje, związki robotnicze, strejki, zatargi z kapitałem toć dla wychodźstwa starzy znajomi. Co tu prawić, co tu ludziom mającym oczy otwarte, wywodzić o Marxach, o Engelsach, o postępie w kraju, gdzie zacofanie, gdzie ociążałość myśli jest wyśmiewanym przeżytkiem.

Polska, oto program, oto jedno jedyne hasło, oto ta szczerą, prawdziwą ideologję polityczną. Zresztą żadnych kompromisów, żadnych układów z zaborcami, żadnych paktów. Od morza do morza, jako było niegdy, tako musi wrócić i wróci a gorze tym, co tego nie rozumieją.

W tym uporze patriotycznym wychodźstwo było nieubłagane, było najbardziej radykalnym odłamem społeczeństwa polskiego, umacniało się etapami rocznie historycznych, walkę z zaborcami widziało u proga.

Ani na chwilę nie odrywało oczu od ziemi ojczystej. Nowiny z Polski musiały być główną treścią gazetek i czasopism. Tu, w Ameryce, rozmaicie bywało, aleć to wszystko rzeczy wtóre, błahe, wobec tych najważniejszych, wobec tych nowin nadchodzących z pod Niemca, z pod Ruska. Tam niedola, tam uciemiężenie, tam wszystko, co najdroższe, spętane, bezwładne. I tam równocześnie siedlisko tej klątwy, która ściga wygnańca, która nawet na obczyźnie czyni go nędzarzem pozbawionym własnego domu, własnego zawołania, szczątkowcem czegoś, co się rozpadło, co znika, co politycznie nie istnieje.

Nie będzie szczęścia, nie będzie pomyślności ani na obczyźnie, jeżeli ponad rodzonemi siołami, ponad strzechami opuszczonemi nie wszędzie wyzwolenie.

Ta ideologja była nietylko pacierzem starszego pokolenia, ale i wyznaniem młodzieży.

Na wiele lat przed rokiem czternastym wychodźstwo w Ameryce zabawiało się w wojenkę.

Tu rozległe obszary, zgiełkiem ochoczej pracy rozkoły-

sane, a tu jakowaś dzieciarnia krnąbrna, tarabanami łomocząca, cudaczne odprawiająca musztry.

Trzebaż było wielkiego pobłażania, aby folgować tej wojowniczej swywoli, tym żakowskim przegrózkom, godzącym w zaprzyjaźnione z Ameryką mocarstwa.

Wychodźstwo nie daje się lewicy, ale z kunktatorami ani myśli się zadawać. Miłuje tradycje, lecz stroni od konserwatyzmu, gardzi wdzięczącymi się do batów, patrzy nieprzejednanych, lgnie do manifestów Ligi Narodowej, do weteranów ostatniej walki, przekłada zawołania wszechpolskie nad dzielnicowe rachuby, ma sentymenty dla bojowców, bo wierzy w czyn.

Gdy zbliża się godzina tego czynu, waha się w sobie. Drętowieje na rozstaju rozlicznych dróg, rzekomo do tego czynu prowadzących. Wygląda jakiegoś porywu, mającego cały naród polski stopić w jednym pragnieniu, ku jednej go zwrócić wyrwie. Czeką, spodziewa się odezwy „Rządu Narodowego“, ufa narodzinom jedności.

Miast śnionych rozkazów, opadają je wężowiska splotów politycznych, szarpią fałszywe propagandy zaborców, bałamucają kłamstwa chciwych sensacyj amerykańskich gazetek, rozdzielają na części kłęby trudnych do sprawdzenia nowin.

Tu jakby zmartwychwstała pieśń legionów, tu wróg śmiertelny miłość bratniemu ludowi słowiańskiemu ślubujący, tu upomnienia statystów, mądrość na arkanach europejskich wyostrzona, a tu zewy najmilejsze do szeregów wzywające, a tu już pomruki wojny.

Wychodźstwo zatacza się, szaleje z bólu, chciałoby pędzić, biec na ratunek, runąć krociami. Ocean neutralności, ocean przestrzeni, ocean bezwładu.

Stany Zjednoczone z filozoficznym spokojem baczą na swoją *splendid isolation*. Nic im do tych europejskich nienawiści, do tego barbarzyńskiego wojowania. Widowisko ciekawe, osobliwe, w następstwach nieobojętne. Nastarczyć nie

można zamówieniom. Fabryki rosną w oczach, wzmaga się produkcja, zebrzą towarów opuszczone rynki, zasada Monroego zbija góry złota. Byle tylko dochować bezstronności, byle swej olimpijskiej nie uchybić powadze.

Czwarta dzielnica Polski nawoływaniem do ofiarności usiłuje gasić swe wewnętrzne pożary. Trawi ją gorączka, szarpią rozterki, drą na kawały nieszczęsne orientacje. Zacietrzewienie podniecają zjawiający się teraz coraz gęściej uciekinierzy, emisariusze, jacyś często niepewnego autoramentu wysłańcy. Padają wyzwiska, niema zmiłowania dla odmiennego światopoglądu. Kto myśli inaczej, ten jest sprzedawczykiem, zdrajcą, germanofilem czy moskalukiem, a może i szpiegiem. Jednym się zdaje, że ci przez swoje zapaleństwo niemiecką potęgę wzmagają, — drugim, że tamci zagradzają drogę do legjońskiej służby, że pacholkami są rosyjskiego caratu.

Nigdzie tej szczerzej, jedynej prawdy, że wychodźstwo nie może drgnąć, że nie posiada sił ani środków po temu, aby bodaj trzystu ludzi na tę czy na ową stronę do Europy przetrzucić.

Nigdzie tej szczerzej prawdy, że czujną neutralność amerykańską może oszukać kilku desperatów, lecz nigdy bodajby jedna sekcja wychodźczej odsieczy.

I nigdzie tej prawdy szczerzej, że szala musiała się na tę stronę przechylić, ku której zdawna wlokły ją nietylko starokrajskie, ale i amerykańskie przeżycia.

Rdzeniem i głową wychodźstwa była emigracja z zaboru pruskiego. Ona, jako najdawniej osiedziała, jako najbardziej organizacyjnie karna, najsilniejszy wywierała wpływ. Wpływowi temu ulegli i Królewianie i Galicjanie. Wrogie zawsze nastawienie się Niemców amerykańskich dokonało ostatecznej edukacji. Nie miano i na wychodźstwie złudzeń co do Moskwy. Lecz z dwu śmiertelnych nieprzyjaciół patrzono groźniejszego. Łachmany austriackich względów nigdy nie po-

zwoliły zapomnieć wychodźtwa austriackiego wyzysku i austriackiego fiskusa.

Światła tej prawdy nie było. Nikt podobno nie zdawał sobie sprawy, że żadna i najpotężniejsza racja polityczna, żadna najdalej sięgająca racja stanu niezdolna jest stłumić posiewu zamierzchłych czasów sięgającej nienawiści.

W tych warunkach, przy całym i największem uznaniu dla samodzielnego czynu garści Polaków, wychodźtwa w przeważającej swej gromadzie nie dało się skłonić ku mocarstwom centralnym. Był to przecież raczej instynktowny niż wyrozumowany upór. Fałsze, kłamstwa, bajki, plotki zaciemniały bystrość spojrzenia, wodziły na manowce. Bywały chwile, że niewiadomo było czy pogrom należy uważać za zwycięstwo, czy zwycięstwo za klęskę.

W przeciwnym obozie też same zgrzyty, też same nieporozumienia. Owoczesny Naczelny Komitet ciągle jeszcze zażywał w Ameryce miru, nawet gdy z legionami do ostatecznej był doszedł rozterki. Rada Regencyjna jest i wówczas jeszcze upragnioną radą, kiedy Piłsudski rzucił był jej rękawicę. Droga daleka, dzieje rwą z zawrotną szybkością, perfidja rozrywa na strzępy Pierwszą Brygadę, a tu jeszcze maskarada „aktywizmu“, a tu nawet „wermacht“ niemiecki poczytany za argument tej samej legjońskiej tężyzny!

Odmęt, skłócenie i upór. Ludzie idą sobie w ostatku do oczu, aljanci, mocarstwa centralne, takie czy inne wywody to już jakby wtóre zagadnienia, najważniejsze to rankory, złości, bolesne urazy, — tego plwania, tych wyzwisk już sobie zapomnieć niepodobna.

Ameryka rusza do wojny. Francja wzywa ochotników polskich, są środki, są obozy, broń, umundurowanie czeka, więc jest wyrwa uczyniona, jest upragniony wyłot. Ruszają chmary. Rozłam cichnie. Ameryka strażuje, aby nikt Austro-Niemcom nie świadczył. Popiół władzy zasypuje żar, lecz go już nie ugasi.

Ci triumfują, tamci nie uważają się za pokonanych.

Hajże orjentacje!

Pokój, zmartwychwstanie i znów wojna i pokój wreszcie,— ale nie na wychodźtwie.

Z Polski wracają wczorajsi żołnierze, wracają w łachmanach. Odebrano im przed wyjazdem i te francuskie, skarbowe i nawet te za własne pieniądze kupione mundury. Cóż, mogą być potrzebne jeszcze tam, w Polsce.

Nie tak sobie wychodźtwo wyobrażało powrót kwiatu swej młodzieży, nie tak ochotnicy amerykańscy wyobrażali sobie czekające ich nagrody.

Żaloga dosięga najdalszych ośrodków emigracji. Polityka, ta „wewnętrzna“, szczerzy zęby i znów targa i znów szczuje synów jednej ziemi.

I jakaż jeszcze polityka, czegoż idą na siebie, czego się wadzą, czegoż jeszcze?

Ciągle o to, co tam, za oceanem, o to jak było, o to co i jak się tam, za oceanem, dzieje.

A że brak znajomości ludzi tych tam w ojczyźnie, brak ujęcia zdarzeń, niemożność ich zrozumienia, chwycenia na gorącym uczynku, więc ciągle jedno i toż samo pasmo oskarżeń, inwidyj i pomsty.

Płyną lata, — niema ukojenia. Ciągle, jak wczoraj, pro Niemcy i moskalofile. Młode pokolenie ucieka już od widm, od mroków stu pięćdziesięcioletniej niewoli. Nie chce znać ani tych męczenników, ani tych bohaterów, ani zdrajców, nawet pieśń wczorajsza, ta najprzeczystsza wieje ku młodym stęchlizną. Toć już minęło, przeszło.

Lecz tam, w Ameryce, na wychodźtwie, może również mroczno, jak i w starym kraju... Ludzie sobie zapomnieć nie mogą.

Choć w Ameryce, a brak, brak amerykańskiego wytrzeźwienia, które następuje po każdej i najgorętszej walce wybor-

czej, po każdym, najzaciętszem starciu współzawodniczących partyj.

Wszystkie środki są dobre w Stanach Zjednoczonych, kiedy idzie o powalenie przeciwnika. Kandydat na prezydenta przeciwnej partji jest i musi być ogłoszony za rzezimieszka, rozbójnika, łajdaka, nicponia, hańbę rodu ludzkiego, niechluj, obżartucha, szachraja, oszusta, zwyrodnialca, idjotę no i bydlę, bydlę i jeszcze raz bydlę. W chwili jednak, kiedy ów tak żałośnie się prezentujący kandydat zwycięża, w tejże samej chwili staje się tym „drogim panem prezydentem“, którego obie partje, rządzące naprzemiennie, a więc i zwycięska i pokonana, zarówno i najuprzejmiej słuchają. Ale i nowy „drogi pan prezydent“ wyznaje też samą cnotę karności obywatelskiej i on ma tylko uśmiech pogodny i dłoń do uścisku wyciągniętą nawet dla swych niedawnych antagonistów, dla swych kalumnjatorów. Tak czyni „drogi pan prezydent“ i szanowny pan kongresman i sędzia i radny miejski i ten drab, co na fali republikańskiej czy też demokratycznej na pacholka magistrackiego się wypromował.

Tej samej zasady i bardzo pilnie przestrzegało w Ameryce i polskie wychodźstwo. Chyliło głowę przed następującymi po sobie zmianami u steru władzy państwowej, — ale nie w stosunku do starego kraju.

Nie brakło nawoływań ostrzegawczych, rozważa chciała tłumić zacierzwienie, chciała godzić, jednak, — zadanie trudne, — potoki goryczy nie ustają, ciągną aż z ojczyzny, podniecają niesnaski.

Następuje okres gorączkowego napięcia, jakichś olbrzymich, przeolbrzymich pomysłów ekonomicznych i tuż po nim nowe rozczarowania, bo ciężkie straty materialne.

Lecz najgorsza ze wszystkiego to owa ciągle jeszcze wgryzająca się w zdrowe ciało starokrajaska partyjność. Bródzi ona w pracy społecznej, zjazdy i sejmy napęlnia zgrzytami

beprzedmiotowych sporów, wycieńcza siły organizacyjne, odstręcza i rozprasza.

Tymczasem barwny korowód rozmaitego autoramentu siewców wyrusza z ojczyzny. Zjawiają się delegacje, wysłanicy, ba, dostojnicy nawet, znakomici wręcz mężowie, którzy mają onej „czteromiljonowej“ rzeszy coś wyklądać, o czemś ją pouczać, do czegoś ją budzić, na coś ją namawiać.

Kosztowne podróże dla ubogich środków odbudowywanej Rzeczypospolitej, kosztowne fety dla wysupłanej z dolarów emigracji, zresztą czece parady, dym kadzideł i liczmany pu-
stych słów.

Nieporozumienie i niezrozumienie wzajemne. Ciągłe jako w onej chińskiej bajce, — gdy jedni wiwatują, drudzy zgrzytają zębami. Nieufność i podejrzliwość zapuszcza korzenie.

Kiedy, w roku 1922, stronnictwo ludowe wysyła swych przedstawicieli, w osobach posłów sejmowych Jana Dębskiego i Bryła, — najpotężniejsze organizacje ludowe wychodźstwa odmawiają im nawet zdawkowej uprzejmości. Odbywa się w tym czasie sejm Związku Narodowego Polskiego i ten sejm odmawia wstępu na swe zebranie reprezentantom Piasta, legitymującym się imieniem premjera Wincentego Witosa. Dębski i Bryl znajdują natomiast zwolenników tam, kędy ich się najmniej mogli spodziewać. Wyprawa się nie udaje, założone kółka piastowców rozpływają się, lud polski w Ameryce odmawia posłuchu polskiemu ludowi.

Oszołomienie wytrąca ludzi z równowagi.

Dość tu wypomnieć przyjazd do Stanów Zjednoczonych Wacława Sieroszewskiego. Zjechał był aby wygłosić szereg odczytów. Pisarz i legjonista legjońskie zamierzał opowiadać przeżycia. Stugłowe zerwały się Harpje. Żadnych względów dla pisarza patrioty, inaczej gotów myśleć, inaczej wyklądać, więc gorze mu, więc burzyć zgromadzenia, więc ostrzegać, więc przeszkadzać. Zapaleństwo nie zawahało się uciec do współdziałania władz amerykańskich. Władze amerykańskie

pośpieszyły z sukursem. Nabechtany prezydent miasta wypędził ze swego grodu przybyłego z odczytem prelegenta, — niech mu się taki wywrotowiec i rewolucjonista nie śmie pokazywać na oczy, niema miejsca w szlachtetnem środowisku spiętrzonych kamienie dla wrogów ładu społecznego!

To była polityka.

Żadnych względów, żadnego pobłażania dla przeciwnika. Tam, gdzie kto inne wyznawał zasady, gdzie odmienną szedł drogą, bodaj do tego samego celu, tam żadnej zasługi, tam żadnych szewronów, stratawać takiego, zniszczyć, że śmiał, że się odważył.

Zbyt często polityka wewnętrzna nie jest szukaniem równowagi, łagodzeniem norm społecznych, ścieraniem zaostrzonych kantów, — polityka nie łączy, lecz rozdziela, nie spaja, lecz rozszczepia.

Taka polityka właśnie hulała na wychodźstwie przed bardzo niewiele laty.

Aż nastała biel, biel mglistych oparów, co przesłoniła jasność spojrzenia, zgasiła promienne blaski, odrętwiała martwością ziszczenia.

Stało się, — dokonało.

Już cisza, śmierć wygasza tlejące żuźle. Z rumowiska wczorajszych tarć odzywa się jeszcze niekiedy syczenie jaszczurcze, jeszcze niekiedy dobiedzie płomyk, mignie czerwienią i zgaśnie w tłumie chroboczących iskier, — jakto na pogorzelisku.

Wychodźca pogrąża się w swej własnej doli.

Niechże mu ta ziemia ojczysta, ta ziemia niepamiętna na ofiarność, na krew, na poświęcenie, na miłość bez granic, niechże go nie żywi piołunem swych rozterek, swych wewnętrznych porachunków.

GORZKIE ŻAŁE PRZEMIJAJCIE.

Kiedy, tuż po zawieszeniu broni, uczyniła się Polska bez granic, na wychodźstwie zawrzało z radosnego poruszenia.

Gromadzono co tchu dary i zapasy, molestowano Washington, kołatano do amerykańskich instytucyj, byle jak najprędzej zdążyć, byle dostać, byle krewniaków zaopatrzyć, byle o losach ich powziąć wiadomość, byle ziemi ojczystej już z bezpośrednim pośpieszyć ratunkiem.

Jeszcze Armja Polska, sformowana we Francji, nie wiedziała, kiedy nareszcie danem jej będzie wydostać się z pod skrzydeł aljanckich, gdy już w Polsce ukazali się pierwsi wywiadowcy z za oceanu, gdy już za nimi wyciągali upelnomocnieni delegaci. Jedni wprost morzem, drudzy przez łańcuchy europejskich neutralności, inni pod osłoną wojskowych misyj, takim czy innym fortelem, byle do Polski nareszcie.

I w Polsce aż pojaśniało z otuchy, bo i ci „Amerykanie“! Setne chłopcy, całą gębą panowie, cudaki osobliwe, każdy objuczony, przywiezionem się dzieli, lada dziadowi dolara ładuje, jeszcze mu na pożegnanie łapę ściska.

Zjechał okręt brzuchaty, wysypał ładunek skrzyń z darami, — łut omasty w morzu wyniszczenia, aleć ten pierwszy, upragniony łut. Za nim w tropy gromada. Cały Biały Krzyż, niby z pod ziemi za oceanem wyrosły. Amerykańskie furgony cioci Imci, a z każdym po ludzku się można rozmówić. Dopieroż pierwsze listy, niejałowymi sentymentami napęczniałe.

Lecz to zaledwie początek.

Na wychodźtwie aż dudni, mądrali pełno pod ręką i jakich jeszcze.

Trzeba się co tchu zwierzać i organizować.

W Chicago wystrzela fantastycznym pióropuszem *Union Liberty*.

Union Liberty, więc olbrzymie polskie towarzystwo akcyjne, instytucja nad instytucjami, sięgająca odrazu Warszawy, piękna, wspaniała instytucja. Więc najpierw przesyłka paczek wprost do Polski, przesyłka listów pieniężnych, wielka centrala przekazywania pieniędzy, wreszcie dostawa towarów.

Hej, kto Polak, na bagnety ze swemi oszczędnościami, kupujcie akcje, z bogacajcie i siebie i braci w starym kraju.

Na ulicy Hożej, w Warszawie, jakoweś koszarowe budowle, na składnice zagarnięte, tysiące ludzi oblega. Tu całe bogactwa upragnionych posyłek, tu dolary aż szeleszczą, tu wszystkiego dostanie. Juści handel, lecz obywatelski. Dobra patrzący, filantropja bezmała, tu bank, tu poczta, a tu opatrzenie spragnionych, dobroczynność serdeczna.

Stąd, kiedy na Hożej solenniejsza inauguracja, — sam arcybiskup ze świtą i sama pani premierowa, aby się dzielności znajomków amerykańskich radować. A na bankiecie, w „Sali Malinowej“, czoło obywatelstwa wygląda jeno chwili, kiedy najtęższy z „braci Perłowskich“ głos zabierze i strumieniami złota połączy Chicago z Warszawą.

Lecz co tam „Perłowscy“ razem z *Union Liberty*! Wychodźtwu jakby cała Ameryka zbrzydła. Co tam Ziemia Washingtona, niechże sobie Lincolny, Frankliny, Jeffersony, — Polska, nasza Polska, — do niej śpieszyć, rękawy zakasać i do roboty. Piętnastu lat wystarczy, byle społem. Z gruntu trzeba wszystko, akuratnie. Tęższe będzie, lepciejsze niż w Ameryce, piękniejsze miasta, bogatsze. Największy zegar będzie w Polsce, a nie w jakimś Jersey-City, najwyższy drapacz nieba w polskie śmignie chmurki, wszystkie rekordy amerykańskie się potrzaska.

Trzeba budować, trzeba dźwigać, gruzы usuwać, — wiadomo, niech się tylko kilka setek „foremanów“ zbierze, niech się ruszą nasze „contractory, carpentry, plumbers, mechaniki, bricklayers, stealconcreciarze“, będzie Polska jak ta lalka. Musi tak w każdym szczególe, już taki polski *american boy* niczego nie popuści.

Kto żyw, ten sobie jazdę do starego kraju układał, ten już się czaił, aby chwilę upatrzeć, manatki zebrać i za ocean do swoich. O tem jeno rozprawiano, o tem deliberowano.

A nowiny aż dudniły i dziwy rozповідаły. Polska sobie wolniuteczko, dycha żwawiej, bieda wielka, dowóz nierychliwy, na rubieżach niepokoje, lecz „sposobności“ niesłychane. Każdy może odnowa czego zapragnie. Przytem taniość, a już dolar to jaśnie pan, smyrgnie i jest co chcieć, za stówkę bardziej niż w Ameryce za tysiąc. Kamieniczka za centy, chałupa za grosze, pieniąchów garść i ziemi szmat. I na tej ziemi, śmiech powiedzieć, po dawnemu, po staremu, byle lemieszem skiby dłubią, o traktorze nie słyszeli, kapustę łapskami sadzą, cepami po klepisku grzmocą. A już gdzie, na wielkopańskim, kierat zgrzytnie, lokomobilka gwizdnie, przedpotopowa żniwiarka zaterkoce albo centryfuga mlekiem zachłepcze, juści taka progresja o jakiej nawet krowy w Wisconsinie zapomniały. Człek na tej żwawszej półkuli wyszkolony, gdzie bądź spojrzy, tam dobra przyczyni. A w przemysłowej sztuce lub w handlarskiej profesji pojęciem nie ogarnie, ile pracy odłogiem. Chwili niema do stracenia.

Gorącość ogarnia najzimniejszych. Do Ameryki zjeżdża imci pan Buszczyński, pierwszy konsul generalny Rzeczypospolitej polskiej, tej Najjaśniejszej upragniony przedstawiciel. Szał radości. Ludziska beczą ze szczęścia, śnionego królaby tak nie witano. Obywatel zacny, nie urzędnik, lecz prawdziwy dygnitarz, na wychodźtwie się rozumiejący. Lgną doń wszyscy, toć ona władza, toć majestat, Białego Orła strażnik uprawniony.

Obchód za obchodem, powitania, delegacje, konferencje, ale i przekuwanie zajadłe zamiarów na czyny.

Pomysły się sypią jak z beczki. Łebskich inteligentów nie brak, zważyło ich się czasu wojny całe wory.

Najważniejsze mieć własne okręty.

Niech żyje *Polish American Navigation!*

Wiwat polska akcyjna korporacja! Kupujcie udziały, budujcie własną flotę handlową, trzeba milionów, muszą być miliony!

Chmura co najbardziej pyskatych agentów rozprasza się po Stanach Zjednoczonych, zaścianka nie ominie, o najmniejszej parafijce nie zapomni. Wszędzie wiece, hymny, mowy, parady i dopiero akcje.

— Nie duś, bracie, dolarów pod materacem, nie marynuj dorobku w nędznym procencie, dawaj, dawaj a śpiesz się, bo *share'ów* nie starczy, złym Polakiem będziesz i majątności się nie dorobisz.

Ludzie głowami kręcą, gdy tuż pierwszy polski okręt bucha kłębamii dymu. Grzeczne, mocne, pięknie wysmarowane pudło amerykańskie na „Polonię“ wychrzczone, bandera jeszcze gwiazdzista, jeszcze nieco łatana załoga, lecz co się da, to już po krakowsku. I to nie żaden ciura morski, — jedna podróż do Gdańska i sto tysięcy dolarów czystego dochodu. Może kłamstwa, może koloryzacja, — nie, — tak ci było, tak uczciwie, tak istotnie.

Tu już „Polonia“ sobie pływa a tu *Polish American Navigation* jeszcze trzy inne okręty zakupuje, tym razem już tylko towarowe ale, daj Boże, Rzeczypospolitej takich okrętów jak najwięcej jeszcze i na stulecie odrodzenia.

Jakże tu nie kupować akcyj.

Ale jakże tylego sukcesu z tych czterech okrętów. Dalej zakładać naprzeciwko drugi sklepik, drugą korporację okrętową, — co tam „Polonia“, — tu „Kościuszek“ będzie i nie byle co, jeno akuraty Tadeusz!

Między te pierwsze towarzystwa akcyjne wpadła Polska Pożyczka. Kusa, lichwą śmierdząca, już zdaleka wiejąca szachrajstwem. Pierwsza Pożyczka Polska w Ameryce, komuż ją sprzedać, komuż ją wetknąć? Może Niemce, może „Ajrysze“ na takie kombinacje pójdą, może Szkot da sobie z trzewika kwodra wydłubać?

Polska Pożyczka, — więc najpierw złodziejskie procenty dla stręczycieli giełdziarstwa nowojorskiego, a dalej, dalej: — „Ratuj, bracie, głodnych w starym kraju!“

Organizacja sprzedaży Pożyczki rzuciła znów sfory agentów. Ci w rozgonie a pośrodku główna ekspedycja i znów „Boże coś Polskę“, „Jeszcze Polska nie zginęła“, dwie mowy płomienne, jedna liryczna, śpiewy, inwokacje, na estradzie prezydum, najpierwsi dygnitarze, a między nimi i zacny Reymont, którego wożą napokaz po Ghettach. Siedzi Reymont jak na mękach, sam nigdy mownym nie był, więc jeno kłania się owacjom, a dziwuje, jako to Mickiewicz z Kopernikiem, Pułaski z Kościuszką łączą się i wtórują szelestowi liczonych pieniędzy, chwarszczeniu pożyczkowych pergaminów.

Takich „Chłopów“ podobno i Władysław Reymont w życiu nie oglądał.

Czy to sala, czy to hala, teatr, audytorjum na dwa tysiące ludzi, czy też „zbrojownia“ na pięć tysięcy osób, napcha się tego mrowia, że szpilki by nie wcisnął. I siedzi to na takiej uroczystości cztery, pięć godzin i słucha w skupieniu, łzami kapie, huczy w gorętszych momentach i wreszcie wyciąga zwitki dolarów. Toć głodowa pożyczka, jakże nie pożyczyć, jakże nie dać? — Co tchu trzeba i ziarna i tłuszczów i wełny i bawełny i maszyn i towarów przeróżnych, bo docna to zbójectwo Polskę obżarło. Więc kupić, więc dać. No i o tym panu Reymencie, co jak prawią, takie cuda o naszych chłopach wypisuje, godzi się pamiętać, niechże, robaczek, nie ma próżnej fatygi.

Klepią niby o jakichś procentach z tej pożyczki, ale już tam powiadali. Za stodolarowy certyfikat można znaleźć trzydzieści pięć, tylko nie w amerykańskim banku, bo taki nawet słuchać o Polskiej Pożyczce nie chce. To nie akcje *Union Liberty*, to nie *share'y* okrętowe, strata oczywista. Niechże sobie będzie i strata, kiedy z niej tyle pożytku.

Na bocznych drogach onej agitacji pożyczkowej o niezwykłych mówią sobie kombinacjach.

Był wiec, jak się patrzy. Aliści ledwie się skończyło wykładanie, jako obowiązkiem rzetelnym jest zakup pożyczki, za ledwie pergaminki dostały się do schówek, zjawiają się nowi gębacze, chodzą po domach i znów dobra chcą.

— Macie certyfikat Pożyczkowy Polski, chcecie, żeby wam wszystko nie przepadło, macie trzydzieści dolarów za sto. Więcej wart nie będzie. Mądrzej wziąć, co dają, niż za wróblem na dachu się uganiać.

Pergaminki znów chwarszczą.

Szorum burum idzie po osiedlach. Ten się naraz zбогаcił, tamten sobie nową „carę“ zawałił, ten się rozbija w Packardzie, obiboki, gołysz, lizołapy urastają na posiedzicieli. I co to za ludzie, nie wiadomo. Z pod ziemi wyrosli. A z tymi pożyczkowymi certyfikatami końca niema. Sypią się i sypią.

Szorum burum, prawią teraz o tej całej kalkulacji. Za każde sto dolarów Rzeczpospolita dostanie sześćdziesiąt pięć. Emigrant płaci całe sto za sto dolarków, za tyle mu sprzedają agent, — drugi agent wycygani znów ten stodolarowy papier za sześć albo siedm piątek i znów innemu ze łzami w oczach sprzedają za sto. Kręcą się te certyfikaty i kręcą. Za ile ich sprzedano, ile razy jeden i ten sam sprzedano, ci tam, u góry, wyobrażenia nie mają.

Niechże ich, piorunów, kręcieli przeklętych, — byle dla Polski także przyszło.

Pierwsze stąd kwasy na wychodźtwie, lecz i w Polsce z Amerykanami nieporozumienia.

Kiedy wysłano do Warszawy one skrzynie z darami pod opieką jurnego a obrotnego działacza, uciecha była taka, że nie wiadomo jak tego delegata poczcic. Wyrrywano go sobie, wodzono po gabinetach ministerjalnych, niby się z całemi czterema milionami ludu układano. Ktoś tam chwycił, że delegat z kolejarstwem miał do czynienia i lu go z miejsca na całą stronicę portretu warszawskiej ilustracji, dwa łokcie cudacznych wywodów i konkluzja, owóz taki manipulant energiczny polskich dróg żelaznych winien być ministrem!

Ameryka ryknęła ze śmiechu, jurny, rzetelny delegat na dworcu nowojorskim informował podróżnych, kiedy i z którego peronu do danej miejscowości odchodzą pociągi, jak się z krzyżowemi linjami kojarzą.

W Polsce niemiłe rozczarowanie do własnego oszołomienia i stąd podejrzliwość. Gdy przeto zjechał prawdziwy luminarz, sprężyn bankowych znawca, gdy zjechał, aby do hojności swej jeszcze tę najważniejszą dla Polski nawiązać, — przyjęto go oziębłe. Zbyto realne i namacalne propozycje, zresztą dano mu zakosztować nielada gościny.

Luminarz za mocne dolary uzyskał przywilej na pokój czynę w nowoczesnym, warszawskim hotelu. Po kilku dniach, o północy, natrętne łomotanie. Pokoiczyna jest zarekwirowany dla jakiegoś obcego wojskowego. — Proszę się wynosić! — Dokąd? — Na ulicę, na bruk! — Racja, prawo pierwszeństwa, względy? — Niema żadnych, bo rekwizycja.

Taka przygoda spotkała luminarza, zasłużonego obywatela i dobrodzieja, któremu należała się gościna w Zamku. Owoczesny Zamek nie miał na takie drobiazgi czasu. Luminarz zmilczał i wyjechał.

Wzamian innego autoramentu finansista amerykański wielką był zjednał sobie powolność. Szyku zadawał, rozprawał, ugaszczał a, jak przychodziło do rachunku, płacił dolarami, na których jego własny i autentyczny widniał podpis. Ludziska baranieli. Nikt się nie rozumiał na amerykańskim

obyczaju, który każdemu dyrektorowi banczku udzielał przywileju podpisywania własnem nazwiskiem tylu banknotów, ile złota do kasy federalnej złożył. Finansista przeto do niedługo był doszedł relacyj, pruć ocean kilka razy do roku, aż brylantowa wynikła afera. Wypatrzone samochód, którym wozził do Gdańska za psi grosz skupowane klejnoty.

Zjeżdżali przecież rozmaici. Temu i owemu udało się businessu dopaść, chałupkę nabyć, folwarku się dokupić, a bodaj wyprzedawanych karakułów do Stanów Zjednoczonych naszmuglować. Innemu nie poszło. Biedota najrodzeńska go opadła, połowę wyjęczała, a resztę zeń dobyte na sperandy gruszek na wierzbie. Ten był twardym człkiem, dusił grosiwo, przemyśliwał, radował się krociami, co je za dolary wziął, aże mu te krocie przez palce przeciekły, w pustej dłoni wypomnienie kapitaliku zostawiając.

Lecz tem się zbyt nie przejmowano. Jako na świecie, — jednemu siak, drugiemu tak. Do najlepszego businessu trzeba mieć *chance*.

Wojna z bolszewikami uczyniła chwilową dywersję, z niej przecież jeszcze gorętsze impety.

Wyrastają kolejno dalsze placówki konsularne. Na jej czele raczej działacze, raczej szerszego pokroju społecznicy, raczej improwizowani konsulowie. Nie uszczerbek stąd, lecz zysk oczywisty, bo ułatwienia dotrzymują amerykańskiej sprawności. Biurokracyzm, miernota urzędnicza dopiero zaczyna się zabierać do podgryzania korzonków konsulatom o charakterze obywatelskim. Wychodźstwo otacza zwartym pierścieniem te placówki. Już odtąd nie rozumie żadnego obchodu, żadnego poważniejszego zgromadzenia bez konsularnego dostojnika. On jest teraz nieustającym magnesem, on niezawodnym autorytetem, on uświetnia zgromadzenia, on każdą ich uchwałę pieczętuje.

W zaraniu tych relacyj z konsulatami panuje błogostan. Żadnych zgrzytów, żadnego partyjnickiego nastawienia, żad-

nych do nikogo uprzedzeń, — konsul więc patron, więc opiekun i goźdźciel, całą reprezentuje Polskę, nie dopuszcza do stronnicy zabarwień.

Autorytet tego zarania konsularnego jest wielki.

Starczyło bardzo krótkiej znajomości z tak szlachetnym człowiekiem, jakim był Nowicki, pierwszy konsul generalny w Chicago, aby wśród polskich chicagowian zawołano na ciulanie składek, aby przecież tak znakomity przedstawiciel Rzeczpospolitej w cudzym domu nie urzędował.

Gdy zatem, stosownie do nadesłanych przez Warszawę rozkazów, konsulaty opublikowały w gazetach artykuły na temat korzyści, które zapewnia zakupywanie marek polskich i lokowanie ich bądź w bankach, bądź w zapoczątkowanej Polskiej Kasie Oszczędności, — rezultat tych wezwań był natychmiastowy.

Marka polska staczała się po pochyłości. Nieświadomym jej papierowego bytu zdawało się, że jest to spadek możliwy do zatrzymania, do osadzenia go na pewnym, stałym punkcie. Im bardziej kurs marki się obniżał, tem bliższą wydawała się granica jej dewaluacji, tem i profit może niezawodniejszy. Urok zer zresztą i na wychodźtwie był niesłychany.

Krocie, — krocie, wreszcie miljony. Tu piszą i tam piszą, — tu posesja za sto tysięcy marek, a tu za sto tysięcy marek cztery tysiące dolarów. — Wczoraj, nie dziś, dziś już tylko trzy tysiące dolarów, — już tylko dwa tysiące pięćset, — dwa, — tysiąc pięćset, bójcie się Boga chłopcy, pędźcie, rwijcie, wysyłajcie...

Tu konsulaty, według warszawskiego rozkazu, a tu sto naraz banków, bankczków, kantorów, sklepików, — do Polski wysyłamy pieniądze, do Polski. — Iście arabskie historie.

Wybulił człeczyna tysiączek dolarów, dali mu kwitek akuraty i powiedzieli, — według kursu dzisiejszego masz pięćdziesiąt tysięcy polskich marek. — Zanim się ten tysiączek konsularnie docłapał do Warszawy, to już za ten tysiąc do-

larów Warszawa płaciła sto tysięcy marek, — zanim się ten tysiączek przez bankowe czy kantorowe wertepy zdążył wybrać z Ameryki, to banczek lub kantor chował sobie spokojnie pięćset dolarków do kieszeni, bo akurat połówki starczyło na zakupienie tych markowych kapitałów.

Bardzo to naiwnie i dziecińsko się prezentuje tym wszystkim, którzy owej „zerowej“ gorączki nie przechodzili, co nie rozumieją się na poezji i fantazji tego skrawka idealnej próżni w jajeczkowym ujętego owalu.

Głupie zero bez jedynki, ale właśnie że wszystkie razem dziewięć cyfr arabskich (zero nie jest arabskiem) do wtórowania się zabrało.

Każdy rwał do onego lukru jako i dziśby się nie ociągał, gdyby mu tak ktoś za byle rulonik złotka tych papierowych bodaj wyliczył złotych sto tysięcy.

Z tego kwapienia emigranckiego aż się w ostatku zator uczynił. Ledwie nadążono wyjmować z kopert pieniądze, odkładając resztę manipulacyj do przyszłych lepszych czasów.

Na wychodźstwie tem dziwnem marudztwem i temi niezawodnymi stratami na kursie nie przejmowano się zbytnio. — Ten, co się już dał skusić, kiedy dawano za ledwie sto marek za dolara, pewnie, że rozumu był niedalekiego. Gdyby był przeczekał, miałby tysiąc za jednego. No, chyba cały miljon za tysiąc to jest biznes.

Podczas nietylko dobrych, ale i świetnych biznesów przybywało. Rosły jak grzyby po grzybowym deszczu, a więc takim ciepłym, który pod jesień lasy przechlusta i na ranek parną mgławicą poszycie leśne wypraży.

Zebrały się mechaniki i kupiły sobie pod Warszawą olbrzymie warsztaty i krzyknęły z dumą niedołęgom nadwiślańskim, — a teraz wam pokażemy!

Ludzie praktyczniejszej fantazji uzalili się i powiadają, — dosyć tego po starym kraju łożenia na bosaka. — Buty najpilniejsze. — Weźma się i róbma trzewiki. — Są akcje na

warsztaty, niechże będą i na buty. — Kogo na prezesa? — A no pana mecenasa, uczony jest, niechże się zabiera i „Polusa“ w stolicy wybuduje. Nie zdołano się nagadać o tych nowych imprezach, a tu znów większa i znów taka śliczna, że nie poradzi, że nie utrzyma i pięćdziesięciu centów w kieszeni.

Wrócił tylko co z Polski mały, kusy a wiercioch, że niepodobna. W polityce był, ofisy trzymał, nosem nie pociągnie a zwęszy, obrotny i niezgorzej się mający.

Tedy wrócił kusajda z Polski, zakręcił się, z *leaderami* nagwarzył, zbiera wiec i powiada.

— Polska jest *okey*, tylko Warszawa jest *good for nothing*. „Trza“ nową stolicę wybudować!

— Przecież Warszawa.

— Ruina, dziury, łąty, ciasnota, zaduch, była dobra na kiedyś! — Rudery, stare kościoły? — To wszystko się *sfiksuje*, *wypajntuje* i niech sobie. Kopernik, król Zygmunt, — także mogą. Warszawa zostanie starem miastem, a obok niej zbudujemy „Nową Warszawę“. Patrzcie, — tu Wisła, tu jeden most, tu drugi, — tu był most, a tu będzie most, a tu nowa stolica Polski! — Paryż z Washingtonem niech się schowają! Jedno centralne ogrzewanie dla wszystkich, każdy kawałek *fire-proof*, kolej podziemna, kolej nadziemna, tu pałac Prezydenta, tu pałac dla Marszałka, a tu pałac wychodźstwa polskiego w Ameryce! Wychodźtwo będzie miało własny swój pałac, w nim sale na zgromadzenia, sale balowe, *swimming-pool*, mrożona ślizgawka przez cały rok, restauracje, bary, pięć tysięcy *roomów*, przy każdym kąpiel i prysznic, kino, *wintergarden*, czterdzieści pięter a naprzeciwko Hala Niepodległości, a pod nią garaż na tysiąc pięćset maszyn.

Ludziska dębieli ze zdumienia. Ale z kusajdą żadnych wątpliwości. Plakaty olbrzymie, akcje pięknie litografowane, przytem na czele komitet, a w komitecie wszyscy najprzedniejsi.

Ktoś czasu wiecu wypomniał w głos. — A nasz Piłsudski.

Kusajda aż się zachnął na taką wątpliwość, bęcnął po arkuszu cyrkularza.

— A jakże sobie myślicie. Tu, tu widzicie stoi wydrukowane u mnie czarno na białem. — Wszystko macie *all right*. Każdy cent za akcje idzie w urzędowe papiery, żeby wam procent ani na minutę nie chybił.

Jakże więc „Nowej Warszawy“ nie budować? Jakże się podziwiać w odrętwieniu, kiedy ze wszech stron napraszają się człowiekowi tak niesłychane „sposobności“.

Jakże się oprzeć szlachetnemu uniesieniu, które i na strunach uczucia tak rzewliwie wygrywa?

Mięknie człek i najtwardszy. Nieufnik oczy rozwiera z podziwu.

Ledwie siedm miesięcy upłynęło od owego wiecu w Scranton, kiedy to nasprzedawano ludziom akcyj *Union Liberty*, aż oto zjeżdżają znów i znów zapraszają na taki sam wiec i zapraszają wszystkich akcjonariuszy.

Ciekawość okrutna, bo i słuchy idą, że lepiej było więcej nakupić akcyj *Polish American Navigation*.

Tłum zalega salę parafjalną. Na estradzie rozkłada się całe biuro. Zjawia się prowodyr, przed nim ukazuje się kopia ta taca zielonych dolarków.

— Przyjechaliśmy, aby wam wypłacić pierwszą dywidendę. Sześć miesięcy żywota wspaniałej korporacji, — macie po piętnaście dolarów czystego zysku na każdej setce. Niechże każdy, jeden po drugim, swoje akcje prezentuje i pieniądze odbiera.

Ludzi zatknęło. Oczyma łypią, słuchają, oczom, uszom nie wierzą.

Ktoś mocniej odsapnął i wrzawa pełna uciechy i okrzyki i wiwaty i zgiełkliwe rozszemranie.

— Piętnaście za pół roku. — Niesłychane. — A mówiłem. — Poczciwa korporacja. — Bracia Perłowscy! — Niechże

ich takich głowaczy! — Lecz co tu brać dolary, mądrzej dopłacić i akcyj dobrać. — Biegaj matka do chałupy, przynieś ze cztery stówki, tylko się uwiń, bo gotowi nam wyprzątnąć.

Na wiecu w Scranton wypłata dywidendy skończyła się rozprzedaniem jeszcze większej niż poprzednio liczby akcji.

Sto tysięcy dolarów wysupłała jedna polska parafja na jedną polsko-amerykańską korporację!

Świetne rezultaty gospodarki akcyjnego towarzystwa *Union Liberty* nie poszły w las.

Polish American Navigation również wypłacała zyski i w równie krótkim okresie czasu i nawet, jak się niektórzy upierają, nie z zakładowego kapitału. Nie dały się ubiec inne przedsiębiorstwa. Liczba ich zresztą ciągle się powiększała. Mnożyły się spółki i agentury, przybywali i ze starego kraju znakomitych pomysłów rzecznicy.

Tu dzwoniło na alarm, aby ratować sieroty uchodźców polskich na Syberji, więc ślano delegację na Syberję, zwożono dzieciaków, obarczano się nowym, pięknym obowiązkiem. Tu znów składkowano na gniazda sieroce w Polsce, owdzie wspierano usiłowania doktora Hameczyka, który podjął był się trudu zwożenia biedactwa opuszczonego do ich zasobniejszych w Ameryce krewniaków.

A dopieroż polowanie na kapitały. Najpoważniejsze instytucje polskie cierpiały na niedokrwistość kasową. Brak dobrego, silnego pieniądza był dotkliwy, źródła europejskie zubożałe i nieufne, Ameryka bogata, lecz nieskora do patrzenia zysków w kraju wyniszczonym wojną.

Chyba wychodźtwo, — więc do wychodźtwa.

Jedni kołatali pośrednio, nawiązywali stosunki z zamożniejszymi jednostkami, niektórzy zdobywali się na tęższą akcję. Do takiej uciekł się był Bank Spółek Zarobkowych. Tradycja wielkich zasług ks. Wawrzyniaka słynęła i za oceanem. Wychodźtwo i to może najrozważniejsze przygarnęło się chęt-

nie, akcje Banku Spółek Zarobkowych znalazły bez trudu licznych nabywców.

W ciągu niespełna czterech lat wychodźstwo polskie w Ameryce wyłożyło na te przedsiębiorstwa, na te korporacje, na te instytucje zgórą pięćdziesiąt milionów ciężką pracą zdobytych dolarów.

Pięćdziesiąt zgórą milionów dolarów wysupłano na owe tylko zawrotne pomysły, na owe rojenia o przemysłowo-handlowym rozkwicie ziemi ojczyźnej.

Sen był piękny, przebudzenie nielitościwe, bo krew ścinająca w żyłach ponurą rzeczywistością szarej, zawilgłej płachty dnia.

Runęło wszystko, znikły bez śladu dolary, przepadli bez wieści korporacyjni dygnitarze, w zabudowaniach słynnego „Polusa“ gnieździ się warszawska nędza bezdoma, — jedne tylko pergaminowe certyfikaty chwarszczą niekiedy ironicznie w wychudłych, spracowanych dłoniach.

Jakże to się stało?

Pierwszy odruch gotów spędzić całą winę na nieustabilizowanie polskiej waluty. Zawiniła ona piekielnie, zawiniła razem z owoczesnymi włodarzami skarbowości polskiej, którzy bromali się wziąć pouczenie od sąsiada czeskiego, nie umieli czy nie chcieli przeprowadzić oSTEMPlowania banknotów państw zaborczych. Państwa te zasypywały bezkarnie bezwartościowymi rublami, koronami i markami ziemie Rzeczpospolitej, Rzeczpospolita ze swej strony drukowała bez rachunku własne mareczki. Stąd inflacja i stąd każda zmiana dolara, franka czy funta sterlinga na pieniądze obiegowe w Polsce doprowadzała automatycznie do klęski.

Jeżeli ktoś, na przykład, zakupił był za sto dolarów akcyj Banku Spółek Zarobkowych w chwili, kiedy stodolarówka przedstawiała wartość pięciu tysięcy marek polskich, to zgóry musiał być skazany w tej swojej stówce na następstwa staczania się marki polskiej. Bank Spółek Zarobkowych, pomimo

wchłonięcia dziesiątków tysięcy dolarów, musiał być, po stabilizacji pieniądza, wypuścić odpowiednią ilość nowych akcji, już w złotych polskich, a dawne udziały markowe przeliczyć na grosze. Był więc to przypadek ruiny, spowodowanej ruiną polskiej marki. Dolary wsiąkły i rozpląnęły się w dewaluacji.

W pewnej mierze ta sama dewaluacja zaważyła na losach innych przedsięwzięciach, szczególnie takich, co niedość sprężyste nauczyły się owoczesnej mądrości zamieniania dolarów bezpośrednio na towary czy na własności nieruchomości. Ale tylko w pewnej mierze, w tak małej nawet, że tej dewaluacji, za wyjątkiem bardzo szczególnych, jak powołany wyżej, przypadków niepodobna uważać za niszczyciela amerykańskich kapitałów.

Natomiast istotnym wrogiem oszczędności, lokowanych w towarzystwach akcyjnych, było karygodne ustawodawstwo stanu... Delaware.

Poszczególne stany amerykańskie miewają swoje specjalności. Więc, jak na przykład, całemu światu jest już wiadomo, że gdy kto w Stanach Zjednoczonych chce w najkrótszym czasie i dla najbliższego powodu uzyskać rozwód, ten wybiera się na pustkowie stanu Nevada, ten jedzie do słynnego Reno. W Reno najtańsze rozwody, w Reno rozwód na zawołanie, w Reno za powód do rozwodu wystarcza chęć rozwodu. A ponieważ wyrok, zapadły w jednym stanie amerykańskiej federacji, obowiązuje we wszystkich innych stanach, przeto muszą go uznać nawet stany, walczące usilnie z gorączką rozwodową. Owóż, kiedy specjalnością stanu Nevada są rozwody, — specjalnością znów stanu Delaware jest zatwierdzanie statutów towarzystw akcyjnych w Ameryce. Podczas gdy w takiej Pensylwanji lub Illinois bardzo trudno jest przeprowadzić zatwierdzenie akcyjnego towarzystwa, z uwagi na silne restrykcje, chroniące akcjonariuszów przed wyzyskiem, — stan De-

laware nie ma granic dla swego liberalizmu. Idzie mu, jako i Nevadzie, o źródło dochodów.

Inicjatorzy sławetnych korporacyj polsko-amerykańskich znali się na tej sztuce. Wiedzieli o tem, że prawodawstwo stanu Delaware upoważnia zgóry każde zawiązujące się stowarzyszenie akcyjne do bezkarnego wydania 20% zebranego kapitału na koszty organizacji.

Innemi słowy, jedna piąta kapitału była odrazu wydana na pastwę dyrektorów, agentów i to bez możności jakiegokolwiek interwencji. Wydawali, zgarniali, dzielili się tem, co im się prawnie należało.

Drugim i niemniej groźnym nieprzyjacielem zamierzeń wychodźstwa była lekkomyślność kierowników tych wysiłków przemysłowo-handlowych, brak znajomości stosunków ekonomicznych, brak doświadczenia a w znacznym stopniu brak należytego zainteresowania, brak czujności ze strony miarodajnych sfer w Polsce. Do działania wyrwali się krzykacze nieudolnieni, niewykształceni odpowiednio ludzie, a, co gorzej, porwali się nawet i ludzie wątlęgo sumienia. Błędne pojęcia o wartości mechanizacji pracy, zawodne rachuby na wprowadzenie do kraju, z wysiłkiem zcalonego, metod sprawności amerykańskiej dopełniło miary.

Krach zaczął się być już w dwa lata po rzuceniu pierwszego tysiąca dolarów na szalę i zaczął się być oczywiście od tego pierwszego tysiąca.

Więc na pierwszy ogień poszła *Union Liberty*. Pięć miljonów dolarów, zebranych przez pięciu braci Perłowskich, zginęło bez śladu; ani dymu, ani popiołu ze świetnych zamysłów, ulotniły się razem z braćmi, którzy zdążyli sprzedać swemu własnemu towarzystwu swe sklepy z meblami za siedemset tysięcy dolarów i wycofali się skromnie z koliska niedzięcznych rodaków.

Zerwały się daremne okrzyki pomsty. Na lep *Union Liberty* dało się namówić wielu działaczy, wielu z nich niebacz-

nie pociągnęło innych. Stąd lęk i stąd dążenie do uciszenia, nawet wywieranie nacisku na prasę. W ostatku rady nie było, prawo i tym jeszcze razem było tylko lewem.

Ale i nie było nawet czasu na zastanowienie, bo oto *Polish American Navigation* jęła trzaskać, jęła chwiać się w posadach, pogrążyć w odmęcie. Inne tym razem były przyczyny, — ciekawe, szkoda, że tak mało komu znane.

Polish American Navigation zakupiła, jak wyżej, cztery okręty, zakupiła je od Amerykańskiego Zarządu Okrętowego (*American Shipping Board*), wpłacając gotówką 50% wartości. Okręty były kupione drogo, lecz były to okręty tegie. Jeden z nich, pasażerski, utrzymywał stałą komunikację między Nowym Yorkiem i Gdańskiem, trzy inne były okrętami towarowymi. Okręt pasażerski, owa pierwsza „Polonia“ sprawiał się dzielnie, przynosił zyski. Trzy inne, po krótkich bardzo eksperymentach, nie miały co wozić. Polska sprowadzała mnóstwo towarów ze Stanów Zjednoczonych, ale, ale ówczesny prezes korporacji, Niklewicz, czy też ówczesny zarząd *Polish American Navigation* nie umiał dojść do ładu i składu z pierwszym poselstwem polskim w Washingtonie. Narodziły się niechęci i z tych niechęci zerwanie relacji z polsko-amerykańskim towarzystwem okrętowym! Transporty do Rzeczypospolitej szły *na okrętach obcych*. Interwencje w Warszawie nie dały rezultatu. Spróbowano własnego przemysłu, podjęto się transportu towarów do egzotycznych miejscowości, byle okręty zatrudnić, uniknąć olbrzymich kosztów utrzymania. Na jeden z tych okrętów zaczęła się kwarantanna, dostawa zawarowana terminem przyniosła olbrzymie straty. Amerykański Zarząd Okrętowy upominał się o resztę należności. Sprzedaż akcyj ustala. Po kilku wyżebranych zwłokach, nastąpił sekwestr. W ostatnim odruchu chciano ratować zapoczątkowaną polską linję okrętową, chciano bodaj przekazać ją polskiej Rzeczypospolitej, niechby ona przejęła te okręty, niechby chociaż w ten sposób te miljony nie poszły na marne! *American*

Shipping Board godził się na takie ustępstwo. Niklewicz ruszył do Warszawy, był to rok 1921, — w Warszawie pędu do morza nie znalazł, nie znalazły posłuchu pierwsze cztery polskie okręty!

Mająca się odrodzić w następstwie „Polonia“ razem z nowym „Kościuszką“ i „Pułaskim“ wołała wyprowadzić swój rodowód z „Carycy“, „Kurska“ i trzeciej równie dźwięcznej nazwy okrętów, zbudowanych jako lokata kapitałów Marji Teodorówny, aniżeli się łączyć z jakąś *Polish American Navigation*.

I znów marne pięć milionów dolarów.

Po tych dwu krachach następne szły jak z płatka, o tej drugiej korporacji okrętowej, co „Kościuszkę“ budowała, ledwie kto wspomniał. Musiała runąć, musiała się zawalić, jako i wszystkie inne korporacje. Taki los, taka dola. Gdzie tu w Polsce myśleć o takich głupstwach, jak bodaj ten „Polus“, co chciał potworne maszyny zwozić na mechaniczne produkowanie butów, nie bacząc, że w jednych Kielcach mieszka sobie tylko trzy tysiące szewców; że te trzy tysiące ubogich rzemieślników gotowe było zadowolić się mniejszym zarobkiem, aniżeli wyniosłaby strata na zniszczeniu dorocznem tych amerykańskich maszyn.

Nieszczęśni akcjonariusze tracili głowy, zjeżdżali się, odbywali narady, szukali prawników, niczego się chwycić, niczego się nie dało ucaścić. Resztki, pozostałości, skrawki kapitałów zjedli sekwestratorzy amerykańscy, obdarzeni równie strawnymi żołądceczkami, jako ich polscy pobratymcy.

Ale gdy zagadano o „Nowej Warszawie“ już się cała rozpętała chryja, największe potęgi tym razem się zaczęły, aby chociaż tej „Nowej Warszawy“ nie darować.

Właściwie o „Nowej Warszawie“ żadnego nie było słyhu.

Kucyk siedział sobie w zaciszu i w zaciszu wytworny prowadził żywot. Lecz panowie Rada postanowili ubiec wypadki.

Sami się zebrali i do kucyka, jako głównego dyrektora, kasjera i promotora.

— Zdawaj no, kawalerze, porachunek!

Kucyk dobył pudło cygar, nastawił butli starej szkockiej, — były to czasy prohibicji, — i zakonkludował.

— Macie tu każdy po cygarze, sztuka w sztukę warte dolara, napijcie się pocieszycielki i wynoście się z Bogiem.

Z tego awantura i prokurator.

Naciśnięto kucyka.

Kucyk ani oczkiem nie mrugnął.

Wszystko było w porządku. Centusia nie brakło.

Dwadzieścia procent kapitału prawnie wzięte na organizację i wydane, — jak wydane, — djabli komu do tego.

Reszta, reszta jest ulokowana, według statutu, w papierach procentowych Pożyczki Państwowej Polskiej.

— Tak, aleś pan przyjmował przy wpłatach na akcje tę pożyczkę w cenie trzydziestu dolarów za sto. Skupowałeś pan nadto stodolarowe pożyczki najwyżej po trzydziści pięć.

— To do rzeczy nie należy. Jestem odpowiedzialny za 80% kapitału i ten kapitał jest, każdy akcjonariusz ma dolara za dolara i 7% rocznie, bo tyle przynosi Polska Pożyczka. Niechże mi kto znajdzie lepszą, uczciwszą lokatę. Gdyby „Nowa Warszawa“ stanęła, tyleby przynieść nie mogła. A że „Nowej Warszawy“ nie rozpocząłem budować, no to dlatego właśnie, że, wobec dewaluacji polskich pieniędzy, nie chciałem moich akcjonariuszy puścić na dziady. Od jutra ogłaszam zwrot pieniędzy.

Przy tej kombinacji kucyk schował do kieszeni 45% wpłaconego kapitału, czyli przeszło czterysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów z milionika.

Prawa i tym razem zabrakło.

Najdłużej ze wszystkich tych korporacyj kołatało się Stowarzyszenie Mechaników. Był okres, który zdawał się wróżyć zwycięstwo. Oni jedni mieli przetrwać, mieli się ostać prze-

ciwnościom. „Poręba“ wróżyła najlepsze spodziewania. Ale i czujność nie poradziła tak zwanej zmianie „konjunktury“. Pożyczki zmajoryzowały akcje, „mechanicy“ szurają pergaminami, patrzą zmiłowania na księżycu.

Hiobowe to były czasy dla wychodźstwa. Ludzie ubożeli w oczach i bez kryzysu. Wszędzie zawody i gorycze. Nawet filantropję doktora Hameczyka zakończono nowiną o zasadzeniu go do kryminału. Nawet sumki na sprowadzenie osierconych krewniaków przepadły. A z Polski już powrotna fala, setki ludzi, co potracili fundusze, co zbyt zaufali, co nie rozumieli się dobrze na pisanem, na zełgiwanem, na wykrętnem, co się nie rozumieli na starokrajskich interesach, kombinacjach i rachunkach. Jednemu sprzedano u rejenta (autentyczne) cudzy majątek, drugi wdał się nieostrożnie z nieponiami, trzeci pogrzebał fortunę w najuczciwszym niedoładzie, czwartego obrabowali bandyci, piąty nie wrócił wcale, bo mu pieniądze zabrano razem z życiem, ocalało niewielu.

Wyrzekań było mnóstwo, niezawsze słusznych, lecz zawsze ciężkim uszczerbkiem materialnym wytłumaczonych.

Możnaby tu powiedzieć, że przyczyną niełada tych klęsk wychodźstwa była chęć łatwego z bogaceniem się, była może zawsze niebezpieczna gra giełdowa, boć za tę grę na giełdzie należało poczytać, na przykład, zakupywanie masowe polskich marek w momencie spadku polskiego pieniądza, możnaby z tego powodu wszelkiej wyrzec się w stosunku do wychodźstwa odpowiedzialności, gdyby, gdyby polskie konsulatory nie wzywały do zakupywania tych, staczających się do zera, pieniędzy, gdyby do tego handlu akcjami nie zaprzęgano miłości ojczyzny, troski o jej rozbudowanie, niesienia pomocy wyniszczonemu, zubożałemu krajowi.

Gdyby atoli i znaczną część zawinień przypisać wychodźstwu, to jeszcze tych pozostałych było zadość na rozgoryczenie. Nie brakło bowiem i moralnych udręk. Reemigranci utyskiwali na wyzysk, na obojętność, na oziębłość. Nastawie-

nie owoczesne istotnie było dość osobliwe. Chciano mieć, rzekomo, jak najwięcej wracających do kraju „Amerykanów“, lecz dokładnie w myśli o spodziewanym przyplywie dolarów, bez żadnego szczerego zamiaru zużytkowania tych małych kapitalistów jako sił twórczych. Potrzebna była gotówka a nie metody pracy lub walory obywatelskie. Taki porosły w pierze mizerak miał obowiązek wysupłać co prędzej uciulaną fortunę i wrócić beznadziejnie do tej samej sufladki klasowej, z której się wywodził.

Fala wracających do Ameryki reemigrantów była aż groźna. Zdawało się, iż na długie lata osłabnie sentyment wychodźstwa.

Jeden z mniejszych, polskich obwodów konsularnych w Stanach Zjednoczonych raportował z nielada zaniepokojeniem gwałtowny ubytek wyjazdów do Polski. Tuż po zawieszeniu broni z Bolszewją, w czasie od 15 października do 31 grudnia roku 1920-go, obwód ten wydał 471 polskich paszportów, — w ciągu całego roku 1921-go tych paszportów było już 2.730, — w całym roku 1922-im jednak tylko 697, — w całym roku 1923-im zaledwie 212! A wzamian w tymże samym roku cztery tysiące kilkaset, tak zwanych, „affidawitów“, czyli świadectw na sprowadzenie krewniaków do Ameryki.

W tymże samym stopniu, w tymże obwodzie konsularnym, spadały przekazy do Polski, wysyłane jako zapomogi czy też oszczędności. Mowa tutaj jedynie o przekazach, wysyłanych za pośrednictwem tego niewielkiego urzędu konsularnego. A więc, od 15 października do 31 grudnia 1920 roku, wysłano 244.000 dolarów, w ciągu całego roku 1921-go — 402.000 dolarów, w ciągu trzech miesięcy roku 1922-go (urzędy konsularne już dalej nie prowadziły rachunków przekazowych) wyprawiono tylko 45.000 dolarów!

Rachunki bankowe i pocztowe dałyby jeszcze dosadniejsze liczby. Miljony w roku 1920 i 1921, — w roku 1922 jesz-

cze krocie tysięcy dolarów, — a dalej tylko dziesiątki tysięcy.

Zgasły piękne rojenia, zawiodły kalkulacje, trzeba było najbliższego patrzeć, trzeba znów ciułać, oszczędzać, trzeba ratować i tę nędzę żołnierską, która wróciła złachmaniona, trzeba z tułaczym pogodzić się losem.

Lecz za tym odwrotem rodaków amerykańskich ruszono jakby do pościgu. Płynęli teraz za ocean zwartymi szeregami poławiacze grosza składkowego, niezmordowani nigdy kwestarze, budowniczkowie wszelakich wspaniałości za cudze pieniądze, jechali posłowie różnego autoramentu, sejmowi i nie sejmowi, toczyły się ekspedycje artystyczne, społeczne, polityczne. Chciano teraz nagwałt wychodzić pouczać, przekonywać, nawracać, ba, kształcić, podnosić nieledwie na duchu.

Nastąpił okres istnego opętania starokrajskiego.

Doszło do takiego naprężenia, że, w roku 1925-ym, już bardzo urzędowy raport „amerykański“ skarżył się Warszawie:

„Poza zorganizowanym, w dniu 20 maja 1922 roku, obchodem, poświęconym Polakom amerykańskim, co wywarło nadzwyczaj dodatnie wrażenie, nie można zanotować żadnej akcji w tym kierunku ze strony społeczeństwa i władz polskich w kraju. Boć niepodobna brać pod uwagę ujemnych występów różnych wysłanników politycznych i kwestarskich, których działalność ogranicza się prawie wyłącznie do agitacji, pogłębiającej rozłam polityczny wśród wychodźstwa, lub też do agitacji, obliczonej wyłącznie na zebranie i wywiezienie jak największej sumy dolarów. Przyjazd takich wysłanników pozostawia za sobą na długi czas roznamietnienie umysłów, Polonia stopniowo traci zaufanie i chęć do niesienia pomocy Polsce, gdyż ponadto nie ma żadnych dalszych wiadomości, w jaki sposób i na co zostały zużyte złożone przez nią ofiary. Jeżeli się zna zwyczaje amerykańskie, a znać je powinien każdy, który ma zamiar tu przyjechać, to zwyczaj kwi-

towania i wyliczania się z otrzymanych darów winien być skrupulatnie i formalnie przestrzegany“.

Wrodzona dobroć i gościnność wychodźstwa była niejednokrotnie wystawiana na ciężkie próby.

Zjawiała się była, na przykład, znana artystka dramatyczna, która na schyłku życia chciała olśnić detroiczán trzyaktowym trójkątem małżeńskim. Nie poznano się ani na sędziwych uniesieniach prymadonny, ani na wartości artystycznej szóstego przykazania dekalogu. Klęska była całkowita. Trzeba było się ratować przygodnymi deklamacjami, trzeba było szukać środków na powrót do kraju. Użalił się był w ostatku doli zasłużonej artystki Władysław Zawadzki, architekt, niegdy gorący a niestrudzony działacz polski. Zażył całego swego wpływu i zorganizował artystce pamiętny występ w Buffalo. Wyprzedano wszystkie bilety. Sumka uzbierała się znaczna, ale, ale do audytorjum przybyło siedem osób. Złożyli się, dopomogli, ale tego „trójkąta“ nie darowali... „chamy“.

W kilka tygodni po wyjeździe artystki, nadeszły czasopiśma starokrajskie z entuzjastycznymi relacjami o jej sukcesach amerykańskich.

Nie zdobyła powodzenia należytego i taka, już staranniej obmyślana, wyprawa, jak podróż do Ameryki orkiestry Namysłowskiego. Głównym sprawcą złego było nieporozumienie. Dobrą, świetną orkiestrę ludową, popularną wystrojono takimi superlatywami, że nie zniosła ich nawet Ameryka. Rozumiano, że idzie tu o popis jakiegoś symfonicznego zespołu, któremu sądzono jest stanąć obok a może i pobić na głowę słynne, znakomite orkiestry symfoniczne Nowego Yorku i Filadelfji.

Dla tego nieporozumienia na przyjazd Namysłowskiego nowojorska *Metropolitain Opera* rozwarła swe podwoje.

I uczynił się pogrzeb pierwszej klasy. Doskonale zgraną orkiestrę popularną zmierzono wartością najwspanialszych zespołów artystycznych. Powodzenie amerykańskie uciekło. Zo-

stały jeno polskie „Ghetta“. Lecz i tym nie wystarczyło zapłać na kosztowną administrację imprezy. Ba, nasuwały się w dodatku porównania, Ghetta miały wszak i własne i nie byle jakie orkiestry, — a sukmany chłopskie, wbrew pojęciu, nie budziły zaciekawienia.

Rezultat zawiódł.

Były i fety i przyjęcia, bo tych nigdy wychodzić nie żałuje. Owszem, przyjedzie taki człek ze starego kraju, każdy mu grzecznie przyświadczy. Jeżeli baję taki dygnitarz wystrojony trzy po trzy, stare bzdury, jeżeli dowodzi uczenie, że za dnia świeci słońce, a w nocy księżyc, ale niezawsze, to i tych bzdur wysłucha cierpliwie, przykłaśnie a swoje zawsze wie.

Jeżeli go zadrasną, jeżeli mu się do uczucia dobierają tą siermięgą, tym chłopstwem, co niby zmora dawne mu krzywdy wypomina, — chmurzy się i odstręcza.

Akademicy ludoznawstwa wychodźczego nigdy się nie umieli zorjentować w tych odcieniach. I ci posłowie ludowi, którzy tak mało znaleźli posłuchu, nie postrzegli, ile złego wrażenia wywarła ich starokrajaska, obyczajowa maskarada. Ci uniwersyteccy panowie zaprezentowali się wszak w fernalskich czapkach, w zaniedbanej demokratycznie odzieży, rozumiejąc, że w ten sposób niejako własne z ludem podkreślają kumoterstwo. Ani przypuszczali zapewne, że zgromadzone rzesze wstydziły się w głębi ducha tego wyszarzaństwa poselskiego.

Było tych zgrzytów bezliku. Tu hałasował „król tenorów“, który, doprawdy, o całe lat trzydzieści spóźnił się ze swoją wyprawą, tam wystrychnął się za propagandowe fundusze zespół byle jakiego kabaretu, który lepszym, miejscowym myślał zaimponować. Owdzie innego autoramentu przedsiębiorstwa, obliczone zawsze na bezpłatną podróż i zakończone bajdami gazeciarskimi o sukcesach, ocalonych doraźną zapomogą konsulatu. Gdzie indziej jeszcze jacyś organizato-

rzy, którzy swoje wrodzone psujstwo usiłowali wprowadzić do sprawnych, dobrze naoliwionych machin społecznych. Wszyscy jednak i posłowie i emisariusze i delegaci i jałmużnicy i budziciele, zaznawszy gościnności, dobroci, mając do brze wyładowane kabzy składkowe czy osobiste wiatyki po-
dróżne, jednakową za nie płacili niewdzięcznością.

Z ich własnych błędów, z ich własnej niemocy rodził się zgrzyt i ten zgrzyt sączył złośliwe uwagi, drwił a niekiedy wyszydzał tych, przed którymi dopiero co się rozpląszczał.

Przyjeżdżał taki pan do Ameryki, rozbijał się, węszył, zbierał, jadł i pił na cudzy koszt, miłość i przyjaźń do grobu nieproszony zaprzysięgał i, powróciwszy do kraju w najlepszym razie nawet o zobowiązaniach zapominał.

Nie ostała się tej smutnej zarazie i niepowszednia działaczka. I ona, wytarzaszwszy się na solennych przyjęciach mo-
nych kobiet polskich w Ameryce, bluznęła na podziękowanie drwinami z tego, co nie odpowiadało jej schematycznym wy-
obrażeniom towarzyskim.

Ale i z konsulatami również czegoś nie szło wychodźtwa.

Konsulaty razem z poselstwem w Washingtonie zmieniały się ustawicznie.

Znikli owi pierwsi, improwizowani konsulowie, owi oby-
watele raczej, aniżeli urzędnicy. Miejsca Buszczyńskich, No-
wickich, Manduków zajęli mniej lub więcej wykwalifikowani
funkcjonariusze. Pełni dobrych chęci, ale siłą rzeczy ograni-
czeni w działaniu i wystraszeni w gruncie rozpętanymi śród
wychodźtwa tarciami o starokrajską politykę. Lawirowanie
było trudne, myśl o godzeniu poważnionych niewdzięczna,
niektórzy z prowodyrów wychodźtwa miewali swoje własne
chody. Łada śmielsze posunięcie umiało powodować skargi.
Zaczęły kursować plotki, że ten lub ów zdołał tego lub innego
urzędnika konsularnego wysadzić ze stanowiska. Z tego lęk,
lęk o posady, o awanse a z tego lęku wycofywanie się, ogra-
niczanie na reprezentacyjnym wygłaszaniu w coraz to innej

formie wiecznie tych samych, nudnych przemówień, pogrążanie się w kancelaryjno-policyjnych czynnościach.

Przytem ciągły i chorobliwy wprost brak znajomości wychodźstwa, znajomości stosunków amerykańskich, bo ciągle zmiany na placówkach, bo ciągle i nieustanne przenosiny.

Zmiany służbowe muszą być, bywają powodowane zupełnie słusznymi względami. W Stanach Zjednoczonych przecież te zmiany przechodziły miarę zwykłych tranzlokacyj.

Pięciu ambasadorów Stanów Zjednoczonych w Warszawie to rzecz całkowicie naturalna. Warszawa należy dla Washingtonu do placówek „amatorskich“, rząd federalny wraca swemu polskiemu reprezentantowi zaledwie część istotnych kosztów. Ambasador musi być człowiekiem zamożnym, musi dopłacać do swego stanowiska, uważać je raczej za honorową służbę. Zainteresowania rządu Stanów Zjednoczonych w Polsce są raczej handlowe a dalej sentymentalno-polityczne. W razach wyjątkowych, czujność zawodowego konsula generalnego wystarcza całkowicie. Jeżeli przeto, po kilku latach urzędowania, bogaty przemysłowiec amerykański, potężny fabrykant kapeluszy czy fabrykant samochodów uprzykrzy sobie pobyt w Warszawie, zastępuje go, bez żadnego uszczerbku dla Stanów Zjednoczonych, inny chętny bankier lub przemysłowiec.

Rzeczpospolita takich ambasadorów nie posiada, a już szczególnie nigdy podobno ich mieć nie będzie mogła w stolicach państw o takiej wartości dla Polski, jak Stany Zjednoczone. I stąd ciągłość służby danego ambasadora ma niezmiernie wielkie dla Polski znaczenie.

Washington miał tymczasem, w ciągu lat piętnastu, pięciu polskich ambasadorów. Biorąc wszystkie względy pod uwagę, miał ich doprawdy za wiele, kiedy mowa o poznaniu trudnych do ogarnięcia arkanów polityki amerykańskiej, trudnych, bo ulegających wpływom dygnitarzy olbrzymiego kontynentu.

Trzeba długiego czasu, aby te arkana poznać, aby zwalczać ludzi, słabo orjentujących się w splotach polskich zagadnień.

Wymownym dokumentem może tu być przykład ambasady francuskiej Jusseranda. Ambasador Jusserand trwał na stanowisku przez lat dwadzieścia jeden. Posiadał był tak olbrzymi autorytet, że dzięki niemu i tylko dzięki niemu, czasu wielkiej wojny, Stany Zjednoczone wystąpiły po stronie aliantów, że dotrzymały przyjaźni ojczyźnie Lafayette'a. Kiedy w następstwie Briand skorzystał z granicy służbowego wieku Jusseranda, aby w Washingtonie swego osadzić człowieka, wpływy francuskie osłabły, do dnia dzisiejszego już nie wróciły do czasów tak szanowanego i lubianego „Nestora“ ciała dyplomatycznego w Ameryce.

Lecz godząc się, iż ta przelotność naszych reprezentantów w Washingtonie była niezawodną korzyścią dla Rzeczypospolitej, trzeba jednak stwierdzić, że wychodźtwu, jako takiemu, dobra nie przyczyniła.

Reprezentanci nasi nie mieli ani czasu, ani możliwości poznania bezpośredniego czwartej dzielnicy. Zetknięcia osobiste nie miały ciągłości. Zadzierzgane węzły rwały listy odwolawcze. A ponieważ w niemniej szybkim tempie zmieniali się radcowie i sekretarze, przeto wynikał przymus opierania się na zdaniu informatorów, domniemanych zaufańców, niezawsze dokładnych i bezstronnych.

Służba konsularna również nie mogła dość wydatnie sekundować swemu naturalnemu zwierzchnikowi, dla pomienionych już wyżej przyczyn. Bo i tam zdobyte doświadczenie, głębsze wniknięcie w sprawy wychodźstwa kończyło się niespodziewanym czasem wyjazdem.

Kiedy taki konsul generalny w Chicago poznał był już wskroś amerykańskie ustawodawstwo, nawiązał relacje, kiedy już lada napomknienia starczyło mu na zorientowanie się w sytuacji, wówczas dowiadywał się niespodzianie, że jego miejsce ma zająć konsul generalny, który był sobie zdobył

lbrzymią popularność w Jerozolimie. I spadał oto do Chicago ów konsul generalny z Jerozolimy i uczył się był znów od początku tego samego Czykagowa, — podczas gdy ten jego dwolany poprzednik otrzymywał nominację do Jerozolimy. Inny znów ze słonecznego Kairu zapadał się w dymy Pittsburga i znów po rocznych, gościnnych występach zegnał się wyjeżdżał na jakąś europejską placówkę. Te kosztowne peregrynacje bogaciły niezawodnie doświadczenie poszczególnych pracowników konsularnych, ale były uszczerbkiem dla wychodźstwa.

A przecież tylko długoletnie doświadczenie pozwala ogarnąć bardzo uciążliwe obowiązki przeciętnego konsula w Stanach Zjednoczonych.

Konsulowie w Stanach Zjednoczonych zniewoleni są działać w całkowicie odmiennych warunkach. Jedynie na terenie obwodu stolicy, a więc w Washingtonie, korzystają z pełni przywilejów reprezentacyjnych. Na placówkach w poszczególnych stanach są uważani przez władze stanowe za agentów handlowych. Konsul nie jest oficjalnym reprezentantem danego państwa dla władz stanu Ohio czy Mississipi, nie posiada urzędowych prerogatyw, korzysta niekiedy z uprzejmości, jego interwencje są raczej tolerowane. Na uroczystości stanowe lub miejskie bywa łaskawie zapraszany, lecz nigdy z tytułu urzędowego obowiązku. Swego pięknego uniformu konsularnego zniewolony jest unikać, gdyż rzeczpospolite, tworzące Stany Zjednoczone, nie chcą mieć akredytowanych urzędników państw obcych.

Heż z tego powodu zawikłań. Toć pierwszy z brzegu policjant wzrusza pogardliwie ramionami na nietykalność i wlece nietykalnego za uchybienie przepisowi na posterunek, gdzie doraźna sprawiedliwość wymierza karę. Uwolnić się od niej można, ale nie w imię dostojeństwa Szwecji lub Norwegji, lecz w imię komitywy z pierwszym z brzegu amerykańskim politykiem.

A z wychodźstwem samem ileż bo zatargów i mankamentów. Pominąwszy Scyllę i Charybdę owych tarć politycznych i nie politycznych, ileż nieporozumień wynika z błędnego wyobrażenia o doniosłości władzy konsularnej.

Wychodźstwo miewa różne zgryzoty, miewa turbacje majątkowe, administracyjne, proceduralne i rade szukać punktu oparcia w konsulacie, jego dopominać się interwencji. Wydaje mu się, że jednego listu, jednego podpisu starczy, aby je dobyć z opresji, aby gmatwanina biurokratyczna ustała, aby mu wymierzono sprawiedliwość i tu w Charlstown jako i tam, w Radzyminie czy Nowogródku. Wyobraża sobie, że konsul w Stanach Zjednoczonych może o czemś decydować, coś samemu postanowić, kogoś obdarować, a może kogoś nagrodzić. I dla tych powodów nigdy niekończące się rozważania, dąsy wychodźstwa no i dokuczliwe, bolesne nawet poczucie własnej bezsilności.

Więzy się rozluźniają, stygną. Kwitnie jeszcze egzotyczny obyczaj zapraszania „dymisjonowanych generałów“ na chrzciny, na wesela, na zjazdy, na bankiety, — niech się taki naje, napije i niechże palnie jakąś dorzeczną mówkę.

Gdybyż bo przynajmniej te konsulaty uskromiły były należycie sprawę krzyżów i odznaczeń, gdybyż chociaż o tych orderach pamiętały.

Ach, te ordery, te widome symbole tak różnorodnych definicyj!

Okropnie były skąpe i nierychliwe w ocenianiu zasług wychodźstwa!

Kilkanaście lepszej klasy krzyżyków, przypisywanych w dodatku osobistym wpływom Paderewskiego, ale i tych malutkich równie niewiele.

Nikt się temi błahemi zmartwieniami nie frasował.

Co wychodźtwu po orderach. Niechże się patrzy i raduje, że oto starokrajskie piersi lśnią i błyszczą nawet dzięki zada-

waniu się z emigracją. I słusznie, gdyby nie Pankracy, gdyby nie Serwacy, cóżby samo wychodźtwo!

Wychodźtwo rozumowało znów po swojemu, po „chamsku“.

— Skoro te kolorowe wstęgi i wstążeczki są miarą rzeczpospoliciej wdzięczności, ekwiwalentem pracy obywatelskiej, szewronem wiernej służby, jeżeli nieraz i przymuszone warunkami świadczenia tyle znajdują orderowych względów, — więc oczywista i nam wymiar sprawiedliwy się należy. — Nie pamiętał premier Skulski, nie obchodziło to premiera Ponikowskiego, zabrakło czasu premierowi Grabskiemu, no to przyjdzie inny premier, byle cierpliwie się spożył.

Długo zeszło, lecz nareszcie po konsulatach rozległy się łaskotliwe szmerki, z poselskiej siedziby nawet dobiegły się zapewnienia.

— Będzie, będzie, tyle poświęcenia, tyle ofiar, jakżeby inaczej. Już wygotowano spisy imienne, zebrano materiały. Już się rozstrzyga, lada godzina sypną ze stolicy, parę słów chyba odrazu.

Z tych alarmów jeszcze głębsze niż poprzednio milczenie. Od czasu do czasu — „cyk“ — zjawia się krzyżyczek, niekiedy tak niewspółmiernie ubogi, że „sam“ konsul gęsto się tłumaczy ozdobionemu, zaręcza najrychlejsze „naprawienie“ pomyłki.

Po takim „cyk“, — znów cisza wielomiesięczna. Co najzasłużeńsi już nie czekają, jeden za drugim *sacum-pacum* i na tamten świat.

Kwestja orderowa stygnie. Ktoś warknie, ktoś zgrzytnie konceptem o łotrze na krzyżu i o krzyżu na łotrze, ogół nie zważa. Naraz wśród byłych wolontarzy głośniejsze zrywają się pogwarki.

Z wyprawy za ocean kuse nagrody. Rzadko który żołnierz wytlukł sobie kolory „walecznych“, bo co do „virtutich“ słuszna im się wyjątkowość należy. Rozgon był z tą Armją

w Polsce. Wcielano oddziały, mieszano z nowym zaciągami, zmieniała się starszyna, nie było komu świadczyć, nie było komu do dystynkcji prezentować. Każdy przecież na wyjeździe otrzymał krzyżyk pamiątkowy. Krzyżyk ubogi, niezdar-ny, lecz z pięknym nadpisem. „Swoim żołnierzom z Ameryki — oswobodzona Polska“. — Starczyłoby tego napisu za największy honor, gdyby nie jakiś amerykański złośliwiec, co dowiódł wszem, że ten krzyżyk nie jest orderem, nie jest wyróżnieniem zaszczytnem, — lecz jedną z całego tysiąca bezrachunkowych odznak pewnych formacji wojskowych, czemś w rodzaju, na przykład, „żetonu“ Związku Narodowego Polskiego. Co więcej jeszcze, że tej odznaki nie można równać w wartości z kształtnym emblematem legjońskim, gęsto wśród wychodźstwa rozdawanym.

Weterani, — byli żołnierze Armji Polskiej na modłę amerykańskich kolegów używają tej nazwy, — ledwie w głos nie wyrzekali na oczywistą krzywdę, — aż nadszedł im sukurs. Oto wyspekulowano „miecze hallerowskie“. — „Miecze“, tedy znów już ściśle odznaka, wyróżniająca raczej formacje generała Hallera, aniżeli czyn Polaków amerykańskich, — lecz przecież jest coś, jest tego, ile trzeba, można to rozdawać, przypinać, można tem nagradzać.

Ludziska, jak ludziska, — na orderach się nie wyznają, — a zresztą niechże wiedzą, jako „miecze“ są hołdem błękitnych zastępów.

Mnóstwo poszło tych „mieczy“, zrazu szeroką rozdawanych ręką, następnie już oszczędniej i solennie. Wiele ambicji w ten sposób ukojono, wielu połączano. Nawet stare smoki yankesowskie bywały rozczulone, kiedy im zabimbano na marynarce takim polskim „orderem“. I prawdziwi konsulowie polscy ze wzruszeniem dekoracyjnej poddawali się ceremonji. — Bierz lichy, takiego autoramentu ozdoba czy innego, a ozdoba jest, wisi. — Uczciwie należy powiedzieć, że był z tych „mieców“ znaczny pożytek moralny.

Ba, — ale tu zaczęło deliberować Sokolstwo. — Ono było istotnym rodzicielem weteranów, ono łączyło żarliwców, ono zaprawiało młodzież do wojenki, ono powinno również pamiętać na swych bojowników, na swych luminarzów.

Rzecz była słuszna, *causa* od jednego sztychu *finita*.

Ukazał się więc Krzyż Legji Honorowej Sokolstwa Polskiego w Ameryce. Tym razem krzyż w trzy wyposażony gradusy. — Krzyż, nadawany uroczyście przy zaprzęgnięciu całego aparatu Sokolej Kapituły. Dwa filtry a nie jeden wyznaczały kandydatów. Wniosek Zarządu Związku Sokołów musiała zatwierdzać sankeja kapitularna. Legja Honorowa Sokolstwa zdobyła powagę. Rzadko niepowołany mógł się tu docisnąć.

Ale ten Krzyż Legji Honorowej Sokolstwa jał spędzać sen z powiek innych organizacyj. Sokoli, jako rzetelnie pomni na swych zasłużonych, wysunęli się znów przed innych.

Tego było za wiele!

Związek Narodowy Polski, ta najliczniejsza i najbogatsza organizacja, nie mógł pozwolić się zakasować. Miał, miał od dawna „Złote odznaki“, które swym najczcigodniejszym rozdawał. Ale odznaka to nie prawdziwy order. Więc utworzyć order!

Nowego pomysłu nie szukano i ustanowiono Krzyż Legji Honorowej Związku Narodowego Polskiego w Ameryce. Podzielono go na wielkości wstęg, na klasy, zebrano potężną kapitułę i dalej nagradzać. I również nie ryczałem, — zasię byle komu za byle co. A na zadokumentowanie całkowitego orderowego autorytetu, najwyższe stopnie Legji Honorowej Związku wyprawiono czołobitnie dostojnikom Rzeczypospolitej w Warszawie.

Serdeczny, pocziwy gest.

Nie tu przecież koniec orderów amerykańsko-polskich.

Trzecia narodziła się kapituła, — „Kapituła Krzyża Zasługi“.

Z wychodźstwem nie poradzi.

Nie dajecie nam odznaczeń, zwlekacie, skąpicie orderów, wodzicie na gorzkie żale, — niechże tak będzie. Naści od nas krzyże zamaszyste, wstęgi nasze własne, wychodźcze!

Stosunek macierzy do czwartej dzielnicy zaiste osobliwie się układał; w starokrajkiem pojęciu zupełnie słusznie i godziwie, nie tak przecież, jakby tego pragnęło wychodźtwo.

Wychodźtwo nie mogło się oswoić z myślą, aby je traktowano narówni z rodakami, bytującymi poza granicami Rzeczypospolitej. Tworzyło bowiem społeczność od dziesiątków lat zwartą, uświadomioną, samodzielną a więc zazdrosną o te własne, z trudem wywalczone u obcych, zdobycze. Było dalej żywiołem wspierającym, pomagającym krajowi, sekundującym mu ofiarnie we wszelkich zamierzeniach.

Gdy, na przykład, mówi się o rzeszy 720.000 (siedmiuset dwudziestu tysięcy) Polaków, mieszkających we Francji,¹ zapomina się aż nadto często, że zawiózł ich tam międzypaństwowy układ, że ten układ zgóry gwarantował tym rzeszom najdalej sięgającą opiekę ze strony władz polskich, dał im swobodę nauczania, opiekę polskiego duchowieństwa, pamiętał o zawodowych troskach, i o składaniu oszczędzonych franków do polskich kas, i o rozkwicie stowarzyszeń.

Wyjazd 720.000 ludzi z przeludnionego kraju, w okresie ekonomicznych zawikłań, był wielkiem dobrodziejstwem, był również i dla Francji, cierpiącej na brak rąk do pracy, korzyścią niezawodną.

Aleć, przy tych dla Rzeczypospolitej pomyślnych kalkulacjach, obarczył ją dosyta. Rzesze polskie we Francji nie nauczyły się liczyć na własne siły, szukały pomocy kraju, nie ustawały w dezyderatach. Pracując w warunkach nieskończenie lepszych, aniżeli biedujący w ojczyźnie rodacy, mają dla tej ojczyzny tylko skargi i wyrzekania. Miast się stać więzią,

¹ Liczba półurzędowego zestawienia.

łączącą dwa narody, zaczynają być raczej tych narodów rozdzielaniem.

Wychodźstwo polskie w Ameryce nie skarżyło się nigdy. Przeszło otchłanie niedoli, najcięższej poniewierki, a dzisiaj jeszcze boryka się, walczy o kęs chleba, i dzisiaj jeszcze wydane jest na wyzysk, na trwonienie zdrowia i życia. Każda godzina wydzwania mu ponure memento. Kędy w Stanach Zjednoczonych straszniejsza katastrofa fabryczna czy kopalniana, kędy chciwość groszorobów więcej pochłoneła ofiar, tam, wśród nich, z reguły przeważają Polacy. Giną ich dziesiątki, giną setki, zmiażdżonych, rozplaszczonych, udławionych, zatrutych, poszarpanych. Giną, jako ginęli przed laty osiemdziesięciu. Nikt się w kraju tą niedolą nie przejmuje, nikt tych trupów nie liczy, bo i nie rachował ich nigdy przedtem.

Więc różnica duża. — Tu trzydzieści sześć godzin drogi żelaznej, — tam trzy tysiące kilometrów samego oceanu. — Tu za blisko, — tam za daleko. — Tu roztkliwianie się nad tem, co pod naszą własną strzechą jest powszedniem zjawiskiem, — a tam, tam najciekawsze, ile zebrali, ile wysyłają, ile przywiozą.

„Ile“? — Oto właściwie jedyny symbol naszego społeczeńskiego interesowania się wychodźstwem w Ameryce.

Dla tego „ile“ gotowiliśmy niejedno poświęcić. Gotowiliśmy się zdobyć na komunały powitalne, na hukanie, na wiwatowanie. Do tego „ile“ radzibyśmy odprawiać ekspedycje, apełować w każdym momencie zbiorowego wysiłku.

„Ile“ nie zawodzi nigdy, odpowiada na wezwania. Reaguje na pierwszy okrzyk. Zanim konsulaty zagadały o klęskę powodzi, to amerykańskie nasze „ile“ już uderzyło na alarm. Gdy po kilku miesiącach starokrajskie składkowanie wystygło, — tam coraz szersze zatacza kręgi.

Każda wycieczka amerykańskich rodaków przyczynia nam uciechy. Boć rachunek prosty i zrozumiały. Niech tylko sze-

ściuset chłopą, to zawsze stanowi mniej więcej pół milionika dolarów, co, po tym znikczemniałym kursie, czyni dwa miljoniki złotych polskich gotówki. Bardzo mili goście. Jest z tego nieco rwetesu, uprzejmych notatek po dziennikach i znów cisza aż do nowych odwiedzin.

Czułość starokrajskich organów opinii publicznej nie zajmuje się bytowaniem pięciu milionów Polaków w Stanach Zjednoczonych. Żadnych korespondencyj bezpośrednich, żadnych własnych informacyj. Na krawędzi amerykańskiego kontynentu tkwi pracownik telegraficznej agencji, na lakoniczną urzędowość skazany i na tem koniec. W żadnym starokrajkiem czasopiśmie ani rubryczki bodaj, któraby z polskich w Ameryce dzienników zbierała co najciekawsze wiadomości. W rzadkich przypadkach natomiast, kiedy zjawia się nowina o rodakach, to najczęściej przekręcona, świadcząca jeszcze silniej o całkowitem lekceważeniu czwartej dzielnicy.

Wychodźtwo zdaje sobie z tego dokładnie sprawę, boleje nad tem i milczy. Jego bujne, pracowite życie nie godne jest kronikarskich rubryk.

Czterdzieści tysięcy Polaków, zgromadzonych na obchodzie narodowym w parku Humbolta, w Chicago, nie warte jest nawet wzmianki w ojczyźnie. Zjazd polskich lekarzy, rady kupców polskich czy prawników w Ameryce toć trciny dla starokrajskiej, zawodowej uczoneści.

Nawet miara wysiłku zrozumienia nie znajduje. — Boć cóż tam zjazd, cóż jakiś zlot, kongres czy jubileusz, — wiadomo, — darmocho, albo psi grosz, — darmo koleje, darmo orkiestry, darmo całe parady, dekoracje, emblematy, sale, pałace jeszcze na strawne dołożą, — byle szli, byle jechali, byle manifestowali! — Do Madrytu czy do Konstantynopola na międzynarodowe dociekania, na archeologiczne czy geologiczne deliberacje, — naści paszport darmowy w zęby, naści na diety i obżarstwo, byleś tam co mądrego pod znakiem polskim wyłuszczył.

Więc pewno nieinaczej i w Stanach Zjednoczonych.

Siedzi sobie Roosevelt w Washingtonie i przemysłliwa, dokąd i którego znów generała na polską uroczystość wyprawić, jakąby nową siurpryzę wysztukować a ile na te koszty ogólne im wysupłać.

Nieporozumienie i niezrozumienie.

Zjeżdża wysłaniec, społecznik, idealista do amerykańskich braci. Naopowiada, nawywołuje się, do łez się wzruszy i wysadzi otwartą wrótnię. Przekonał przekonanych, zjednał zjednanych, zorganizował zorganizowanych.

Życie tem samem się toczy korytem.

Niema sposobu na „chamski“ upór.

Po swojemu chcą i swego nie ustąpią.

Dlaczego?

Oto przed niewielu miesiącami luminarz wychodźstwa takiej udzielił odpowiedzi:

„Słyszysz się, że mają tu znów przyjechać do nas wysłannicy jacyś z kraju, że mają nas tu oświecać, cywilizować; jesteśmy wdzięczni za tę dobrą wolę, ale radzę im, aby, jeśli mają nieco grosza, pozostali w domu i ratowali to, co ratować winni na kresach. Daliśmy sobie radę, gdyśmy byli żebrakami, damy sobie radę i dziś, gdy nam się nieco lepiej powodzi. Jeśli potrzebować będziemy oświecicieli, to zarejestrujemy te potrzeby w Warszawie. Nasze organizacje wydają tysiące dolarów na oświatę i na pomoc młodzieży szkolnej. Nie prosimy nikogo z kraju o nic, podczas gdy wszyscy wiemy, że ciągle do nas płyną listy od krewnych i znajomych o pomoc. Radzę te pieniądze, które mają być obrócone na oświecanie nas, obrócić na ratunek w kraju“.

Harde oświadczenie, silne, bo zapalem wielkiego zgromadzenia poparte.

Można się spierać, — lecz głowę schylić trzeba, — mocny lud, „królewski szczepek piastowy“.

KLITUŚ — BAJDUŚ.

Wychodźtwo polskie stanęło na rozdrożu.

Ważą się losy czwartej dzielnicy.

Pozbawiona dopływu świeżej emigracji, ze zgaszonemi pochodniami wczorajszych hasel, ma zmierzać szlakami swej własnej doli.

Nie łudźmy się miałym frazesem.

Rozluźnią się węzły krewieństwa, tradycja zwątleje, prze-waga obcości zwycięży.

Ale nadewszystko zwycięży brak walki, — ale nadewszystko zwycięży poczucie osamotnienia.

Kulturalne oddziaływanie, duchowe ogniwa? — Znikną jako fale radjowe, co, targnąwszy krociami słuchawek, roz-pływają się pierścieniami niedosiężnych kręgów. I, jako w przyszłości wynalazca genialnie czułego aparatu zdoła i te przebrzmiałe fale chwycić na struny głośnika, — tako i skrzę-tny badacz wypominać będzie sarmackiego pochodzenia w Ameryce błyski.

Więc złowrogie wróżby? — Nie wróżby.

Kiedy piła się szczyrzy u podnóża dębu, — nie trzeba Kas-sandry. Dąb podcięty runie, runie zdrowy, młody, silny.

Pięć milionów, pięć milionów Polaków!

Staćże nas na to, abyśmy mogli powiedzieć, — niech sobie żyją w Stanach Zjednoczonych, jako dotąd żyli, — niechże przez sentyment dla swego pochodzenia, dla ziemi ojców skar-bią nam przychylność mocarnego państwa, — niechże zdoby-

cze naszej cywilizacji wsączą tej drugiej, przybranej ojczyźnie?

Jesteśmyż istotnie już tak potężni, tak zwarci, abyśmy pięciu milionom naszych braci rzecz mogli, — bytujecie, jako dotychczas, zostawajcie z Bogiem i chcecie pamiętać?

I cóżbyśmy sądzili o człowieku, który, aby ulżyć koniom, zrzucił z woza wór pszenicy, a wory z plewami zachował?

Pięć milionów i nie starokrajskiej mieszkanki, nie tego utytłanego krzyżowaniem burżuiztwa, — lecz bezspornego polskiego ludu, ludu zahartowanego, uświadomionego, dźwigniętego na piedestał obywatelstwa.

Pięć milionów budulcu, skarby, skarby na to przeludnienie bezradności, — gotowe zastępy pionierskie, — żywe wzory, żywe mury, — armje energii, armje woli.

Spółeczność nam wyrosła za oceanem i taka, jakiej, gdybyśmy w tem samem tempie zmierzali na własnej ziemi, nie posiedziemy i za pół wieku.

Niechby jeden milion tylego zmysłu organizacyjnego, tylego poczucia jedności, tylego wyszkolenia majsterskiego.

Nie ludźmy się miljonem, niechby skromne tysiące.

Trzeba, trzeba, żeby jechali, trzeba, żeby wracali.

Musimy gonić, ścigać w pętach niewoli stracone lata. Dziesięć tysięcy naszych amerykańskich rodaków, to dziesięć tysięcy kółek do samodzielnego pędu nawykłych, to dziesięć tysięcy krzewicieli kulturalnego bytowania, to dziesięć tysięcy ambicji, dziesięć tysięcy wytrwałości.

Liczmy, liczymy, gdyby tylko jeden tysiąc rocznie zjeżdżało powrotników, gdybyż zjeżdżało i z tem, w Ameryce, uciulanem, — niechby tysiąc luda, każdy z dziesięcioma tysiącami dolarów.

Czy możliwe? — Bardzo, nawet łatwe.

Więc tysiąc po dziesięć tysięcy dałoby samej gotówki dziesięć milionów dolarów, tych złachmanionych, ale jednak

zdolnych nasypać przeszło pięćdziesiąt milionów najrzetelniejszych złotych.

Jakiż bajeczny wzrost kapitałów, już tych naszych, bezwzględnie polskich.

Ale i te rachuby zredukujmy jeszcze do połowy.

Niechby tylko pięciuset wracało, niechby tylko połowa tych milionów razem z nimi docierała.

Lecz cóż z tych życzeń, cóż z tych pragnień rzekomych, cóż z tych frazesów, kiedy nie stać nas nietylko na ułatwienie powrotu naszym dawnym emigrantom, ale i sobie samym dobrowolnych przyczyniamy utrapień.

Pryśły łańcuchy, runęły zawory, klątwa niewoli jeszcze nie minęła, ciąży na naszym życiu powszednim, wynaturza je, zatrzuwa.

Zdobyliśmy upragnioną niepodległość polityczną, lecz nie osiągnęliśmy jeszcze niepodległości społecznej, nie władamy pełnią niepodległości naszej duchowej. To, cośmy tak słusznie i gorąco wczoraj nienawidzili, to czem pogardzaliśmy, to jeszcze nie odeszło, to jeszcze ku nowym pokoleniom się skrada.

Proces odkażania jest niesłychanie powolny, bo ciągle wzdrony na manowce, bo przeświadczony, że zmoskwiczeniem można leczyć sprusaczenie, że austriacka gangrena może zniszczyć rosyjski trąd!

W najlepszych odruchach pławimy się, jako niegdy, w poezji, podniecamy romantycznemi wartościami, gotowiśmy odwoływać się do mędrców, a nie zważać na głos zdrowego rozsądku.

Nasze odrodzenie nie jest jeszcze nowem życiem. Scalamy się dopiero, więc kodyfikujemy góry papieru, góry zaborczych ustaw i góry te wzmacniamy pokładami naszych własnych konceptów.

Śnimy, śnimy ciągle i dalej, jako przed laty, śnimy o rów-

ności stanów, śnimy o braterstwie, śnimy o promiennem, lepszym jutrze.

Niekiedy z tej senności ocyka nas gruby, ponury głos niemowlęcia. Nadśluchujemy z rozrzewnieniem. Z zaślinionych ustek dobywają się pierwsze wyrazy: — „Marx, Engels, Malthus, Lenin, Barbara Ubryk... bo tak mówił Zarathustra“. — Uciecha, szczęście! — Oto „nowe“ prądy, oto „nowe“ hasła, oto są, oto nadchodzą, oto nową erę zwiastują.

Radosne wzmagają się szelesty. Ogłuchłe starce wytrzeszczają pobielające oczy, dziwią się mężowie, promienieją matki, wstydzące się karmić własną piersią, nędza zapatrzyła się w żarzącą się jeszcze głownię.

Będzie — będzie! — Niemowlęta już szeplenią. A tymczasem trzymajmy się właściwego sensu i przeszkadzajmy sobie nawzajem, utrudniajmy sobie życie, podcinajmy skrzydła, rzucajmy kłody, i oczerniajmy się i nienawidźmy, — ale tym obcym gapiom wdrażajmy przeświadczenie, żeśmy są wielkim narodem.

Możeż Polak amerykański wracać gromadą do starego kraju? Możeż bodaj na kresowem pustkowiu osiąść, możeż się podziwiać w naszej puszczy tak, jako się podziwiał w amerykańskiej?

Nie może, — bo ani jego przedsiębiorczość, ani jego zapał, ani jego majsterskie wyszkolenie, ani jego doskonałe metody pracy nie znajdą odpowiedniego terenu, nie znajdą poparcia, a co przedewszystkiem rozbiją się o nieprzeczwyciężone zawory.

Dla Polaków amerykańskich, dla tych powrotników nie uczyniliśmy po dzień dzisiejszy żadnych ustępstw.

Amerykański Polak w swym własnym starym kraju nie ma takich praw, jakich od pierwszego dnia wylądowania zażywa obywatel polski w Ameryce. Wzajemność nasza w tym kierunku, co jest niesłychaną rzeczą, może dzięki całkowitej obojętności rządu Stanów Zjednoczonych, — nie istnieje.

Polakowi, który był bodaj przed zmartwychwstaniem Rzeczypospolitej przyjął obywatelstwo amerykańskie, wyrzekł się poddaństwa zaborczego, nie wolno nabywać własności, nie wolno zarabkować. Najpierw taki Polak musi się zrzec obywatelstwa amerykańskiego i uzyskać obywatelstwo polskie. Jest to sprawa niezmiernie skomplikowana nawet dla znającego chody inteligenta. — Reemigrant musi odrazu się zdecydować na zerwanie z Ameryką. Jeżeli mu się w Polsce nie powiedzie, już go z powrotem nie wpuszczają; gdyby zmylił czujność, to jeszcze do końca życia nie zaznałby na ziemi amerykańskiej spokoju, wisiałby nad nim miecz deportacji.

Ale i ci, którzy nie przyjęli obywatelstwa amerykańskiego a zjeżdżają uzbrojeni w tak zwany paszport konsularny, w Niemniejsze wpadają kłopoty. Ten paszport polski w Ameryce otrzymali najczęściej na podstawie złożonego tam dokumentu, w Polsce zaś dowiadują się, że paszport konsularny polski, wydany Polakowi, nie stanowi dowodu polskiego obywatelstwa, że dopiero praw do tego obywatelstwa trzeba dowieść.

Z tych trudności wynikają dla przybyszów amerykańskich długie tygodnie zadawania się z wszelkiego rodzaju manipulantami biurowymi, szperanie po kancelarych, trwonienie czasu i pieniędzy.

Dotyczy to oczywiście ludzi uczciwych, — nieponie bowiem z zasady wszystkie możliwe śvistki i dowody mają we wzo-rowym porządku.

Twarde statuty.

Wraca emigrant do rodzinnego miasteczka. Ledwie się rozejrzał, już mu nastroczyli. Jest kamieniczka dostatnia, w kamieniczce sklep, byle się zakrzętnąć, a po amerykańsku, można i wyżyć i rodakom czegoś przyczynić. Krótkie wahania, gotówka jest, więc mocny zadatek do aktu rejentalnego i już właściwie całe posiedzicielstwo. Ale za pierwszą miotłą, co do porządkowania się zabierała na nowem gospodarstwie, zjawia

się pan władza, i nie pan, ale jeden z pacholków. I zaczynają się tygodniami trwające przekomarzania.

— Polak. — Nie Polak. — Jakto nie Polak? Więc może ten, co po polsku nie umie, może ten moskal, co tu jeszcze w powiecie siedzi? — A oczywiście, że ten moskal to jest Polak, a pan nie jest Polak. — Trzeba podanie napisać, marki stemplowe i prosić o obywatelstwo. — A kiedy, to się zobaczy, byle kogo się na obywatela nie puszcza. — Jakto byle kogo, a wiesz, pan, kim byłem w Ameryce? — Rozmaici o sobie powiadali. — Do podania trzeba złożyć metrykę. — Spaliła się parafja. — Wnieść sprawę do sądu i świadkami dowieść urodzenia. — Trzy miesiące pan chodzi, a cóż pan myśli, że to jedna tylko pańska sprawa?

I reemigrant zapada powoli na nostalgię...

Oto młodzieniec, urodzony w Stanach Zjednoczonych. Rodzice wrócili do kraju, ale w obliczu ciężkich warunków pracy, zdecydowali, aby syn obywatelstwa amerykańskiego się otrzymał i w Ameryce uniwersytet skończył. Czasy były pomyślne, ściągnięto młodzieńca do Polski na wakacje. Wtem niespodziewane tarapaty i rodzicom zabrakło nagle pieniędzy na odesłanie syna do Stanów Zjednoczonych. Młodzieniec, skazany na przymusowe wygusostwo, zaczął cichaczem zarabiać lekcjami. Wreszcie umyślił tyle zebrać, aby i na podróż na pierwsze miesiące uniwersytetu amerykańskiego samemu wystarczyć. Zamiarowi dopomaga przypadkowa znajomość z możnym kupcem. Kupiec proponuje młodzieńcowi stałą podadę. — Rok pracy da mu w zysku rok uniwersytetu w Ameryce. — Niesłychane dobrodzieństwo. — Ubezpieczalnia wszakże stawia veto. — Nie wolno zatrudniać cudzoziemców. Nie wolno się posługiwać obcemi siłami. — Amerykanin nie jest Polakiem. — Wyjaśnienia, apelacje nie pomogły. — Chce w Polsce pracować, niech się postara o polskie obywatelstwo i niech odprawi służbę wojskową.

Sąż to wyjątkowe przypadki? — Tylko łatwiejsze do streszczenia.

Prawo, prawo!

Śmiertelnie bylibyśmy wszyscy obrażeni, gdyby Ameryka była równie bezwzględna. A przecież idzie tu o Polaków, o naszych braci, o ten istotnie i pod każdym względem cenny materiał. Wszak chcielibyśmy, żeby wracali, żeby się osiedlali!

Lecz i po najszcześniejszym załatwieniu tych papierowych formalności, konflikty nie ustają. Rzutkość, sprawność emigranta, która tyle przychylności jednała mu w Ameryce, — w Polsce wprowadza go w labirynt nieustannych zatargów z przepisami, z paragrafami. On, zawołany „tauskunstler“, co umiał się piąć, chwycić rozmaitych zawodów, przekonywuje się rychło, że znane mu nawet warsztaty pracy są dlań zamknięte. Nie wolno mu się podejmować robót, nie wolno prowadzić rzemiosła, nie wolno strzyc ani golić, nie wolno oprawiać książek, nie wolno sklecić domku bez pozwolenia, nie wolno założyć jatki, nie wolno dokonywać reparacyj wodociągowych, gazowych, elektrycznych, nie wolno pod płótem sprzedawać krawatów, gdyż po temu trzeba mieć świadectwa, trzeba mieć prawa, trzeba mieć koncesje i nie amerykańskie. Wskutek tego amerykański lekarz, dentysta, nauczyciel, drogista, prawnik, chemik i ten bezwzględny zawodowiec również nie posiada tych należytych dokumentów.

Emigrant nie daje za wygranę. Rzuca się na rozpędzoną śmigę wiatraka i przekonywuje się wycieńczony, złamany naduchem, że jedynym jego niezawodnym przywilejem jest w najlepszym razie uwięzić uciulany kapitalik w skrawku własności i na tej własności dychać bezradnie za przykładem innych.

Roił sobie, cuda układał, wyobrażał, że na ojczystej ziemi jeszcze piękniejszą zbuduje Amerykę, nie rozumiał się na filozofii chronienia niedołęstwa, na dyplomowanej bezradności. Nasłuchiwał się był tyle powieści o tej Gdyni polskiej i wy

obrażał sobie, że już i Rzeczpospolita została jakby jedną, wielką Gdynią.

Nikt zresztą takiemu emigrantowi nie współczuje, nikt go nie rozumie, nikt się nie zna na tych zawiedzionych spodziewaniach.

Gdy się zjawił, tłoczono się doń skwapliwie, — jedni, aby mu „żyłką“ wypruć z kieszeni garść banknotów, drudzy, aby mu te banknoty wyciągnąć na kwit, na weksel, na chałupę, co się i tak zawali, na handel, co i tak zbankrutuje.

Skoro ocalał, skoro nie dał się oskubać, zepchnąć do piwnic, więc czegoż jeszcze trzeba więcej przebiegłecowi?

Możnaż z takim „chamem“ się zadawać? I kimże on jest właściwie, — kiedy nigdzie nie pasuje.

— Chłop? — Jakiż to chłop! Gdyby był gospodarskim synem, za którego się uważa, toby się przecież z byle łykiem nie zadawał. — Dawny parobek? — Niechże idzie między parobków, co on ma do wydziwiania o solidarności, o samopomocy! — Toć uniwersytety się nad tem głowią, wielcy ludzie tłumaczą, a tu byle nieokrzesaniec. — A ten robociarz, albo ten skrobidecha. — Wszak ludzie go jeszcze pamiętają, siostrę miał, która w cukrowni z praktykanckiego zadawania się na żebry poszła. — Wszystko ma swoje granice. — Lecz co właściwie taki proboszcz amerykański ma do mówienia? — Śnią mu się szkoły przy parafjach, sierocińce, szpitale, ochronki, — akademickie duchowieństwo myśli pouczać. — Głuptas jest, niechby się tylko spróbował zabawić w takie parafjalne rządy, miałby się zpyszna, zadaliby mu bobu! — A ten wczorajszy, rzekomo, działacz na wychodźtwie? — Cóżbo znów za działacz, nigdy o nim nie mówiono. — Polska encyklopedia w języku francuskim, w języku angielskim... czasu wojny?... Materjały dla kongresu? — Nikt o niczem nie słyszał. — Zarozumialec i ordynus, — rączkami dostojnych dam niby wiechetkami potrząsa, a tangową flirciarkę, miast na podziękowanie ucałować w paluszki, szczypie w elastyczność linii.

na. — Owszem, można niejedno przyznać, — ale niech sobie nie wyobrażają, że tu, u nas, jest jakaś Ameryka!

Emigrant próbuje się bronić. Grzmocą weń tem silniejsze argumenty.

— Co nam z waszych systemów, z waszej higieny, z waszej maszynokracji? — Traktor? — Gwiżdżemy na wasze traktory. Pięćdziesiąt furmanek parokonnych taniej nam wypada, aniżeli jedna taka kolubryna. — Dusimy się, dla wimy? — Zatykamy jeno wszelkie otwory, aby przeciągów nie było! — Zrozumiano? — Tak, tak, idziemy naprzód, widzisz pan, tędy walimy nową linję tramwajową. — Co? — Ameryka wyrывa szyny, wyrzuca tramwaje, uważa je za przeżytek? — To nas nic nie obchodzi. — Dzięki Bogu, Stany Zjednoczone mają także kryzys...

— Ale kryzys zbyt wysokiej skali życia, kryzys materializmu, nadużyć giełdziarskich, nadmiaru wytwórczości... W Polsce natomiast...

— Gdzie? — Kto panu powiedział? — Najpierw musimy dojść do fundamentów. — A więc rząd, — najpierw rząd musi uregulować i usplawnić nasze rzeki, przekopać kanały, wymościć drogi, zelektryfikować całą Rzeczpospolitą, — rząd musi dźwignąć domy dla inwalidów, schroniska dla nieuleczalnych, fabryki, szkoły, biblioteki, muzea, musi nam i sobie postawić pomników... dopiero my, panie, dopiero będziemy mogli ruszyć z miejsca.

— A tymczasem...

— Tymczasem musimy się kurczyć i narzekać. — Czy wy trzymamy? — Jesteśmy bajecznie wytrzymali. — Japończycy? — Legenda o żelaznym wilku. — W razie czego możemy i bez kimona. — Pański praszczur buta na swej nodze nie oglądał, mięsa tyle smakował, co z pasji psa w ogon ugryzł głony ościstego chlebusia zębiska mu szczotkowały, w owczarni się urodził, w owczarni zmarł i takiego bogatego się doczekał potomka. — Ja? Skądże ja? — Cóż ja więcej mogę, prze-

niez nie jestem urzędnikiem, jeno karnym obywatelem, — tedy słucham, patrzę i czekam. — Mówię wyraźnie, karnym a nie karalnym, — zresztą, jak pan wolisz, dlatego karnym, że karalnym.

I co tu z takim przeciętnie ślepym „Amerykaninem“ o rzeczpospolickich rozprawiać kolorach.

Bąknąć mu o cnocie poświęcenia dla kraju, zaczyna od razu historyjkę: — „Był sobie w Buffalo organista, nazywał się Rożan“... — I już o tym buffalowskim Rożanie całą godzinę. — Wypomnieć miłość ojczyzny, ten z miejsca, jak pozytywka nakręcona: — „W Nowej Anglii mieszka jeden forerman tkacki, — nazywa się pan Arent, — takiego drugiego chyba nie znajdzie. Ojczyzna u pana Arenta najpierwściejsza“... — I znów cała godzina bajania.

Ciężko się czasami dogadać.

A już z tymi „Chamami“ w Ameryce najtrudniej, — zwłaszcza starokrajskiej fujarze.

Korstancin, dnia 17 listopada, 1934 roku.

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW:

	Str.
Komu totu po świecie wędrować	5
Jak to było na początku	16
Polskie miliony za oceanem	27
Krzyżowe boje i ajryjskie psiawiary	41
Kłątwa i błogosławieństwo Ghetta	58
Kiedy potęga gromady nie jest frazesem	69
Na pazury z własnym mrokiem i z obcem światłem . .	83
Anglosasy polskiej rasy	99
Nie święci garnki lepia	115
Racja fizyka z jednego guzika	141
Mydlana banieczka i złota beczka	155
Polityka to nie klajster	168
Gorzkie żale przemijajcie	180
Klituś-bajduś	216

POWIEŚCI HISTORYCZNE

I INNE PRACE

WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO

(WIESŁAWA SCLAVUSA)

CZTERY POWIEŚCI O KAZIMIERZU PUŁASKIM:

MIŁOŚĆ KRÓLEWICZA. Str. 424. zł. 12.—, w ozd. opr. zł. 15.—

INTERREGNUM. Str. 408. zł. 10.—, w ozd. opr. zł. 13.—

SODALIS REIPUBLICAE (w przygotowaniu).

WRÓG KRÓLÓW (w przygotowaniu).

POWIEŚCI Z CZASÓW NAPOLEOŃSKICH:

CZARNY GENERAL. Wyd. II. Str. 448.

zł. 9.—, w ozd. opr. zł. 12.—

DOBOSZ WOLTYŻERÓW. Powieść dla młodzieży z ryc.

A. Gawińskiego. Str. 172. zł. 5.—, w kart. 6.—, w ozd. opr. 8.—

ORLETA. Opowiadania, z ryc. Wyd. II. str. 208.

zł. 4.50, w kart. zł. 5.60, w ozd. opr. zł. 7.50.

HURAGAN. 3 tomy. Wyd. V. Str. 876.

zł. 18.—, w ozd. opr. zł. 27.—

ROK 1809. 2 tomy. Wyd. V. Str. 480.

zł. 10.—, w ozd. opr. zł. 16.—

SZWOLEŻEROWIE GWARDJI. Wyd. IV. Str. 348.

zł. 7.—, w ozd. opr. zł. 10.—

PANI WALEWSKA. 2 tomy. Wyd. IV. Str. 796.

zł. 18.—, w ozd. opr. zł. 24.—

SOMOSIERRA. Opowiad. hist. z 32 ryc. Wyd. III. str. 127.

zł. 5.50, w ozd. opr. zł. 8.50

POWIEŚCI Z CZASÓW POWSTANIA LISTOPADOWEGO:

KSIĘŻNA ŁOWICKA. 2 tomy. Wyd. III. Str. 496.

zł. 8.—, w ozd. opr. zł. 14.—

BEM. Wyd. III. Str. 396. zł. 8.—, w ozd. opr. zł. 9.—

EMILJA PLATER. Wyd. II. Str. 400.

zł. 9.—, w ozd. opr. zł. 12.—

ACH,—TE „CHAMY“ W AMERYCE! Str. 228. zł. 6.—, w opr. 9.—

ANARCHIŚCI. Wyd. III. Str. 212. zł. 4.50, w opr. 7.50

FAJKA BATOREGO. Nowele. Str. 200. zł. 4.50, w opr. 7.50

1910—1915. HISTORJA ARMJI POLSKIEJ WE FRANCJI.

Str. 412. zł. 14.—, w ozd. opr. zł. 17.—

KRÓLOBÓJCY. Tragiczne dzieje carów rosyjskich. Z 16 ryc.

Str. X + 408. Wyd. V. zł. 10.—, w ozd. opr. zł. 13.—

NIHILIŚCI. Powieść historyczna z XIX w. Str. 324.

zł. 6.—, w ozd. opr. zł. 9.—

NOWA KOLCHIDA. Książka o Ameryce współczesnej. Str. 328.

zł. 9.—, w ozd. opr. zł. 12.—

PIGULARZ. Powieść. Wyd. IV. Str. 320. zł. 6.—, w ozd. opr. zł. 9.—

POLECAMY POWIEŚCI

	Zł.
Alberti K. <i>Ci, którzy przyjdą</i>	7.—
Auderska H. <i>Poczwarki Wielkiej Parady. Pamiętnik maturzystki</i> Str. 268.	4.50
Augustynowicz J. <i>Ksiądz Prot. Historia ludzka. Powieść. Wyd. III.</i> Str. 192	4.—
— <i>Piekło. Pieśń życia i śmierci. Pow. Str. 328.</i>	6.—
Bandrowski J. <i>Pałac połamanych lalek</i> Str. 340.	6.—
Bartkiewicz Z. <i>Trzy opowieści, Historia jednego podwórza.</i> <i>Złe miasto. Rok 1863. Str. 328.</i>	4.50
Giżycki K. <i>Przez Urjanchaj i Mongolję. Str. 240, z ryc. i mapą</i>	5.—
*Górski Artur. <i>Glossy o ludziach i ideach. Str. 344.</i>	8.—
— <i>Saga o Gislim, wyjętym z pod prawa i inne Sagi islandzkie.</i> Str. 367	9.—
*Hołowko T. <i>Przez kraj czerwonego caratu. (Przez dwa fronty</i> <i>cz. II). Z przedmową Woj. Stpiczynskiego. Str. 160.</i>	6.—
Jeleńska E. <i>Dwór w Haliniszkach. Pow. współ. w 2 tom. Wyd. II.</i> Str. 584	10.—
Kasprowiczowa M. <i>Dziennik. (Bunt. Pojednanie). Str. 310.</i>	12.—
— <i>Dziennik V. Harenda. Z ryc.</i>	6.6
*Kozicka-Dunin M. <i>Burza od Wschodu. Wspomnienia z Kijow-</i> <i>szczyzny (1918—1920). Z przedm. prof. St. Estreichera. Str.</i> <i>525 + 72 ryciny. Wyd. II. 7.—, w oprawie</i>	11.—
Kudliński T. <i>Smak świata. Powieść biograficzna. Wyd. II. Str. 248</i>	5.—
Łubieński H. <i>Rycerze śmierci. Powieść z 1863 r. Wyd. II. Str. 292</i>	6.8
Marion. <i>Rozbite gniazda. Opow. o szarych ludziach. Str. 168.</i>	4.—
Miciński T. <i>Lucyfer. Niedokonany, poemat. Mené-Mené-Thekel</i> <i>Upharism!... Quasi una phantasia. Wydane z rękopisów pod</i> <i>red. Ar. Górskiego i Cz. Łatawca. Str. 280.</i>	8.—
Nikorowicz Ig. <i>Nieśmiertelny kochanek. Str. 120.</i>	2.5
Pollak J. <i>Zbłąkany pielgrzym. Powieść. Wyd. II. Str. 296.</i>	6.—
Relidzyński J. <i>Powrót z tamtego świata. Opow. Wyd. II. Str. 312</i>	6.—
Rzewuski hr. A. <i>Ze strzelbą na ramieniu. Opowiadania myśliwskie.</i> <i>Z przedmową J. Ejsmonda. Str. 256</i>	7.—
Szaniawski J. <i>Adwokat i róże. Żeglarz. Ptak. Trzy utwory scen-</i> <i>iczne. Autor otrzymał za tę książkę państwową nagrodę lite-</i> <i>racką. Str. 260.</i>	6.—
Witkiewicz St. J. <i>Nienasycenie. 2 tomy</i>	10.—
Wyrzykowski St. <i>Moskiewskie gody. Powieść histor. 2 tomy</i>	12.—
*Zaborowski St. <i>W sercu kniei. Obrazy myśliwskie. Wyd. II,</i> <i>powiększone. Str. 248, w ozd. opr.</i>	6.—
Zahorska A. (Savitri) <i>Trucizny. Powieść współczesna z przedmową</i> <i>ks. Arc. Teodorowicza. Wyd. II. Str. 272.</i>	8.5
Żmichowska N. <i>Biała Róża. Powieść</i>	5.—
— <i>Czy to powieść?</i>	4.—
— <i>Poganka</i>	5.6
— <i>Narcyza i Wanda. Wydał i wstępem poprzedził Boy-Zeleński</i>	2.4
	10.—



